

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/464

1986



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. MICHNIK: **RÓŻNE GŁOSY**

B. STRUMIŃSKI:

ROZMOWA Z PROF. J. SZEWELOWEM

J. CZERWIŃSKI:

KOŚCIÓŁ W POLSCE PRZEGRYWA WIEŚ

A. SZCZYPIORSKI: **O KISIELU**

CZ. BIELECKI: **LIST DO MIN. SPRAWIEDLIWOŚCI**



SPIS RZECZY

Adam Michnik:	<i>Różne głosy</i>	3
Leszek Szaruga:	<i>Wielkie oczekiwanie</i>	28
Bohdan Strumiński:	<i>Rozmowa z prof. Jurijem Szewelowem</i> (<i>Dawne obciążenia i nowe perspektywy</i>)	43

WIERSZE WILEŃSKIE

Maria Łotocka:	<i>Deszcz nad Szwajcarią</i>	53
Henryk Mażul:	<i>Hipnoza</i>	54
Sławomir Worotyński:	<i>Wczoraj</i>	54

ARCHIWUM POLITYCZNE

Kamila Chylińska:	<i>Opozycja polska w oczach Niemców</i> ..	55
Maria Borowska i Maciej Zaremba:	<i>Spadek po 'Olofie Palme</i>	64
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu (Kościół i trzy dyktatury)</i>	67
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (10)</i>	71

K R A J

Jan Czerwiński:	<i>Kościół w Polsce przegrywa wieś</i>	76
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	81

SPRAWY I TROSKI

Jan Marcin:	<i>Zachodnie rozgłoszenie polskojęzyczne</i> ..	90
-------------	---	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	98
Józef Łobodowski:	<i>Polski numer „Suczasnosc”</i>	104
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
—	<i>Lituanistyka w Oxfordzie</i>	114

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Szczypiorski:	<i>O Kisielu</i>	115
Konstanty A. Jeleński:	<i>Nagroda im. Gutenberga</i>	121

KSIĄŻKI

Marek Zieliński:	<i>Wymyślenie</i>	123
M.Z.:	<i>Książki na papierze</i>	127
Henryk Radecki:	<i>Spółczesność polska w Kanadzie</i>	130
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	132



—	<i>Wydarzenia miesiąca (kroniki amerykańska i francuska)</i>	134
---	--	-----



J. Trznadel, W. Zumbach, B. Żurek:	<i>Listy do Redakcji</i>	140
—	<i>Wyjaśnienie</i>	142

DOKUMENTY

Czesław Bielecki:	<i>List do ministra Sprawiedliwości</i>	143
Czesław Bielecki:	<i>Oświadczenie</i>	156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1986

INSTYTUT



LITERACKI



WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

A.S. i M.W., Stockholm — zamiast kwiatów na grób Jana Sehna w rocznicę śmierci — Krs 100,00	F. 100,00
Kajetan Bieniecki, Montreal (Kanada)	F. 500,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna, w 5-tą rocznicę śmierci — Syn, Synowa i Wnuczka z Paryża	F. 150,00
Kamila i Jan Halpernowie, Kolonia (RFN) — w 5-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, dla uczczenia Jego pamięci	F. 400,00
Prof. Karol J. Krótki, Edmonton, Alberta (Kanada), po raz 9-ty — \$ c. 117,20	F. 586,00
Włodzimierz Rozenbaum, Silver Spring, MD (USA) — zamiast kwiatów na grób prof. Ludwika Krzyżanowskiego, człowieka o wielkim sercu — \$ 20,00	F. 140,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 14-ty — \$ US 100,00	F. 700,00
Aleksander Waroczewski, Etobicoke, Ontario (Kanada), po raz 22-gi — \$ c. 50,00	F. 250,00
W 5-tą rocznicę śmierci Stefana Strelcyna, dla uczczenia Jego pamięci — Żona i Syn z Rodziną (Manchester - Londyn) — £ 35,00	F. 367,00
Anonimowo z Ann Arbor, MI (USA) — \$ 25,00	F. 175,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Grupa Działania na rzecz NSZZ „Solidarność” w Montrealu (Kanada) przekazuje za pośrednictwem p. Marka Przykorskiego, a mianowicie:	
— z własnych akcji na rzecz „Solidarności” Walczącej w Kraju — \$ US 2.000,00	F. 14.000,00
— i na rzecz Kultury Niezależnej w Kraju, na pomoc dla krajowych teatrów niezależnych — \$ US 113,00	F. 791,00
— z akcji „Podatek Służba Polsce” — na rzecz „Solidarności” Walczącej w Kraju — \$ US 3.180,00	F. 22.260,00
Janusz Kenig, Szwecja — honorarium za artykuł — na NSZZ „Solidarność” Region Ziemia Łódzka — Krs 100,00	F. 100,00
Waldemar Kawałko, Vellmar (RFN) — na pomoc działaczom „Solidarności” w Kraju — DM 20,00	F. 60,35
Stowarzyszenie „Solidarność” w Seattle, WA (USA) — na rzecz „Solidarności” podziemnej w Kraju (nadesłała p. Elżbieta Choszcz) — \$ 100,00	F. 700,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity) w Winnipegu, Man. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju (nadesłała p. Anna Howiecka) — \$ c. 300,00	F. 1.500,00
Stanisław Marcin Z. (USA) — z pamięcią o męczeńskiej śmierci ks. Jerzego Popiełuszki przekazuje:	
— dla rodzin uwieczonych członków „Solidarności” — \$ 100,00	F. 700,00
— na niezależną prasę „Solidarności” w PRL — \$ 100,00	F. 700,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Różne głosy

(Z DZIENNIKA WIĘZIENNEGO, Cz. I)

Polityka ma swoje prawa. Polityka ma swoje prawa. Powtarzam to sobie uporczywie, czytając artykuły i wywiady ludzi zaangażowanych w politykę. Wielu z nich dodaje, że polityka wymaga realizmu. Cóż to jest ten realizm?

Realizm to słowo magiczne polskich dyskusji. Kiedy chcesz zapewnić swego rozmówcę, że twoje propozycje nie są szaleństwem — mówisz: „jestem realistą”; kiedy chcesz go zapewnić, że to, co proponujesz, nie jest zdradą — mówisz dokładnie to samo. Nie znam słowa bardziej pozbawionego jednoznacznych konotacji: realistą był Aleksander Wielopolski i był nim Jarosław Dąbrowski, choć jeden proponował sojusz z rosyjskim dworem, a drugi z rosyjskimi spiskowcami. Był realistą Piłsudski i był nim Dmowski, Sikorski i Sosnkowski, Mikołajczyk i Gomułka, Bolesław Piasecki i kardynał Wyszyński, Bierut i Kisiel, Jaruzelski i Wałęsa. Rozumiesz coś z tego? Ja nic nie rozumiem. Poza jednym: oto słowo-zakłęcie. Żaden kolaborant nie nazwie się dziś inaczej niż „realistą”, żaden szanujący się działacz podziemnej „Solidarności” nie przyzna się do rezygnacji z realizmu.

Czy tak było zawsze? Rzecz charakterystyczna: w epoce II Rzeczypospolitej ludzie dzielili się na endeków i piłsudczyków, ludowców i socjalistów, ONR-owców i komunistów — bynajmniej nie na realistów i romantyków. I tak: endecy zarzucali sanacji czy socjalistom różne grzechy, ale zarzut romantyzmu rzadko bywał formułowany. Także dziś, zastanawiając się nad tamtą, już zamkniętą epoką, nie dzielimy aktorów ówczesnych zmagających na realistów i romantyków. Dlaczego?

Myszę tak: genezy tego specyficznie polskiego pojęcia realiz-

mu szukać trzeba w stosunku polskiej społeczności do obcych potęg. Stopień realizmu politycznego mierzony był zasięgiem ustępstw, jakie Polacy skłonni byli poczynić wobec żądań obcych państw. I tak się składało, że im większa była skłonność do ustępstw, tym chętniej i tym dobitniej skłonność tę określano mianem „realizmu”. W praktyce jednak znaczyło to niewiele: Wielopolski okazał się równie mało realistą jak Dąbrowski, a Dmowski nie okazał się politykiem bardziej realistycznym od Piłsudskiego czy Daszyńskiego.

W epoce Polski niepodległej spór o zakres ustępstw wobec obcych był jałowy. Aż do konfliktu z Hitlerem: w maju 1939 roku też nie brakowało głosów, że rząd RP zajął stanowisko „mało realistyczne”, odrzucając hitlerowskie żądania. Jednak prawdziwy nawrót sporu o realizm nastąpił jesienią 1941 roku, po pakcie Sikorski - Majski. Zakres ustępstw poczynionych przez Sikorskiego wywołał gwałtowną falę krytyki. Zwolennicy polityki Sikorskiego dowodzili, że nakazem realizmu jest szukanie kompromisu polsko-rosyjskiego; krytycy twierdzili, że nakazem realizmu jest poprawna ocena i interpretacja stalinowskiego imperializmu. Tak oto zderzyły się dwa rozumienia realizmu: realizm pojmowany jako gotowość do ustępstw i kompromisów zderzył się z realizmem pojmowanym jako namysł: czy ustępstwa wiodą do zażożonych celów?, czy kompromis jest możliwy?

Ten spór był prefiguracją sporów późniejszych. W każdej dyskusji nad polityczną strategią wobec polityki totalitarnej zderzyć się muszą te dwa rozumienia politycznego realizmu: realizmu ustępstw i realizmu oporu.

Niezwykle trudno jest dokonać jednoznacznej oceny polityki Sikorskiego: można wątpić, czy była możliwa w owym czasie zasadniczo odmienna linia polityczna premiera rządu RP w Londynie. Warto jednak pamiętać o tym historycznym doświadczeniu: jego kresem była sprawa katyńska. Polityka Sikorskiego przegrała nie dlatego, że polscy „niezłomni” ją zablokowali. Źródłem klęski polsko-rosyjskiego kompromisu był polityczny plan Józefa Stalina, plan totalitarnej ekspansji.

Przecież Stanisław Mikołajczyk, kontynuator polityki Sikorskiego, dążył za wszelką cenę do kompromisu z sowiecką Rosją. Przecież doszło do tego, że został otwarcie oskarżony przez znaczną część opinii o zdradę interesów narodowych, zwłaszcza po przyjęciu teki wicepremiera w rządzie zdominowanym przez komunistów. Przywódca wsi polskiej bronił się argumentem realizmu — twierdził, że wybrał jedyną możliwą politykę.

Ale tym samym argumentem posługiwał się Julian Hochfeld, gdy uzasadniał swoją (i swojej partii) koalicję z komunistami, zawartą do walki z Mikołajczykiem i ruchem ludowym. Opór

Mikołajczyka przeciwko komunistom uważał Hochfeld za świadectwo braku realizmu.

Historia najnowsza Kościoła katolickiego dostarcza lekcji równie instruktywnych: w imię realizmu kardynał Hlond uznał rząd komunistyczny, w imię realizmu kardynał Wyszyński zdecydował się na porozumienie w 1950 roku, w imię realizmu wreszcie zaaprobowali biskupi uwięzienie kardynała Wyszyńskiego we wrześniu 1953 roku, co znakomicie uzasadnił realista polityczny Bolesław Piasecki.

Wszyscy ci ludzie, odwołując się do realizmu, byli świadomi, że za komunistami stoi obca potęga — znów stopień gotowości do ustępstw wobec wrogich potęg był miarą realizmu.

Potem o realizmie było głucho. Mikołajczyk zdołał zbiec za granicę. Jego współpracownicy podążyli do więzień. Uwięziony też został Władysław Gomułka — przez tych samych ludzi, którym niedawno jeszcze wydawał rozkazy uwięzienia przeciwników PPR. Jedynymi realistami na pewien czas okazali się Bierut, Berman i sowieccy doradcy.

W 1956 roku znów rozlała się bania z realistami. Któż nie mówił wtedy o realizmie? Gomułka i ks. Prymas, Stomma i Piasecki, Kisielewski i Kołakowski, członkowie Związku Literatów i robotnicy Żerania. Nie trwało to jednak długo. Kiedy władza komunistyczna umocniła swoje pozycje — realizm przestał być potrzebny. Wystarczył gomułkowski zamordyzm. Już tylko tym nielicznym, którzy stawiali opór, tłumaczono prywatnie, że „nie są realistami”. Czas ten i te rozmowy lat 60-tych pamiętam. Przy okazji każdego opozycyjnego gestu tłumaczono nam, że nie jesteśmy realistami, że nie są nimi nasi nauczyciele: Leszek Kołakowski i Jan Józef Lipski, Włodzimierz Brus, Karol Modzelewski i Jacek Kuroń, że trzeba wszystko robić inaczej, mądrzej, ciszej. I w tych rozmowach dojrzałem marca 1968 roku, kiedy to władza — nie oglądając się, kto realista, kto romantyk — urządziła antysemitcko-antyinteligentnie polowanie na czarownice. Kto nie mógł się pogodzić z inwazją kryteriów rasistowskich w polskie życie codzienne i odmawiał udziału w łowach na „syjonistów”, dostawał w skórę i dowiadywał się, że „nie jest realistą”.

Na szczęście nie wszyscy chcieli być realistami. Robotnicy z Wybrzeża, nie zważając na swój brak realizmu, podnieśli bunt w grudniu 1970 roku i doprowadzili do usunięcia Gomułki. Przy Gierku od nowa rozpoczął się kontredans realistów — znów wysłuchiwałem, że Gierkowi nie należy rzucać kłód pod nogi. Wszystko to było żałosne. Pamiętam rozmowę z uczniem, który odmówił podpisu pod petycją o uwolnienie kilku osób z więzienia, motywując to „politycznym realizmem”. I dodał: polityka ma swoje prawa.

Moi przyjaciele inaczej pojmowali prawa polityki. I co in-

nego mieli na myśli, mówiąc o realizmie. Kiedy zastanawialiśmy się, komu zaproponować podpis pod petycją, przy nazwiskach różnych osób padały słowa: nie jest realistyczne, by on taki list podpisał. Czy też: to nie jest realistyczny pomysł, by to czy tamto zrobić. Pojmowaliśmy realizm jako poprawną ocenę możliwości działania opozycyjnego w konkretnej sytuacji.

Tak było do czerwca 1976 roku. Po utworzeniu Komitetu Obrony Robotników zmieniła się nieco nasza perspektywa. Gdy korowskie formuły działania były atakowane jako awanturnicze i nierealistyczne, staraliśmy się dowodzić ich realizmu — wskazując na konkretne efekty. Gdy — przeciwnie — były one atakowane jako minimalistyczne, nadmiernie ugodowe, niemal kapitulackie — staraliśmy się bronić tezy, że postulat hasel i działań bardziej radykalnych jest nierealistyczny.

Pamiętam liczne dyskusje na ten temat. Jako nadmierny ugodowiec bywałem — bardzo zresztą rycersko — przyciskany do ściany przez Aleksandra Halla; jako rzekomy zwolennik kompromisów z władzą komunistyczną bywałem — już mniej rycersko — atakowany przez Ludwika Dorna.

I oto dwaj ci wybitni publicyści opublikowali w *Tygodniku Powszechnym* (14 lipca 1985) artykuły precyzujące dzisiejsze punkty widzenia, artykuły ważne, traktujące o sprawach zasadniczych, zasługujące na wnikliwą uwagę. Widzę w tych artykułach dopełnienie przemyśleń politycznych poczynionych po 13 grudnia, po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie chcę sugerować, że ich autorzy myślą identycznie. Sądzę wszakże, iż oba te artykuły są odzwierciedleniem tego samego procesu — procesu odchodzenia pewnych osób i środowisk od „Solidarności”. Zasługują one przeto na namysł w środowiskach „Solidarności”.

II

Polemiki z odchodzącymi są zwykle bardzo trudne. Łatwo dochodzi do głosu żal, pojawia się resentment. Spór o idee przeobraża się wtedy w konflikt personalny, nieuchronne przekleństwo politycznych podziałów. Zatruwając atmosferę, uczynić może to spór merytoryczny niemożliwym. Zastrzegam się tedy: nie mam najmniejszych wątpliwości, że Aleksander Hall i Ludwik Dorn kierują się w swych wypowiedziach troską o najlepiej pojmowany interes narodowy. Uważam też, że oba te artykuły obfitują w diagnozy trafne, pogłębiające naszą świadomość polityczną. Są też niejako zachętą do sprecyzowania punktów spornych. Chciałbym, by czytelnik podobnie ocenił niniejsze uwagi.

Aleksander Hall poświęcił swoje uwagi różnym wizjom realizmu politycznego. Pomińmy spór o zasadność dychotomii: idea-

lizm — realizm w europejskiej myśli politycznej. Jak każdy taki podział, może i ten być użyteczny, choć więcej wprowadza on — moim zdaniem — chaosu, niż ładu. Natomiast refleksja Halla nad obliczami realizmu w polskiej myśli politycznej jest ciekawa i inspirująca. Jakie — zdaniem Halla — były cechy myśli realistycznej?

Po pierwsze: „sprzeciw wobec opierania rachub na odzyskanie niepodległości na solidarności ze sprawą polską ludów Europy czy rządów mocarstw zachodnich”. W ten sposób poza obrębem myśli realistycznej stawia Hall Adama Czartoryskiego i cały Hotel Lambert.

Po wtóre: „niezgoda na absolutyzowanie walki zbrojnej i konspiracji jako jedynej formy działania niepodległościowego, na zastępowanie planowej polityki protestu, choćby moralnie w pełni uzasadnione”. W tej formule nie mieści się niemal nikt z Królestwa epoki paskiewiczowskiej, a za to wszyscy z Galicji ostatniego ćwierćwiecza ubiegłego stulecia.

Po trzecie: „dowartościowanie pracy organicznej jako działalności patriotycznej”.

Po czwarte: „umiejętność wykorzystywania dla sprawy narodowej instytucji państwa zaborczego”.

Te cechy — zdaniem Halla — wspólne były całości polskiej myśli realistycznej. Jej wewnętrznego podziału — na realizm gabinetowy i dynamiczny — dokonuje autor ze względu na inne cechy. Symbolem realizmu gabinetowego jest dlań Wielopolski, zaś realizmu dynamicznego — Dmowski.

Ten fragment rozważań Halla uważam za szczególnie odkrywczy i cenny, choć cechuje go pewna ahistoryczność. Podzielając generalną diagnozę autora, który główną różnicę widzi w stosunku do opinii narodowej, nie mogę wszakże wyzbyć się wrażenia, iż w realiach lat 1861-1863 dla realizmu *à la* Roman Dmowski po prostu nie było miejsca. Mógł on pojawić się dopiero na wspólnej mogile idei insurekcyjnej i koncepcji margrabiego z Chrobrza. Dlatego koncepcja Wielopolskiego, reprezentowana u schyłku stulecia przez konserwatystów z Królestwa, była po prostu karykaturą samej siebie — co zresztą Dmowski niejednokrotnie dokumentował w swojej publicystyce. Hall celnie zauważa, że istotą koncepcji Dmowskiego było oparcie jej o szerokie poparcie narodowe. Wielopolski najpierw zabiegał o poparcie petersburskiego dworu, Dmowski — o poparcie rodaków. Była to różnica zasadnicza.

Aleksander Hall nie po raz pierwszy odwołuje się pozytywnie do myśli politycznej narodowej demokracji. Także w tym artykule cytuje z aprobatą słowa Dmowskiego: „... państwo czy naród w danym momencie dziejowym nie ma dziesięciu polityk

do wyboru. Interesy jego i położenie wskazują mu, jakie są w danym okresie jego główne cele, dyktują mu jedną tylko politykę ogólną, którą w szczegółach można pojmować i przeprowadzać rozmaicie, ale od której zasadnicze odchylenie zawsze jest błędem”.

W słowach tych dostrzega Hall myśl, że „przy tej koncepcji polityki realnej nie można było sobie pozwolić na niezrozumienie ze strony społeczeństwa”.

Słusznie. Wszelako słowa te są również ilustracją — jedną z licznych — totalnych pokus obecnych w myśli politycznej Romana Dmowskiego. Kto powiada, że naród ma mieć jedną tylko politykę, ten nie jest zbyt odległy od stwierdzenia, że polityki inne są „nienarodowe”. Tak właśnie — wielokrotnie — rozwijał swą myśl Roman Dmowski. Dlatego bezkrytyczne reklamowanie myśli politycznej Dmowskiego, także tych jej składników, których wrogość wobec pluralizmu była oczywista, wzbudza mój niepokój.

Nie przypisuję — żadną miarą — skłonności totalitarnych Hallowi, który niejedną raz opowiadał się za wartościami demokratycznymi. Jednak symbole historyczne mają swoją logikę. Czym innym jest wysiłek ponownego odczytania dorobku narodowych demokratów, a czym innym zgoła ten rodzaj gloryfikacji, która nad całokształtem tej myśli pozwala nie deliberować nazbyt szczegółowo. Hall doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Dmowski to nie tylko autor przenikliwych analiz politycznych i twórca wielkiego obozu politycznego, ale i teoretyk polskich prądów czarnocinnych, klasyk mafijnej wizji dziejów, przeciwnik rozwiązań opartych na pluralizmie i demokracji. I Hall doskonale wie, że te składniki myśli Romana Dmowskiego pełnią dziś w Polsce określoną funkcję; że posługują się nimi ludzie typu Dobraczyńskiego, notoryczni antysemita czy wreszcie po prostu agenci Służby Bezpieczeństwa. Hall wie, że z pism Dmowskiego wyprowadzić można *zasadnie* różne nauki: „realizm dynamiczny”, ale i mafijną konstrukcję świata, antysemicki obłęd i prorosyjski serwilizm. Czemuż więc Hall pisze tak, jakby to wszystko nie istniało? Czy dlatego, że polityka ma swoje prawa? Czy nie chce naśladować „idealistów”, uprawiać moralistyki dającej świadectwo wartościom miast polityki sprawnej i pełnej sukcesów?

Zbyt wysoko cenię Aleksandra Halla, by mu zaoszczędzić tych nie pozbawionych goryczy pytań. To prawda: moralistyka nie zastąpi świadectwa moralnego. Pewne wzory kulturowe i stereotypy polityczne upowszechniane w Polsce za sprawą narodowych demokratów zasługują na moralne właśnie potępienie. Myśl polityczna pozbawiona moralnej kontroli staje się grą apelującą do ludzkich emocji i fobii. Życzę Hallowi, by nie musiał przyznawać racji mym słowom wtedy, gdy potężnym emocjom ciasnego szowinizmu nie sposób będzie postawić tamy.

Bowiem — inaczej niż Hall — obawiam się eksplozji szowinizmu. Karmi się on codziennie upokorzeniem polskiej dumy narodowej, karmi się bezmyślną propagandą gazetowo-telewizyjną. Jego niebezpieczeństwo tkwi w jego umysłowym prostactwie, w schlebaniu niechlujnym i leniwym instynktom ludzi wychowanych na kulturze dziennika telewizyjnego, w zaspokajaniu utajonych kompleksów metodą odrażającej megalomanii. Jeśli profesor wyższej uczelni *nie wstydzi się* piętnować Oskara Miłosza jako zdrajcę narodowego, to znaczy, że rak ksenofobii wciąż toczy polską duchowość. Można — rzecz prosta — pocieszać się, że jest inaczej — widzę w tym polityczną krótkowzroczność. Można — także — uznawać to za zjawisko pozytywne — widzę w tym moralną obrzydliwość. Nie można jednak — nawet w imię „realizmu dynamicznego” — zapominać, że w myśl Romana Dmowskiego i w tradycję narodowych demokratów wpisane są wciąż żywe cząstki politycznego Ciemnogrodu. Czy wolno przemilczać je intelektualście tej miary, co Aleksander Hall? Czy wolno mu lekceważyć zagrożenie, że na ścieżkę przezeń wydeptaną wkroczyć mogą miłośnicy totalizmu o barwach biało-czerwonych?

III

Polityka ma swoje prawa. Myślałem o tym również podczas lektury bardzo ciekawego artykułu Ludwika Dorna o roli prymasów w polskiej historii. Jego konkluzje są mi w wielu fragmentach niezwykle bliskie. Podobnie jak Dorn jestem zdania, że każdy pochopny atak na katolickich biskupów — choćby zrozumiałymi emocjami powodowany — posiada swój wielce skomplikowany kontekst. Podobnie jak Dorn uważam, że gra prymasów ze swej natury była trudna, delikatna i nie zawsze czytelna, lecz nieunikniona, „jeśli presja rządu nie przekraczała pewnych granic”. Dorn dowodzi tego przekonywująco i ilustruje celnymi przykładami. Ma też zupełną rację, gdy wskazuje, że „prymasi nie mogli traktować swoich wystąpień w sprawach polskich jako przemijających gestów”, bowiem „ich gesty obrastały od razu w społeczny i polityczny kontekst”. Zaś każdy prymas musiał być świadom, że chwile „gorących uniesień” miną, a władza zaborcza pozostanie.

Warto jednak pamiętać o czym Ludwik Dorn niestety zapominał, że prymasi nie mieli nigdy przywileju nieomyślności, a wspominając o męstwie i rozwadze jednych, warto nie pomijać także nędzy drugich, choćby tych z epoki konfederacji targowickiej. Obraz przeszłości jest złożony i obfituje w nauki rozmaite — nie myślę, by Ludwik Dorn był w tej materii innego zdania. Zważywszy na *współczesny* kontekst refleksji Ludwika Dorna,

prezentacja perspektywy historycznej jest jego niewątpliwą zasługą. Dobrze jest pamiętać, że konflikty prymasów z opinią publiczną mają swą tradycję. Wszelako ten sam współczesny kontekst nakazuje mi polemikę z innym stwierdzeniem Ludwika Dorna. Pisze on:

„Generałowie bez armii, jednostki, grupy, środowiska, nawet głośne i cieszące się chwilowym poklaskiem opinii, lecz niezdolne do mobilizacji w skali masowej i pozbawione oparcia w trwałych instytucjach, mogły sobie pozwolić w miarę bezpiecznie — mowa oczywiście o bezpieczeństwie związanym z polityczną i narodową odpowiedzialnością, a nie o bezpieczeństwie osobistym — na radykalne gesty i nawoływania do walki o polskość aż do ostatniego Polaka. Nic albo bardzo niewiele z ich wezwań wynikało. Od słów i działalności prymasów zależało natomiast bardzo wiele. Ich słowa i czyny liczyły się w innym rachunku”.

Przypominając w innym miejscu krytyki owych „generałów bez armii” kierowane pod adresem biskupów, pisze Ludwik Dorn:

„Dla wykrystalizowanych polskich środowisk politycznych 'ostrzej i mocniej' (pod adresem biskupów — A.M.) rozumiane było jako poparcie przez prymasa ich linii, dopisanie się do działań przez te grupy organizowanych”.

Wywód powyższy uważam za zasadniczo fałszywy. Sumaryczne określenie przywódców politycznych elit jako „generałów bez armii” oceniam jako publicystyczne nadużycie. Kogóż ma Ludwik Dorn na myśli: Kościuszkę i Traugutta? Piłsudskiego i Dmowskiego? Daszyńskiego i Witosa? A może Wałęsę i Bujaka? Lisa i Frasyniuka? Różni ci ludzie w różnych czasach o różne rzeczy mogli mieć pretensje do różnych biskupów. Wszelako z tych konfliktów różne lekcje można wyciągnąć. Dorn wnioskuje, że *w przeciwieństwie* do poczynań biskupów, poczynania „generałów bez armii” pozbawione były znaczenia. Mój pogląd jest odmienny: myślę, że były to działania prowadzone w różnych sferach i wniosek z historii minionej taki wyprowadzam, że sfer tych mieszać nie należy. Dorn pisze o skuteczności biskupich apeli do społeczeństwa. Dla mnie bardziej owocne jest stwierdzenie, że pewnych apeli biskupi nigdy nie formułowali i nie sformułowali. Mówiąc najprościej: nawet uznając prawo Polaków do buntu, nie będą nigdy biskupi tego buntu organizatorami i przywódcami. I słusznie — byłoby to nadużyciem ich religijnej misji. Bunt i manifestacje, strajki i protesty organizować mogą tylko oni — tak szydęro przez Ludwika Dorna zwani „generałami bez armii”. I nie należy się dziwić, jeśli ci ludzie dla pewnych swych działań oczekiwać będą życzliwej aprobaty ze strony biskupów. I jeśli

— jak to już nieraz bywało — będą taką aprobatę otrzymywać.

Może to rodzić pokusę „dopisywania działań biskupa” do poczynań własnych — podzielał tę obawę Dorna. Dlatego trzeba przed takim rozumowaniem przestrzegać. Rola Kościoła jest bowiem nieredukowalna do żadnych politycznych strategii. Powtórzmy: do żadnych. Bowiem diagnozę Ludwika Dorna warto wzbogacić i poszerzyć. Otóż były i są jednostki i grupy, które deklarując swą tożsamość ze stanowiskiem biskupów traktowały te deklaracje jako sposób walki politycznej z przeciwnikami. Tak czynili np. w Królestwie ugodowcy w konflikcie z narodowymi demokratami u progu naszego stulecia. Nasuwa się pytanie: kto traktował biskupów instrumentalnie? Czy ci, którzy jawnie formułowali swoje krytyki (mniej w tej chwili o ich zasadność), czy też ci, którzy udając pobożność wnosili ukradkiem w strukturę Kościoła własne polityczne cele?

Powtórzmy: współczesny kontekst tego sporu jest nader klarowny. Dlatego uwagi o „generałach bez armii” jawią mi się jako sarkazm wielce nierycerski. Można uznawać, że „Solidarność” poszła fałszywą drogą i wybierać inną, ale dla przywódców „Solidarności” warto zachować szacunek. Przez ostatnie cztery lata — myślę — godziwie nań zasłużyli. Nie wątpię, że Ludwik Dorn wie o tym wszystkim. Czemu tedy tak łatwo o tym zapomina? Czyżby dlatego, że polityka ma swoje prawa?

Zgoda, polityka ma swoje prawa. Jednym z tych praw jest pewność, że przyszłość niemal zawsze jest zbiorem zaskakujących niespodzianek. Dlatego nie zgadzam się ani z Dmowskim, ani z Hallem, ani też z Dornem: sprawa polska potrzebuje kilku wariantów troski o przyszłość. Polacy muszą mieć kilka polityk do wyboru. Nie tylko dlatego, że pluralizm jest wartością samą w sobie i jest faktyczną rzeczywistością. Także dlatego, że należy być przygotowanym na różne scenariusze. Jednym z nich jest scenariusz oporu, którym nie mogą — z natury rzeczy — kierować biskupi, a muszą to czynić owi wyszydzeni przez Dorna „generałowie bez armii”.

Z powyższego widać, że nie podzielał poglądów Aleksandra Halla i Ludwika Dorna. Uważam jednak, że nie należy ich lekceważyć, a tym bardziej okładać anatamą. Należy widzieć w nich fragment procesów szerszych, fragment dekompozycji dotychczasowej mapy ideowej Polski. Innym takim fragmentem są publikacje Marcina Króla i Piotra Wierzbickiego, wypowiedzi Wiesława Chrzanowskiego czy Andrzeja Micewskiego. Ich głosy wyraźnie odróżniają się od tonu gazet „Solidarności”, wzbudzają i wzbudzać będą odruchy polemiczne. Jest rzeczą ważną, by te polemiki były również lekcją kultury politycznej dla wszystkich. A także by pamiętać, że dla „Solidarności” przeciwnikiem głównym jest totalitarna władza, a nie „nowi realiści”. Inaczej mówiąc: jeśli

lata 1980-1981 odkryły karty społecznego konfliktu, to oczywisty jest wniosek, iż od naszych dzisiejszych poczynań zależy kształt polskiej demokracji. Im więcej zbudujemy demokracji dzisiaj, tym więcej będzie jej w niepodległej Polsce. Składnikiem demokratycznej edukacji jest stosunek do ludzi, którzy myślą inaczej, do tych odchodzących dziś od „Solidarności” i szukających odmiennych dróg. Powtórzyć tedy wypada: w każdej krytyce odnaleźć można ukrytą wartość, każda krytyka jest dobrą okazją do zobaczenia samego siebie cudzym okiem. Nawet krytyka podejmowana przez totalitarną propagandę.

IV

Polityka ma swoje prawa. Także polityka w cudzym świecie — partyjny tygodnik. Prawem *Polityki* jest klepanie zadanej lekcji. Od wielu lat wszakże *Polityka* klepie tę lekcję w sposób nieco zindywidualizowany: chrząkając, robiąc oko do publiczności, kiwając palcem w bucie. Zdarzają się jednak niespodzianki.

Polityka z końca czerwca ub. roku przyniosła materiał zaiste rewelacyjny: fragmenty wypowiedzi przywódców podziemnej „Solidarności”. Pochodzą one z książki „Konspira”, opublikowanej jednocześnie w wydawnictwie podziemnym i emigracyjnym. Pierwszy chyba raz od chwili wprowadzenia stanu wojennego prasa oficjalna przytoczyła tak obszernie głosy swych oponentów. Po raz pierwszy mogli z oficjalnych łamów przemówić ludzie znani od 13 grudnia jedynie z listów gończych. Jaka intencja przyświecała partyjnemu piśmiu? Podziemna „Solidarność” miała zostać skompromitowana: tym kierowano się przy doborze cytów.

Nie myślę, by ten zamysł uwieńczony został powodzeniem. Publikacja *Polityki* nie tylko jest triumfem niezależnego obiegu wydawniczego, ale i przekonywującym argumentem na rzecz tezy o funkcjonowaniu bariery językowej pomiędzy ośrodkami władzy a opinią publiczną. Bowiem te wypowiedzi, które w odczuciu redaktorów *Polityki* miały „Solidarność” skompromitować, wystawiają jej — w moim odczuciu — bardzo dobre świadectwo. Mimo oczywistej tendencji doboru, przywódcy podziemia wyszli z tej próby zwycięsko.

A przecież czytałem przed aresztowaniem tę książkę i daleki byłem od zachwyty. Jej bohaterowie — odnotowałem podczas lektury — są ludźmi znacznie ciekawszymi i bogatszymi duchowo, niżby to wynikało z „Konspiry”, z ich własnych wypowiedzi zestawionych przez autorów książki. O ile sam pomysł wydał mi się znakomity: przedstawić przywódców podziemnej „Solidarności”, o tyle realizacja — myślę — zasługuje na niejedną kry-

tyczną uwagę. Jest naznaczona pośpiechem i gonitwą z policją, tym wszystkim, co cechuje polskie życie umysłowe, permanentnie tropione, zawieszane między pisarskim biurkiem a policyjnym komisariatem. I oto niespodzianka: na tle drętwej i jałowej publicystyki partyjnej głosy przywódców „Solidarności” stały się znakiem autentycznego życia...

Nie jest wszakże moją intencją recenzowanie tej książki. Zainteresowały mnie w niej najbardziej szczerłość i odwaga rozrachunku z niedawną przeszłością. Bowiem ten rozrachunek z własnymi błędami dokonuje się ciągle, staje się źródłem siły ruchu. Dlatego przyglądać się warto różnym jego obliczom. Głosy Aleksandra Halla i Ludwika Dorna są także rozrachunkiem z przeszłością. Taki też sens miały inne wypowiedzi, m.in. bardzo ciekawy wywiad Wiesława Chrzanowskiego (cytowany w *Tygodniku Powszechnym* z 18 sierpnia 1985 r.), który deklaruje się jako przedstawiciel „sił umiaru”, powiada, że „są takie okresy, gdy skuteczne działanie jest... czekaniem”, a cnota roztropności bywa w większej cenie niż cnota męstwa. Powtarza też Chrzanowski uwagi o potrzebie odpowiedzialności politycznej, której wzór widzi w Prymasie Wyszyńskim. Podzielając wysoką ocenę Prymasa Wyszyńskiego, czuję się w obowiązku zauważyć, że stawiać Prymasa za wzór można tylko w sensie metaforycznym: inne są powinności biskupa, inne polityka. Chrzanowski — jakby tego świadom — przywołuje znane słowa Dmowskiego, polityka, a nie biskupa, o tym, że „bytu Polski ryzykować nie wolno” żadnej jednostce, organizacji, ani nawet pokoleniu. Ma to być uzasadnienie dla przestróg przeciw „posunięciom radykalnym”.

Słowa Dmowskiego godziły swym ostrzem w koncepcje i działania Piłsudskiego. To Piłsudski miał być tym, który „ryzykował” byt Polski. Kto dziś jest tym ryzykantem, tego Chrzanowski nie precyzuje. Jedno wszakże przebija z jego słów: „Solidarność” zgubił nadmiar radykalizmu.

Nie jest to pogląd oryginalny. Choć jestem odmiennego zdania, widzę w takich opiniach ogromną zaletę edukacyjną; zmuszają do spojrzenia na własną przeszłość od strony jej pomyłek i potknięć, a nie w intencji pokrzepienia serc i napawania się mioną krzepą. Takie spojrzenia odnalazłem w cytowanej przez *Politykę* wypowiedzi Bogdana Borusewicza. Relacjonując swe wrażenia z epoki „Solidarności” jawnej, mówił:

„— To, co się działo w gdańskim MKZ-cie, przynajmniej na początku, trudno sobie nawet wyobrazić. Przyjeżdżałem do domu nocą, coś tam jeszcze zjadłem, rzucałem się do łóżka i rano z powrotem do orki. Ale nie był to najważniejszy powód — nie dlatego doszedłem do wniosku, że nie ma sensu dalej wojować. Po prostu zacząłem dostrzegać, jak zmieniają się ludzie, którzy kiedyś byli przyjaciółmi, jak uderzają im do głowy ambicje, jak

ze skromnych i uczynnych kolegów wyrastają *boss*-owie niszczący swoich oponentów. Raptem uświadomiłem sobie, że sukces wcale nie musi zmieniać człowieka na lepsze. Ze sukces społeczny, narodowy tego ruchu przestaje być moim sukcesem. Czuję się coraz gorzej, ale to może tylko moja nadwrażliwość.

Niestety, doszła kolejna sprawa. Ruch obrastał wszystkimi negatywnymi cechami systemu: nietolerancją dla inaczej myślących i czujących, tłumieniem krytyki, prymitywnym szowinizmem. Nie wyobrażam sobie sytuacji, żeby na wyborach do władz 'Solidarności' wstał facet i powiedział: jestem niewierzący. Wśród kandydatów zdarzali się przecież różni ludzie, katolicy i ateści, każdy jednak podnosił krzyż do góry. Nie było człowieka, który by powiedział: nie złożę tej przysięgi, bo jestem po prostu niewierzący; chciecie to mnie wybierzcie, nie — to nie. Kwitł kult wodzostwa. Najpierw wódz najwyższy — Wałęsa, którego nie było można skrytykować, potem wodzowie w każdym województwie, niemal w każdym zakładzie. I co gorsza, ludzie — tak, jak to opisał Fromm w 'Ucieczce od wolności' — chcieli pozbyć się swej wolności, złożyć ją w ręce tych wybujałych autorytetów. Bo jak inaczej określić postawę, kiedy na zebraniu w Regionie ktoś zabiera głos i oświadcza, że wyborcy zobowiązali go, aby głosował za wszystkim, co powie Wałęsa, a przeciw wszystkiemu, co powie Gwiazda? Nieraz miałem wrażenie, że się znajduje w teatrze groteski. Przecież takich jaj nie dałoby się znieść nawet na zjeździe partii. Z nietolerancją współbrzmiał — jak mówiłem — szowinizm. Powstało w 'Solidarności' skrzydło porównywalne tylko z 'Grunwaldem' czy 'Rzeczywistością'. Różnicę widziałem jedną — stosunek do komunizmu. 'Prawdziwi Polacy' z 'Solidarności' też reprezentowali ideologię totalitarną, tylko w kolorze innym niż czerwony. Co dziwniejsze, skrzydło to uzyskało duże wpływy wśród robotników. Natomiast środowiska tzw. liberalne, których trzon stanowiła stara opozycja, były wyciskane z 'Solidarności'. Z jednej strony przez propagandę partyjną, z drugiej — przez 'prawdziwych Polaków', z trzeciej — przez hierarchię Kościoła, której znacznie bliższa ideowo była w 'Solidarności' grupa totalitarna.

Wojowałem długo, aż wreszcie uznałem, że jeśli społeczeństwo chce iść w zupełnie innym kierunku niż powinno, to niech sobie idzie. Ruch nabrał własnej dynamiki, stając się — wbrew logice — coraz bardziej radykalny (ale tylko werbalnie). W pewnym momencie wybrani demokratycznie działacze stracili kontakt z rzeczywistością. A rzeczywistość, oprócz 'Solidarności', ulotek, Wolnej Europy, to jeszcze ZSSR, wojsko i bezpieczeństwo, o której wiedzieliśmy, że robiła listy osób do internowania już jesienią 1980 roku. Ku mojemu zaskoczeniu, poczucie realizmu stracili także Kuroń, którego znałem jako pragmatyka trzymającego się ziemi, i Modzelewski. Nastąpił amok. Przesztano myśleć kategoriami politycznymi, a zaczęto mistycznymi — że jak się powie słowo, to stanie się ciałem, czyli jak powiemy 'oddajcie nam władzę', to władza znajdzie się w naszych rękach. Była, oczywiście, ogromna presja społeczna na przywódców, ale to ich nie usprawiedliwia,

bo przywódcy po to są przywódcami, żeby myśleć, przewidywać, a nawet, jeśli trzeba, iść pod prąd. Więc albo należało głośno mówić i jednocześnie czynić przygotowania do ewentualności starcia, albo nie należało gębować. (...) Doszła do tego fatalna, moim zdaniem, polityka kadrowa w doborze władz krajowych i naszych, regionalnych. W doborze, a nie w wyborze, bo dobierał jeden jedyny człowiek, co większość demokratycznie akceptowała. Dobierał na zasadzie: ten mi nie podskoczy. A nie podskakują zwykle ci, co nie mają własnego zdania lub cywilnej odwagi, aby je wyrażać. W sytuacji ekstremalnej — 13 grudnia 1981 — zemściło się to na całym Związku".

Tyle wynotowałem z wypowiedzi Borusewicza. Porównując jego głos z opiniami Chrzanowskiego, zastanawiam się: czy to Borusewicz jest tym, który „ryzykuje byt Polski”? Czy to przed nim przestrzega Chrzanowski swych czytelników?

A przecież i Borusewicz zwraca uwagę na obecny w „Solidarności” radykalizm. Nie poprzestaje jednak — inaczej niż Chrzanowski — na moralistycznych ogólnikach. Stara się rozszyfrować ten fenomen, spojrzeć głębiej, widzieć konteksty. Nie wiem, czy Hall uzna jego stanowisko za wyraz „realizmu dynamicznego”, nie wiem czy Dorn dojrzy w nim jednego z „generatów bez broni”. Wiem wszakże, iż styl rozumowania Borusewicza jest mi niezwykle bliski, imponuje mi jego pasja w dążeniu do prawdy, jego bezkompromisowa szczerłość. Podzielał wiele z jego krytycznych uwag, a sam sposób rozumowania jest mi nieporównanie bliższy od formuł Wiesława Chrzanowskiego. W czym tkwi różnica pomiędzy nimi? Czy jest to różnica pokoleń i doświadczeń, czy też temperamentów i idei?

Kiedy rozmawiałem z Borusewiczem po wyjściu z więzienia i gratulowałem mu odwagi w wypowiedzianiu tych krytyk, Borsuk — bo tak go nazywają przyjaciele — spojrzął na mnie smutno i zapytał: a czy ty odważył się napisać to, co teraz mówisz?

Częstokroć wracałem potem do tego pytania. I przyznać musiałem, że odwagi mi nieco brakuje. Nie tylko dlatego, że osąd Borsuka jest zbyt jednowymiarowy, że w swej rozliczeniowej pasji zapomniał mój przyjaciel o tym wszystkim, co mimo licznych znamion degeneracji zostało dokonane. Na przykład nazbyt jednowymiarowo ocenia rolę Lecha Wałęsy — jakby bliska znajomość z Wałęsą utrudniała Borsukowi chłodny osąd pozytywnych aspektów wielkiego mitu robotniczego przywódcy. Jakby gorycz wytarła mu z pamięci obraz ludzi, którzy twardo walczyli o demokrację w Związku — jedną z takich osób był Karol Modzelewski. Upraszcza on też dramatyzm sytuacji Jacka Kuronia, działacza najwybitniejszego spośród nas wszystkich i najbezwzględniej atakowanego przez przeciwników. Wreszcie sprawa najistotniejsza: tragizm sytuacji Związku polegał nie tyle na błędach przy-

wódców, co na układzie obiektywnych czynników, na które ci przywódcy nie mieli wpływu. Warto o tym pamiętać, by nie wpadać w „rozliczeniową” przesadę, by samoidealizacji nie zastępować demonizacją własnych potknięć.

O sprawach tych — szukając odpowiedzi na pytania Borsuka — pisałem szerzej w eseju „Takie czasy”. Zastanawiałem się tam nad formacją „prawdziwych Polaków”, nad stosunkami między Związkiem a Kościołem, nad radykalizacją nastrojów w „Solidarności”. Wszelako podejmując ten temat czułem się zakłopotany. Wciąż dźwięczały mi w uszach uwagi o korowcach, którzy chcą „zdominować Związek”.

Ci z korowców, którzy byli działaczami struktur „Solidarności” (jak Borsuk, Zbyszek Romaszewski, Heniek Wujec) mogli sobie takie uwagi lekceważyć. Mnie — sądziłem — robić tego nie wolno. Bałem się tedy złej akustyki mych słów, bałem się sytuacji, w której inna myśl zostaje wypowiedziana, a inna usłyszana. Inaczej Borsuk: on, jeden z przywódców podziemnej „Solidarności”, w mniejszym stopniu był narażony na niewłaściwy, niezgodny z jego intencjami odbiór.

Skoro jednak — decyzją Wojciecha Jaruzelskiego — zostałem zaliczony do grona członków TKK, skoro sędzia Zieniuk skazał mnie za tę wymagowaną przynależność na trzy lata więzienia, uznałem, że także moja intencja staje się dostatecznie czytelna.

V

Powiedzmy przeto kilka słów o wyroku i towarzyszących mu komentarzach.

Czytam o sobie w uzasadnieniu wyroku:

„(...) od stycznia 1985 roku jako przedstawiciel Regionalnego Komitetu Wykonawczego 'Mazowsze' wszedł w jej (TKK — A.M.) skład osk. Adam Michnik (...). Podczas przeszukania Barbary Szwedowskiej, pozostającej w konkubinacie z osk. A. Michnikiem, u której tamże czasowo w mieszkaniu przebywał, ujawniono między innymi pismami — *rękopis* wykonany na kartce kratkowanego papieru stanowiący w swej treści program działania dla byłego przewodniczącego NSZZ 'Solidarność' L. Wałęsy. (...)

Osk. Adam Michnik w śledztwie i na rozprawie nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu przestępnego. Wyrażając swoją dezaprobatę do sposobu przeprowadzania postępowania przygotowawczego, a w szczególności tej części związanej z procedurą zaznajamiania podejrzanego z materiałami śledztwa, osk. A. Michnik odmówił składania wyjaśnień dotyczących kwestii związanych z przedstawionym mu zarzutem.

Odnośnie istnienia i działania tymczasowej komisji koordyna-

cyjnej osk. A. Michnik oświadczył wprost, iż byłoby dla niego zaszczytem przynależć do tej nielegalnej organizacji.

Osk. Adam Michnik wielokrotnie, w oderwaniu od toczącego się procesu usiłował przedstawić swój swoisty program działania politycznego i filozofię życia. Wielokrotnie w sposób rażący, arogancki i napastliwy zakłócał porządek toczącej się rozprawy. Zgłaszał różne formalne wnioski dowodowe, które zmierzały wyłącznie do przedłużenia jak najdłużej rozprawy lub jej stordowania. Natomiast osk. A. Michnik merytorycznie nie ustosunkował się do postawionego mu zarzutu opisanego w akcie oskarżenia, jak również do zebranego w śledztwie materiału dowodowego.

Reasumując, swoją postawą, składanymi wyjaśnieniami i oświadczeniami osk. A. Michnik starał się utrzymać jak najdłużej w sferze zainteresowania określonych kół i środowisk w kraju i za granicą.

Osk. A. Michnik usiłował prowadzić w oparciu o swoiste normy postępowania i jemu tylko znane przepisy proceduralne swój własny proces, który nie miał nic wspólnego ze sprawą III K 45/85, a w którym występował on jako główna osoba 'dramatu', 'trybun ludowy' określonych środowisk, filozof, twórca i prawie że 'geniusz'.

Oczywiście tego rodzaju postawa, zachowanie się osk. A. Michnika musiała i spotkała się z odpowiednią, opartą na przepisach kodeksu postępowania karnego, prawa o ustroju sądów powszechnych reakcją sądu. (...)

Każdy z trzech oskarżonych spełniał i odgrywał określoną i inną rolę w ramach TKK. Ta rola, zdaniem sądu, określona została również mentalnością, poziomem intelektualnym, osobowością A. Michnika, B. Lisa, W. Frasyniuka.

Ideolog A. Michnik przedstawiał św. L. Wałęsę programy działania, które w praktycznej nielegalnej formie w postaci strajków realizował tzw. 'komandos' osk. Wł. Frasyniuk. (...)

Sposób działania wszystkich trzech oskarżonych świadczy o wyjątkowo dużym napięciu złej woli, co również stanowi okoliczność obciążającą. (...) Na niekorzyść oskarżonych przemawia wreszcie naganne, aroganckie, zakłócające porządek rozprawy zachowanie się oskarżonych w czasie rozprawy”.

Tyle sędzia Zieniuk. Polemiki z tymi wywodami nie uważam za celową i możliwą. Przecież to monolog żywcem zacerpnięty z Witkacego, to absurd zamierzony, surrealizm świadomy. Jakże polemizować z surrealizmem jurydycznym?

Jednak cenne myśli sędziego Zieniuka nie powinny zostać zapomniane. Gdybym je streścił własnymi słowami, czytelnik byłby uznał, że złośliwie wypaczam ich kształt. Dlatego zacytowałem je tak obszernie, w całej ich intelektualnej głębi i pełnym blasku prawniczej erudycji. Na dowód, że Witkacy był pisarzem realistycznym.

Ten fragment wyroku nie godzi wszakże w nas trzech. Jest

to wyrok na Wojciecha Jaruzelskiego. Kto posługuje się Zieniukiem, do poziomu Zieniuka redukuje sam siebie. Kto broni swojej władzy przy pomocy takich sędziów, osądza sam siebie. Polityka ma swoje prawa. Oto jedno z nich.

Wyrok został ogłoszony w połowie czerwca. Wspomniany już numer *Polityki* przyniósł doń swoisty komentarz. Pragnąc wzbogacić wizerunki oskarżonych, Kazimierz Koźniewski przytoczył wypowiedzi Bogdana Lisa i Władka Frasyniuka, mające ich skompromitować. Daniel Passent zajął się moją skromną osobą.

Które ze słów Bogdana Lisa uznał Koźniewski za materiał szczególnie obciążający? Posłuchajmy:

„Główną słabość 'Solidarności', szczególnie pod koniec 1981 roku, widziałbym w bufonadzie działaczy, często już od szczebla zakładowego. Nie dotyczyło to może większości, ale ton nadawali ci, którzy potrafili głośno mówić i w odpowiednim momencie bić pięścią w stół. Brakowało doświadczenia pozwalającego demokratycznie sprawować władzę. W Gdańsku konkurowały ze sobą dwie frakcje, a właściwie dwa programy. Błędy były po obu stronach, ale drugi program, który w rezultacie przegrał, był chyba słuszniejszy, bo przewidywał demokratyczne formy kontrolowania władzy, także związkowej. Przewidywał działania, o jakich mówiliśmy w Sierpniu, a nawet jeszcze wcześniej. Błędy programów brały się stąd, że tworzono je w sytuacji ostrej walki, co rzuciło cień na konstruktywne propozycje i Wałęsy i Gwiazdy.

Mam nadzieję, że społeczeństwo dzisiaj dostrzeże, jak się zachowuje wielu dawnych krzykaczy, którzy albo wyemigrowali, albo podpisali deklarację lojalności, albo po prostu podkulili ogony i milczą. Myśląc o przyszłości, musimy się wreszcie słuchać argumentów, nie krzyków”.

Te słowa uznał Kazimierz Koźniewski za kompromitujące dla przywódcy robotniczego, skazanego przed kilkoma dniami na 2 i pół roku więzienia.

A oto „kompromitujące” refleksje Władka Frasyniuka z 1982 roku:

„Czy jeśli oczekiwanie będzie się przedłużało, społeczeństwo nie ulegnie zmęczeniu, nie powie: no i na diabła budowaliśmy to podziemie? Czy ludzie nie wpadną w otepienie, jak bokser po walce, w której co prawda nie upadł i nie stracił zębów, ale zainkasował tyle trafień i tak się wyczerpał unikami, że mu huczy w głowie? I drugie pytanie: czy jesteśmy w stanie przetrwać dłuższy okres jako członkowie konspiracyjnej organizacji, a więc ocaleć przed aresztowaniem, infiltracją, nie zatracić zdolności działania? Otóż sądzę, że tak, bo nieważne, czy ją przetrzymam, ważne, że my przetrzymamy. Jeśli mnie aresztują, będzie Bednarz; jego zwina, kierownictwo przejmie Pinior; wpadnie Pinior, przyjdzie jakiś Kowalski. Jeżeli stworzymy struktury zakładowe, przetrwamy bez wątpienia”.

„Nieufność — zastanawia się Frasyniuk — to uczucie normalne, chociaż zrodzone przez nienormalną sytuację, w której funkcjonujemy. Wiele razy zawiodłem się na ludziach. Odmawiali pomocy ci, na których bardzo liczyłem. Albo to udawanie: niby chcą współpracować, tylko przez trzy miesiące nie mogą złapać z nami kontaktu, a w międzyczasie nic literalnie nie robią! Tracę szacunek dla takich osobników. Nie 'sprzedam' facetowi niczego, chociaż był moim kumplem. Jak zadaje pytania, od razu myślę: cholera, co on chce z tą informacją zrobić? Czy przypadkiem nie planuje mnie przyblokować?

Instrumentalny sposób traktowania innych, a także i siebie, widać w praktycznym działaniu. Jestem jak wół roboczy, który tyra do upadłego: zmęczony, a piszę; skonany, a idę na spotkanie. Powinienem nieraz kogoś opieprzyć, a chwale, bo wiem, że to go tylko podmontuje.

Z nieufnością i manipulacyjnym podejściem do ludzi wiąże się również sprawa znacznie poważniejsza — utrata wiary w człowieka. Codziennosc organizacyjna, czysto techniczna, tak daleko przesłania czasem cele nadrzędne (czyli ideały które pchnęły nas do walki), że po prostu je gubimy. Zauważasz dokoła siebie tchórzostwo, miękkość psychiczną; nabierasz przekonania, że na nikim właściwie nie można polegać, z wyjątkiem siebie. Brutalnie mógłbym powiedzieć tak: działamy, budujemy struktury konspiracyjne dla obrony społeczeństwa przed reżimem, ale przecież społeczeństwo składa się z konkretnych jednostek. I oto wątpliwość — próbujemy chronić ludzi, którzy — być może — nie są tego warci.

Rzecz równie stara jak konspiracja, to różnego rodzaju starcia frakcyjne w podziemiu. Niby wszyscy chcemy walczyć o wolną Polskę, samorządne społeczeństwo, braterstwo i tak dalej, a stopniowo wychodzi na jaw, że stosujemy wątpliwe metody, niskie chwyt. Braterstwo jest fikcją, nie ma wspólnoty, ideały idą w ką. Teoretycznie jeszcze istnieją, ale zdają się coraz bardziej abstrakcyjne, ponieważ środki, z których korzystamy, są już niegodne”.

W ten sposób postrzeża Władek Frasyniuk zagrożenie podziemnych struktur.

Rozwijając ten wątek, Bogdan Borusewicz zauważa:

„Na szczęście, nie osiągnęliśmy etapu, by śpiewać: 'My, pierwsza brygada...' w starej wersji. Nie wiem, czy ją znacie? Legioniści byli strasznie niedowartościowani i co z tego wyszło? Nie minęło wiele czasu, a sami tak się zaczęli dowartościowywać, że ludzi znowu od nich odrzucało. Wszystko z poczucia osamotnienia i wyższości”.

Te mądre i przenikliwe uwagi przywódców „Solidarności” przytaczam dla zilustrowania ich stylu myślenia o polityce i wartościach. A także dla porównania ze sposobem myślenia ich anta-

gonistów. Próbką stylu Zieniuka były fragmenty wyroku. A oto przykład polemicznej metody Daniela Passenta.

„W ostatnich tygodniach — pisze Passent, rozważając temat 'opozycja, a kwestia niemiecka' — ukazały się trzy głosy funkcjonariuszy opozycji polskiej w kraju i za granicą, które pozwalają na pewne uogólnienia”.

Skupmy przez chwilę uwagę na tym zdaniu. Czy opozycja polska jest instytucją, która ma swych funkcjonariuszy, tzn. ludzi wypełniających określone funkcje za określonym wynagrodzeniem? Nie. Opozycją nazywamy całokształt różnorodnych, często konkurencyjnych i wzajemnie konfliktowych środowisk, ugrupowań, struktur i poczynań, które oponują przeciw polityce rządu Wojciecha Jaruzelskiego. Taka opozycja — to oczywiście — nie ma i nie może mieć funkcjonariuszy. Funkcjonariuszem nie jest zwolennik jakiejś struktury, lecz jej urzędnik. W tym sensie nie jest np. funkcjonariuszem aparatu bezpieczeństwa człowiek, który ochotniczo pisze raporty z oglądanych przedstawień teatralnych, nie jest nim donosiciel z potrzeby serca, lecz tylko taki donosiciel, który na spektakle chodzi służbowo (na polecenie przełożonych), a pisanie donosów należy do jego służbowych obowiązków. Passent myli tedy różne pojęcia: funkcjonariusza i zwolennika, sympatyka, współpracownika. Funkcjonariusz robi to, co mu każe przełożony, zwolennik to, co mu każe rozum i serce. Czyżby Passent naprawdę wierzył, że obdzielając mnie przezwiskiem „funkcjonariusza”, zożydzi mnie skutecznie w oczach swych czytelników?

Passent omawia w swym felietonie trzy głosy: autorami ich jesteśmy p. Wiesław Lambui, niewymieniony z nazwiska publicysta z majowego (1985 roku) numeru *Kultury* i ja. Nie znam dwóch wypowiedzi, na które powołuje się Passent. Nie znam również ich autorów i nigdy o nich nie słyszałem. Nie mogę przeto powiedzieć o nich nic dobrego ani nic złego. Znam natomiast swój własny artykuł, napisany półtora roku wcześniej, opublikowany w mej książce „Niezlomny z Londynu”.

Pisze o mnie Passent:

„Jeden z twórców KOR zamieścił w emigracyjnym czasopiśmie *Kontinent*, które ukazuje się w Bonn, artykuł pod wymownym tytułem 'Antyniemiecka karta reżimu polskiego'”.

Jakkolwiek tytuł „twórcy KOR” jest dla mnie wielce zaszczytny, to — dla prawdy materialnej — muszę sprostować, że zaszczyt to niezasłużony. Gdy powstawał Komitet Obrony Robotników, byłem w Paryżu (wrzesień 1976 r.), do KOR-u wstąpiłem po powrocie do Polski, w maju 1977 roku. Dalej: *Kontinent* jest

kwartalnikiem rosyjskiej emigracji redagowanym w Paryżu. W Niemczech ukazuje się niemiecka edycja tego pisma. Czy to tak trudno sprawdzić? Wszelako Passent woli straszyć widmem Bonn i niemieckich odwetowców, niż napisać prawdę. I woli nie wspominać — streszczając mój artykuł nieuczciwie, wypaczając jego sens i przesłanie — że podjąłem tam m.in. polemikę z niemieckimi głosami kwestionującymi polską granicę zachodnią. Wszystko to jest mu potrzebne, by móc w konkluzji napisać o nieznanym mi publicyście emigracyjnym i o mnie:

„Fakt, że ludzie ci wtórują nacjonalistom niemieckim jest żaloszny. Można mieć różne zdania co do porządków panujących w Polsce (jak różne? — A.M.), ale w zaciętrzewieniu antykomunistycznym i antyradzieckim nie można sprzedawać naszych interesów narodowych, które powinny być dla nas święte i ważniejsze niż jakakolwiek partia, polityka oraz ideologia. Jeżeli Polacy, polskimi głosami, zaczną potwierdzać, iż nie mamy prawa do ziem odzyskanych, a zagrożenie naszych interesów jest li-tylko wymysłem oficjalnej propagandy, to siłą rzeczy dostarczają amunicji tym, w których istnienie sami rzekomo nie wierzą, tym, którzy nie mogą pogodzić się z wynikami II wojny światowej i chętnie by je zmienili. (...) Nie można tak lekceważyć interesów narodowych tylko dlatego, że się komuś ustrój nie podoba, ponieważ naszym przeciwnikom, a tacy także istnieją, nie podoba się znacznie więcej niż ustrój”.

Tako rzecze Daniel Passent. Wdzięczny mu jestem za tę pełną ekspresji i oświecicielską tyradę. Wiem nareszcie, czym się dotąd zajmowałem. Wtórowaniem niemieckim nacjonalistom, sprzedawaniem różnych interesów narodowych, dostarczaniem amunicji odwetowcom, dowodzeniem, że nie mamy prawa do ziem odzyskanych. Cenna ta wiedza z pewnością poszerzy moje horyzonty umysłowe.

Jednego tylko wciąż nie wiem: co się stało z Danielem Passentem? Nie był to nigdy tytan intelektu ani też książę niezłomny charakteru, jednak posługiwał się zazwyczaj poprawną polszczyzną. Eseje o „sprzedawaniu interesów” i „dostarczaniu amunicji” pozostawiał innym publicystom, bliższym konwencji pisarskiej Wandy Odolskiej, Ryszarda Gontarza czy Henryka Gaworskiego. A może pod nazwiskiem Passenta zaczął pisywać sędzia Zieniuk?

Bo oto zespoliły mi się w harmonijną jedność te dwa typy ludzkie, które dotąd starannie próbowałem rozdzielać: podłość jednych dorównała głupocie drugich. Dostrzegam — oczywiście — różnice w kalibrze intelektualnym. Jednak ani Zieniuk nie jest tak tępy, by nie wiedział, że czyni podłość, ani też Passent nie jest tak wybitny, by podłość mogła mu zostać łatwo zapomniana.

Cóż się więc stało z Danielem Passentem? Odpowiedź — wbrew pozorom — nie jest nadmiernie skomplikowana. Passent nie uległ Dialektyce Dziejów ani też argumentom o Historycznej Konieczności czy Racji Stanu — po prostu uległ własnemu strachowi. Także własnemu brakowi wyobraźni. Uzasadniając swoje pozostanie w redakcji *Polityki* po 13 grudnia, myślał zapewne, że pisanie świństw będzie mu zaoszczędzone. Aliści kiepsko przewidywał. Zapomniał o przestrodze Leszka Kołakowskiego:

„Również ci, którzy sądzą, że płacą tylko nieznacznymi ustępstwami za spokój, przekonywać się będą, że cena tego spokoju będzie coraz wyższa; ci, co płacą tylko niewinnym na pozór lizusostwem, będą jutro zmuszeni płacić donosicielstwem za ten sam towar; ci, co licze swe przywileje okupują tylko milczeniem w obliczu świństwa, na które mogą reagować, będą musieli za te same przywileje płacić rychło aktywnym udziałem w świństwie. Naturalnym prawem despotyzmu jest moralna inflacja, która sprawia, że rozdawca dóbr każe sobie płacić coraz drożej, jeśli presja społeczna nie zmusza go do obniżki”.

Jakby dla egzemplifikacji tego wywodu dokonał się na naszych oczach akt przeistoczenia Passenta w Zieniuka.

Z pozoru dzieli tych ludzi wszystko. Przebywanie we wspólnym pokoju byłoby dla nich koszmarem. Pomyślmy: Zieniuk w oczach Passenta! Wysferzony prostak z tym charakterystycznym cynizmem dorobkiewicza, z tą pogardą dla polskiej tradycji honoru, z tym serwilizmem wobec przełożonych i okrucieństwem dla uwięzionych i bezbronych. Zieniuk — symbol ciasnej interesowności, który w instytucjach totalitarnego państwa widzi protektora swego losu, gdzie nie musi wstydić się swych żartów, gdzie na miejscu jest jego pazerność zespolona ze sprzedajnością.

Inaczej Passent: wywodzi się ze środowiska, gdzie wiedziano, co to honor, rozum i odwaga. Poddawano wprawdzie te przymioty ducha dialektycznej obróbce, ale nigdy — choćby podświadomie — nie przestawano ich cenić. Passent miał wybór: mógł dawno już wybrać opór i pójść drogą Karola Modzelewskiego, ale na to zabrakło mu odwagi. Mógł po 13 grudnia zerwać z kondycją totalitarnego propagandysty i pójść drogą Dariusza Fikusa, ale na to zabrakło mu honoru. Mógł wreszcie pójść drogą niejednego ze swych kolegów redakcyjnych i po prostu nie pisać oszczerstw na zamówienie, ale na to zabrakło mu rozumu. Od pewnego czasu wyczuwam w artykułach Passenta przykry odór strachu. Passent boi się. „Zacznij rządzić swym strachem — powiedział Henryk Elzenberg — bo inaczej on zacznie rządzić tobą”. Co też się stało. Żal mi Passenta...

Wszelako w oczach Zieniuka strach nie stanowi okoliczności łagodzącej: Passenta określa (i oskarża) jego niewątpliwa inteli-

gencja, znajomość języków obcych i umiejętność sprawnego formułowania myśli. Reszta jest dla Zieniuka pozorem, złudą i zaśloną dymną. Dlatego Passent jest winny z definicji — nie różni się niczym w tej materii od Lisa, Frasyniuka czy Michnika. Po prostu nie nadeszła jeszcze jego kolej. Wszelako Zieniuk jest cierpliwy. Spokojnie czeka na chwilę, kiedy Passentowi nie pomogą już żadne artykuły (tak jak nie pomogły Adamowi Schaffowi). Zieniuk snuje marzenia: oto dzwoni telefon z ulicy Rakowieckiej — będzie sądził Passenta. Z głębokim przekonaniem wyda wyrok skazujący za szpiegostwo na rzecz Japonii. Materiałem dowodowym będzie załączony do akt wywiad Passenta z japońskim ministrem spraw zagranicznych, taśma magnetofonowa z dowolnej konwersacji i zeznania trzech świadków z resortu spraw wewnętrznych, którzy otrzymali poufne informacje.

Jeśli do tego dojdzie, czego wykluczyć niestety niepodobna, o jednym jestem przekonany: Passent się przyzna. Wystarczy mu kilka huknięć oficerów śledczych podczas przesłuchania i jedna rozmowa z Urbanem, który mu wszystko wytłumaczy, także i to, że należy się pogodzić z wynikami drugiej wojny światowej.

Wszelako nawet wtedy gazety „Solidarności” nie zaczną owieszczać, że publicysta *Polityki* zajmował się wtórowaniem japońskim nacionalistom, dostarczaniem amunicji tokijskim odwetowcom i sprzedawaniem samurajom polskich interesów narodowych. Bo to po prostu nieprawda.

Zieniuk i Passent są ludźmi godnymi politowania. Głupota Zieniuka, głupota tak wielka, że czyniąca go permanentnie śmiesznym; strach Passenta, strach tak wszechogarniający, że czyni go śmiesznie niemądrym — czyż jedno i drugie nie jest kalectwem? A czyż ludzie kalecy nie są godni współczucia?

Dwaj ci ludzie, dwa wcielenia polskiego łajdactwa, zasługują z pewnością na bardziej szczegółowe studium. Nic ich jednak tak dobrze nie obrazuje, jak język. Dlatego tak obficie cytuję fragmenty ich prozy, te ilustracje służalczości i kłamstwa epoki. Porównajcie ich głosy z wypowiedziami Borusewicza czy Frasyniuka — to starczy za każdy argument.

VI

Czy Zieniuk i Passent są realistami? Być może jest to jakiś realizm życiowy, głuchy na szmery sumienia i smak wolności. Dla mnie wszakże realistami w głębszym sensie są moi koledzy z ławy oskarżonych, którzy w swoje myślenie o polityce wbudowali pojęcia prawdy i godności. Ich głosy, nacechowane dociekliwością i odwagą, są w tym smutnym świecie objawem głęboko krzepiącym: robotniczy przywódca szybko i naturalnie wpisał się w

najlepszą z polskich tradycji. Ich słowa i czyny stają się w ten sposób elementem ciągłości polskich dziejów, trwałości polskich imponderabiliów, niezniszczalności polskich aspiracji. Ostre, krytyczne widzenie samych siebie i czujny namysł nad własnymi słabościami to tej tradycji cechy niezbywalne.

Przez pryzmat tej tradycji postrzegam również osobę Bogdana Borusewicza. Bowiem także i Borsuk wypowiada swe myśli dobitnie, nie zważając na niuanse i subtelności. Jest w tym pewien styl uczestnictwa w polityce, któremu Bogdan zawsze był wierny. Teraz, czytając jego słowa namiętne i bezkompromisowe, lżej mi siedzieć w więzieniu. Bowiem — myślę — polityka polityką, ale muszą przecież istnieć jakieś inne, ponadpolityczne motywy, dla których Borsuk decyduje się spędzać w podziemiu długie miesiące i lata; dla których co dzień rzuca na szalę swoją wolność, swój los, swoje życie.

Kim jest Borsuk, ten człowiek podziemny?

W charakterystyce członków Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej sporządzonej przez wysokiego funkcjonariusza MSW, mjr. Jerzego Żyżelewicza, czytamy:

„Bogdan Borusewicz, syn Konstantego i Rozalii z d. Abakanowicz, ur. 11.01.1949 r. w Lidzbarku Warmińskim, wykształcenie wyższe (Katolicki Uniwersytet Lubelski), magister historii, zam. Sopot, ul. 23 marca 96 m. 24. Działalność polityczną rozpoczął jeszcze jako uczeń Liceum Plastycznego w Orłowie, produkując w 1968 roku i kolportując ulotki antypaństwowe, za co skazany został przez Sąd Powiatowy w Gdańsku z art. 23 mkk i art. 150 par. 1 SKK na karę 3 lat pozbawienia wolności.

Od momentu powstania KSS-KOR uczestniczył aktywnie w działalności Komitetu. Jest duchowym przywódcą ruchu prokorowskiego na terenie Trójmiasta oraz organizatorem licznych imprez politycznych, a także redaktorem nielegalnych wydawnictw kolportowanych na Wybrzeżu.

Szczególnie interesuje się historią PRL, co przy jego skłonnościach profesjonalnych umożliwilo mu jednostronną interpretację faktów i zdarzeń politycznych, szczególnie w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej. Reprezentuje wysoki poziom intelektualny. Cieszy się autorytetem i posiada cechy przywódcze. Zagorzały antykomunista, działał w 'Solidarności' jako kierownik działu kadr MKZ Gdańsk.

Ukrywa się od chwili ogłoszenia stanu wojennego, pełniąc funkcję członka Regionalnej Komisji Koordynacyjnej w Gdańsku.

Od 24 czerwca 1984 roku wszedł w skład Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ 'Solidarność' ”.

Tyle major Żyżelewicz z MSW. Rzadko zdarza się historykowi przeczytać tak bezinteresowny, bo nieświadomy i mimowolny, hołd złożony przez policjanta swej ściganej ofierze. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa — jak widać z tej charakterystyki

— nienawidzą i boją się Borsuka, jego sprawności i konsekwencji, jego inteligencji i odwagi. Wiedzą: Borsuk należy do ludzi, którzy „Solidarność” zawdzięcza najwięcej. Jest jednym z tych, którzy uczynili idee Związku trwałym składnikiem polskiej kultury.

Porównując biografię Borsuka z własną, różnicę zasadniczą dostrzegam w punkcie wyjściowym: Borsuk nie wywodzi się ze środowiska komunistycznego, nigdy nie był „czerwony”, nie pasjonował się marksizmem i sporami w łonie ruchu komunistycznego. Jest to zapewne różnica niemała, przesądzać może o emocjonalnym stosunku do przeszłości. Jako człowiek wyrosły w klimacie tradycji komunistycznej odczuwałem większą może niż inni potrzebę rozliczenia się z tą tradycją. Wynikać z tego może skłonność do bardziej subiektywnego rozumienia motywów — moralnych i intelektualnych — ludzi optujących na rzecz komunizmu. Ale wynikać też może większa zjadłość w demaskowaniu tych motywów i w tropieniu totalitarnego bakcyła komunizmu. Sam nie wiem, w jakich chwilach jedno z tych uczuć bierze we mnie górę. Borsuk zapewne wolny jest od tych kłopotów.

Tych różnic wszelako raczej domyślam się, niż ślad ich odnajduję. W politycznych diagnozach i praktycznych decyzjach nigdy nas one nie dzieliły. Sądzę, że z małomównym Borsukiem dość łatwo znajdowałem wspólny język.

Widywałem go rzadko. Przyjeżdżał z Gdańska na zebrania KOR-u i wtedy spotykaliśmy się wszyscy w mieszkaniu prof. Lipińskiego. Borsuk zabierał głos rzadko, a do bardziej osobistych rozmów niewiele było okazji. Nadarzyła się ona w Gdańsku: przyjechałem na jakieś spotkanie dyskusyjne. Borsuk doprowadził mnie na miejsce jakimiś szlakami szalenie konspiracyjnymi, borem i lasem, górą i doliną. Dotarłem ledwo żywy, by wysłuchać działaczy RMP, którzy ostro natarli na mnie, karcąc za nadmierną ugodowość i niedostatek deklaracji niepodległościowych. Pamiętam jakiś strzęp sporu o stosunek do ukraińskich aspiracji wolnościowych. Byłem zdania, że Polacy winni sprzyjać tym aspiracjom, bo to Ukraina jest naszym sąsiadem, a nie Rosja. Polskie aspiracje — dowodziłem — nie powinny mieć ostrza antyukraińskiego, bo to może nas wszystkich zgubić. Twierdziłem również, że ostrze polityczne naszych poczynań winno być skierowane w totalitaryzm, a nie w cudzą wolę wolności. Borsuk rozumował podobnie.

I pamiętam nasze pierwsze spotkanie po Sierpniu. Był to grudzień 1980 roku. Przyjechałem do Gdańska na wykład zorganizowany przez Wszechnicę Robotniczą. Bogdana spotkałem w MKZ: był ledwo żywy ze zmęczenia, ale spokojny i pełen dobrej myśli. Później, ilekroć go spotykałem, spokoju i dobrych myśli

było coraz mniej. Z wielkim niepokojem analizował sytuację w kraju i w „Solidarności”. W lecie 1981 roku usłyszałem od niego pierwszy zarys tej analizy, którą powtórzył w „Konspirze”. O wspólny język było łatwo — rozumowałem podobnie.

I pamiętam okres zjazdu w „Olivii” — Bogdan był już wtedy poza strukturami. Wycofał się. Nie przyszedł na Zjazd „Solidarności” w charakterze gościa. Ten gest miał dla mnie wymowę symbolu — Bogdan Borusewicz, twórca Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu i organizator sierpniowego strajku, człowiek dzielny i uczciwy — uznał za konieczne zbojkotować zjazd. Odszukałem go i poprosiłem o spotkanie. Przyszedł i smutno zdziwiony zapytał: „To ty jesteś z nami, z przegranymi?”.

Słowa te odebrałem jak policzek: Borsuk sądził, że mógłbym uznać spotkanie się z „przegranych”, z krytykami i oponentami Lecha Wałęsy za niestosowne. Żądło tego pytania było tym bardziej dotkliwe, że powszechnie znana była skromność Bogdana, który nigdy po Sierpniu nie wysuwał się na pierwszy plan, choć przecież to on był jednym z „ludzi z żelaza”, o których opowiada film Andrzeja Wajdy. I oto on, skryty w cieniu, rozgoryczony, niemal smutny, po 13 grudnia, w chwili próby wierności natychmiast odnalazł się w kierownictwie podziemia.

A może prezentuję tu nazbyt sentymentalny punkt widzenia? Może wyeliminowanie Borsuka jesienią 1981 roku oznaczało, że „Solidarność” traciła swój pierwiastek idealny: odchodzili rycerscy amatorzy, zostawali zawodowcy? Owszem, ten proces także dawał się zauważyć. Wszelako ruch, który nie umie znaleźć miejsca w swych strukturach dla rycerskich amatorów, skazuje się na biurokratyczną degenerację: zabija w sobie źródło życia. Kierując się tym przeświadczeniem, wciąż wspominam pytanie Borsuka: „czy odważysz się napisać to, co teraz mówisz?”. Odpowiedzią są te zapiski, nieporadne i chaotyczne, które sporządzam w swej kolejnej więziennej celi. Piszę o Borsuku jako o modelu pewnej postawy duchowej: interesuje mnie w „Solidarności” fenomen ludzki. To ludzie, ich motywy i charakterzy rzeźbią kształt duchowości ruchu. Chciałbym ją widzieć uformowaną na obraz i podobieństwo Bogdana Borusewicza.

W słowach Borsuka odnajduję własne nadzieje i lęki. Także ten lęk naczelnny: czy uda się uchronić „Solidarność” od zagrożeń właściwych wielkim ruchom rewindykacyjnym, od bakcyli totalitaryzmu, który dał się już wyczuć w ostatnich miesiącach 1981 roku? Dlatego myślę: jeśli „Solidarność” chce uniknąć powtórzenia tego filmu, jeśli nie chce, by totalitaryzm wydrążył od wewnątrz ją samą — bacznie rozważyć należy słowa Bogdana Borusewicza.

VII

Czasem zastanawiam się, jak postrzegają Borsuka jego wrogowie. Dla Jaruzelskiego jest on chyba suto opłacanym agentem imperialistycznego wywiadu. Dla Rakowskiego, który dotąd nie był wyznawcą materializmu detektywistycznego, jest zapewne szalonym mistykiem jakichś niepojętych idei, które fanatycznie wyznaje. Dla Urbana najpewniej jest głupcem, bowiem przy swojej inteligencji mógłby przecież zostać rzecznikiem prasowym rządu i miał być obiektem oszczerstw mógłby sam, za nieźle honorarium, zajmować się obsmarowywaniem bliźnich.

Najprościej chyba rzecz wygląda w ujęciu Stefana Olszowskiego: ten myśli tylko o tym, jak ustalić i rozgłosić, że babka Borsuka była Żydówką...

W związku z Olszowskim: w tygodniku *Kultura* ogłosił Aleksander Minkowski reportaż z podróży zagranicznej w towarzystwie ministra.

Panowie lecieli samolotem do Afryki. Nagle pasażerami zatrzęsło:

„Śmiech. I znów śmiech: minister, mężczyzna olbrzymi i masywny, przebił głową półkę. Głowie nic, półka w drzazgi. 'Co w tym dziwnego? Ja jestem twardogłowy...'”.

„W mojej gminie — dodaje Minkowski — też są twardogłowi. Jedni na drugich tak mówią, po własnej stronie i na przeciwników. To jakby nobilituje: on twardogłowy, więc ja przeciwnie — miękogłowy, delikatny, subtelny. On brutal, ja liberał. Mnie kochają, nim gardzą. A może na odwrót? Może lud kocha męską siłę, surową determinację, jednoznaczne zdecydowanie? Dlaczego lud z rozrzewnieniem wspomina Piłsudskiego, który liberałem nie był ani trochę, za mordę trzymał nawet posłów, rozkazując pałować ich w Sejmie? Napoleon. Piotr Pierwszy. De Gaulle. Co wielki to twardziel. Tylko silna władza może być sprawiedliwa, słaba nie może, za słaba na to, żeby wymuszać sprawiedliwość”.

Aleksander Minkowski wielokrotnie deklarował się jako przedstawiciel „lewicy literackiej”. Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi, ale teraz już wiem: „lud kocha męską siłę”.

Proza Minkowskiego o Olszowskim — godna zaiste pióra Roberta Musila — nieźle ilustruje poziom moralny i umysłowy obu tych panów. Jednego tylko nie pojmuję: jeśli twarda głowa Olszowskiego budzi w Minkowskim wspomnienie Piłsudskiego i Napoleona, Piotra Pierwszego i de Gaulle'a, to o kim myśli ten znakomity stylista, spoglądając na mundur Jaruzelskiego? Pozostaje już tylko Aleksander Macedoński i Cezar...

Adam MICHNIK

(dokończenie nastąpi)

Wielkie oczekiwanie

I

Cztery lata po wprowadzeniu stanu wojennego wciąż jeszcze nie udało się władzy zmienić życia kulturalnego kraju. Wysunięte swego czasu przez Rakowskiego hasło „zmiany elit” — przebudowania hierarchii, obowiązujących w kulturze w ostatnich dekadach — jest jednym z głównych założeń nowej polityki kulturalnej po 13 grudnia 1981, chociaż jeszcze w pierwszych miesiącach „wojny” władze starały się (bez powodzenia) przeciągnąć kręgi opiniotwórcze na swoją stronę. Dopiero później rozpoczęto przeobrażać oficjalne życie kulturalne: zlikwidowano ZLP, SDP i inne organizacje twórcze, do dziś zawieszony jest polski oddział PEN-Clubu, wydano szereg przepisów lub znowelizowano dotychczasowe, by — jak w przypadku wyższych uczelni — doprowadzić do „upaństwowienia” życia artystycznego i naukowego. Wszystko to zmierza do ubezwłasnowolnienia kultury.

Jednocześnie kontynuuje się pozorny liberalizm sprzed 13 grudnia. Też „liberałów partyjnych” jest: nie walczymy z dziełami, lecz z działalnością polityczną ich autorów. Toteż jeszcze w czasie „Solidarności” wydano szereg książek, które przedtem funkcjonowały tylko w obiegu pozacenzuralnym: pracę Kuczyńskiego „Po wielkim skoku”, wiersze Woroszyłskiego, Pawłaka, socjologiczną pracę Jakuba Karpińskiego czy „Rozważania o wojnie domowej” Jasienicy (pierwsze wydanie w NOW-ej).

Jednak nawet fakt opublikowania szeregu książek autorów emigracyjnych (Vincenz, Czapski, Stempowski) nie oznacza, że powstały instytucjonalne gwarancje kontynuowania w przyszłości podobnej działalności. Przy ocenie tego rodzaju ustępstw należy pamiętać o latach 1944-1948 czy 1955-1958, kiedy władze do-

puszczały możliwość wydania dzieł ludzi „inaczej myślących”. Podobnie było po roku 1970, kiedy za legitymację „liberalnego” nastawienia władz służyły dramaty Mrożka czy wybór wierszy Wierzyńskiego, Lechonia lub wspomnień Janty.

To poszerzenie wolności, tak przedtem jak dzisiaj, zostało na władzy wymuszone. Zapewne olbrzymia większość utworów, które dziś przebijają się przez zaporę cenzury, nie mogłyby się oficjalnie ukazać, gdyby nie istniała alternatywa obiegu nieoficjalnego. Część z nich też prawdopodobnie nie zostałyby napisana, bowiem zmiana sytuacji zwiększyła aspiracje zarówno samych pisarzy, jak czytającej publiczności. Można wręcz mówić o silnym rozluźnieniu „cenzury wewnętrznej” — przynajmniej u części autorów.

Z tym ostatnim zjawiskiem wiąże się także swoiste zachwianie dyscypliny pisarskiej: uwolnienie się od cenzora dość często traktowane bywa jako prawo do dowolności, do odrzucenia reguł, co literaturze przynosi zawsze więcej szkód niż korzyści.

II

Po 13 grudnia 1981 rozbiciu uległy zarówno te struktury życia kulturalnego i naukowego, jakie ukształtowały się w czasie jawnego działania „Solidarności”, jak również te, które funkcjonowały w PRL przed Sierpniem. Przykładem bodaj najbardziej wymownym jest „rozwiązanie” ZLP, organizacji, która — mimo różnych wewnętrznych kłopotów — zawsze odgrywała rolę instytucjonalnego autorytetu społecznego. Zjazdy Związku Literatów Polskich stanowiły wydarzenia szeroko komentowane, niektóre zebrania tej organizacji (jak np. nadzwyczajne zebranie oddziału warszawskiego z 29 lutego 1968) wpływały na kształtowanie opinii publicznej. Walka o ZLP trwała zresztą dość długo, niemal dwa lata — władze zdawały sobie sprawę, że zniszczenie Związku będzie decyzją negatywnie odebraną zarówno w kraju, jak za granicą, usiłowały zatem nakłonić literatów do „autonormalizacji”.

Zniszczenie dotychczasowych instytucji — w połączeniu z szokiem, jaki stanowił stan wojenny — wywołało w życiu artystycznym i naukowym chaos, wynikły z poczucia bezradności. Niemniej, w miarę przedłużania się sytuacji, w miejsce zlikwidowanych zaczęły powstawać nowe struktury społeczne. Zjawiskiem najbardziej widocznym stał się mecenat Kościoła. Budzi on zresztą liczne kontrowersje zarówno w środowiskach samych artystów, jak w Kościele i — oczywiście — w aparacie władzy. Niemniej można już dzisiaj powiedzieć, że stworzony został odrębny obieg wartości artystycznych i naukowych, będący sferą pośrednią między nurtem kultury oficjalnej i podziemnej. Warto przy tym zauważyć, że jest to fragment oddziaływania Kościoła na obszarze

kultury, rozpoczętego bez wątpienia wraz z powstaniem *Tygodnika Powszechnego*, później wzmocnionego powstaniem *Więzi* czy Klubów Inteligencji Katolickiej (właśnie w krakowskim KIK-u odbywało się czytanie głośnej gazety mówionej *Na głos*). Jego utrwaleniem była organizacja różnych imprez inspirowanych przez Kościół — głównie w Warszawie i Krakowie — takich jak Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, Sacrosong, spotkania u OO. Dominikanów w Warszawie lub SS. Norbertanek w Krakowie. W tej chwili mecenat Kościoła obejmuje, prócz spotkań naukowych i literackich, wystawy malarstwa (np. w warszawskim muzeum archidiecezjalnym), pokazy filmowe, spektakle teatralne (np. w warszawskim kościele przy ul. Żytniej). Wzrosła też ilość tytułów książek wydawanych przez oficyny katolickie, wielu dziennikarzy przeniosło się do pism katolickich, które otrzymały koncepcje po grudniu (znakomite są, wznowione po latach, *Powściągliwość i Praca*, *Przegląd Powszechny*).

Jednakże sytuacja „obiegu kościelnego” jest niestabilna. Z jednej strony władze na wszelkie sposoby próbują ograniczyć zasięg zjawiska, z drugiej zaś sam Kościół, nieprzygotowany na taki obrót rzeczy, wciąż jeszcze nie do końca wie, jak sobie poradzić z obecnością artystów pod swoim dachem. Nie ulega wątpliwości, że obecne doświadczenie jest równie ważne dla artystów, jak dla samego Kościoła, zaś nieporozumienia wzajemne wynikają z tego, że wielu artystów traktuje nowego opiekuna podobnie, jak przedtem traktowało mecenasa państwowego. Z drugiej zaś strony nieufność Kościoła przybiera w niektórych przypadkach formy zgoła zaskakujące, czasami nawet prowadzi do występowania wobec „bezdomych” z pozycji siły.

III

Od chwili wprowadzenia stanu wojennego niesłuchanie rozbudowały się wydawnictwa i instytucje niezależnej kultury i nauki. Już sama ilość pism wydawanych poza zasięgiem cenzury wygląda imponująco — wedle najbardziej ostrożnych obliczeń wychodzi ok. 500 tytułów, niektóre dane mówią o liczbie 1.400. To samo dotyczy publikowanych książek — wedle prowizorycznych szacunków ukazują się 1-2 tytuły dziennie. Rozbudowana została sieć oświaty niezależnej, funkcjonuje pozacenzuralny obieg videokaset, działają wolne zespoły teatralne (np. Teatr Ósmego Dnia z Poznania czy grupa NST z Wrocławia), wydawane są serie kaset magnetofonowych — prezentujące niezależną literaturę, reportaże, recitale piosenkarskie, wykłady. W porównaniu z okresem przedsierpniowym kultura obiegu niezależnego znacznie się wzbogaciła zarówno w formie jak i w treści. Wciąż jednak

aktualne jest zagrożenie, o którym mówił z okazji wieczoru poświęconego *Zapisowi* (w 1978 roku) Bohdan Chwedeńczuk: „... dopóki kulturę niezależną będzie wyznaczać prawie bez reszty (...) obraz świata zorganizowany wokół przeciwstawienia władza-antywładza, dopóki będzie ją więzić ten doraźny i ciasny horyzont, dopóty będzie ona na miarę owego przeciwstawienia i owego horyzontu, dopóty będzie ciasna, powierzchowna i jałowa. Autentyczna kultura niezależna sama wytycza sobie swoje obszary zainteresowań, horyzonty, cele, sama obiera sobie swoich partnerów i przeciwników, nie pozwala natomiast, by o jej obsesjach, aspiracjach i zadaniach decydował przeciwnik, który w ostatniej instancji ma do zaproponowania tylko anty-kulturę”.

W okresie początkowym po ogłoszeniu stanu wojennego rzeczywiste przeciwstawienie władza - antywładza było zjawiskiem wszechogarniającym. Dziś jednak powoli obszar kultury niezależnej ulega zróżnicowaniu. Takie spektakle jak „Anhelli” zespołu NST, „Wzlot” Teatru Ósmego Dnia czy powieść Henryka Wańka „Dziady berlińskie” wskazują na realną możliwość wydobycia się z „politycznego uwikłania”. Tym bardziej, że świadomość tego jest wśród uczestników niezależnego obiegu coraz ostrzej widoczna: świadczą o tym wypowiedzi w ankiecie rozpisanej przez wychodzący od roku miesięcznik *Kultura Niezależna*. Co prawda świadomość zła nie jest jednoznaczna z jego przezwyciężeniem. Mówił o tym w czasie Kongresu Kultury Polskiej 12 grudnia 1981 roku Andrzej Kijowski: wybicie się kultury polskiej na niepodległość jest procesem niesłuchanie złożonym, wymagającym odrzucenia ukształtowanych przez sytuację stereotypów myślenia. Dodać tu można także i inne — bardzo różne — głosy: wcześniej Gombrowicza, obecnie Miłosza (szkic „Szlachetność niestety”), Błonskiego (tom „Kilka myśli co nie nowe”) oraz autoironiczne refleksje Mrożka (światne „Donosy”) czy przestrzegające przed polityczną redukcją kultury wypowiedzi Wirpisy. Wszakże wszystko to toczy się i rozgrywa przede wszystkim w esesistyce, rzadziej w powieści.

IV

Wolność wymierzania sprawiedliwości sobie samemu to tylko jeden z rodzajów wolności artysty. W dodatku zależny przede wszystkim od niego samego. Jest wszakże i aspekt odmienny, uwarunkowany społecznie. Wolność artysty oznacza prawo schyłania się nad różą, gdy płoną lasy. Tu granice społecznej tolerancji w Polsce są niezwykle ciasne.

Inaczej jest w literaturze czeskiej, która w podziemnym życiu

kultury w Polsce zajmuje coraz ważniejsze miejsce, uczy bowiem tolerancji i swobody, dystansu i ironii. „Bez nienawiści” — taki tytuł nosi zredagowana przez Andrzeja Jagodzińskiego antologia literatury czeskiej i słowackiej (Wyd. Krag, 1984), co już wiele mówi. Mówi o uwolnieniu się od emocji, o tym że kultura prawdziwie niezależna walczy o prawo do własnego, nie uwikłanego wyłącznie w doraźne układy i sytuacje widzenia świata, o nieustanne poszerzanie horyzontów poznawczych.

Wolność pojmowana jest u naszych południowych sąsiadów szerzej, niż tylko w kategoriach politycznych. Książki Hrabala i Kundery, eseje Vaculika i wiersze Seiferta są lekcją, której znaczenie trudno przecenić.

„Gdybym miał siebie określić — pisze Milan Kundera — powiedziałbym, że jestem hedonistą w pułapce świata upolitycznionego do granic możliwości”. Jego pisarstwo — ostatnio ukazały się w niezależnym obiegu trzy książki: „Księga śmiechu i zapomnienia” (Przedświt), „Walc pożegnalny” (NOW-a) oraz „Niezdolność lekkość bytu” (Oficyna Literacka) uczy przedostawania się poza granice upolitycznienia. Jest to wspaniała szkoła opanowywania emocji.

„Człowiek nie może żyć bez uczuć, ale z chwilą gdy uważane są za wartości same w sobie, kryterium prawdy, usprawiedliwienie każdego postępowania, zaczynają napawać lękiem. Najszlachetniejsze uczucia patriotyczne służą usprawiedliwianiu najgorszych z możliwych zbrodni, a człowiek, którego pierś rozsadza liryczny ferwor, dopuszcza się okrucieństw powołując się na święte imię miłości”. Wielu polskich pisarzy winno sobie te słowa zapamiętać. Uczucia nieokiełznane przez ironię, autoironię — mogą się źle przysłużyć polskiej kulturze. Myślę o martyrologicznym patosie, o tonacji kombatanctwa, o nowym mesjanizmie, które są widoczne w coraz bardziej sentymentalno-wzniosłej aurze naszej literatury.

I dlatego należy szukać odtrutki. Mogą nią być utwory przeznaczone z za południowej granicy, w których walka o niezależność ukazana jest jako z jednej strony rodzaj gry uczestników z własnym strachem, z drugiej ze służbą bezpieczeństwa. Dlatego działaniom politycznym odebrany został charakter absolutny, ukazane zostały w kontekście zwykłej codzienności, w której jest miejsce na wiele innych spraw: na miłość, na wzruszenie krajobrazem, na obserwację szczegółu. Jest też miejsce na żart i kpinę. Nie brak dystansu wobec siebie. Świat prywatny splata się ze światem publicznym w jednorodną całość. Pozwala to na odrzucenie zbyt łatwych schematów, na nie poddanie się konwencjom, na wypłamytywanie się z pułapki „świata upolitycznionego do granic możliwości”.

Literatura o tyle jest powinnością, o ile jest demonstracją wolności. Polskie pisarstwo jest zniewolone także przez to, że wolność redukuje do sfery politycznej, że zwięża granice tolerancji, że zubaża pole widzenia ludzkich spraw. Literatura czeska — w przeciwieństwie do szlachecko-inteligenckiej polskiej „kultury walki” — wyrasta z plebejsko-mieszczańskiej „kultury gry”, bardziej bezinteresownej, w której istotniejsze niż „zwycięstwo” jest samo „uczestnictwo”. Stąd się bierze jej odporność na klęski.

V

Wyczulenie na kulturę czeską i słowacką jest — może najbardziej widocznym — znamieniem zjawiska dużo szerszego: otwarcia kultury polskiej na problematykę Europy Środkowej. Sygnały tego pojawiają się zarówno w obiegu oficjalnym, jak w niezależnym.

W tym pierwszym szczególną rolę pełni pisarstwo Włodzimierza Paźniewskiego, którego dwie wydane po wprowadzeniu stanu wojennego książki są rozpoznaniem obszarów wiążących los Polski z losem jej sąsiadów (eseje „Życie i inne zajęcia” oraz powieść „Krótkie dni”). W tymże kierunku zmierza eseistyka Adama Zagajewskiego.

Ich twórczość wyrasta z podłoża tradycji w Polsce, jeszcze nie do końca rozpoznanej i scalonej. Z dorobku takich pisarzy emigracyjnych jak Stanisław Vincenz, Jerzy Stempowski, Czesław Miłosz, Włodzimierz Odojewski oraz Józef Mackiewicz, czy z pisarstwa autorów krajowych — Leopolda Buczkowskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Jarosława Iwaszkiewicza, Tadeusza Konwickiego, Jarosława Marka Rymkiewicza. Z prozy i eseistyki ożywiającej dwa obszary geograficzno-historyczne: przestrzeń Międzymorza oraz tygiel Austro-Węgier. Zwrócili na to uwagę uczestnicy dyskusji w *Wezwaniu*, jeden mówiąc, że „Konwicki umieszcza ojczyznę — własne serce — poza terenem rdzennej Polski, w Wilnie. Są mity bardzo ważne, które się ostatnio w naszej literaturze pojawiają: odnowienia samopoczucia wielonarodowej tradycji, mitu wielonarodowej Polski. (...) U Paźniewskiego jest to wyobraźnia historyczna, która się nakłada na współczesne doświadczenia i w odejściu na Kresy odnajduje jakby utraconą Arkadię polską”.

Inny dyskutant powiedział, że „mit Rzeczypospolitej Obojga Narodów powstał jako protest przeciw nacjonalizmowi. Podobnie na południe od nas powstaje mit Arkadii Felix, czyli tej szczęśliwej monarchii Habsburgów. I jest to mit austriacki, w pewnym stopniu czeski, węgierski, jugosłowiański. Także u pisarzy niemieckich istnieje mit straconych wschodnich kresów, gdzie było

życie w pokoju wielu narodowości, jak to czytamy w książkach Johanna Bobrowskiego, Grassa”.

Ożywianie tych mitów w polskiej literaturze współczesnej — ostatnio powrót do Austrii Felix w kolejnej książce Kuśniewicza „Nawrócenie” — jest wyrazem rozbudzenia się świadomości środkowoeuropejskiej. Wiele wskazuje na to, że kultura tego obszaru traktuje siebie jako alternatywę dla ogarniętej kryzysem kultury Zachodu. Spostrzegł to już Błński: „literacki zegar zaczyna iść inaczej na wschodzie i na zachodzie Europy”.

A przedtem Miłosz w „Rodzinnej Europie” — książce, która w tej chwili zyskuje sobie w Polsce coraz liczniejszych czytelników. Widać to w próbie podsumowania doświadczeń historycznych tego obszaru przez Wiktora Sukiennickiego (*East Central Europe During World War I*).

Szerzej jeszcze rzecz traktując: jedną z dominujących cech polskiej kultury stała się ostatnio refleksja nad Europą i wyławianie podobnych refleksji dobiegających z innych stron.

VI

Innym wątkiem obecnym w literaturze polskiej byłby katastrofizm.

W wydawanych ostatnio książkach Jarosława Marka Rymkiewicza („Wielki książę”, „Rozmowy polskie”, „Mogiła Ordona”) śmierć Polski i śmierć Polaków są głównym tematem. Podobne refleksje pojawiają się w prozie Konwickiego — we „Wschodach i zachodach księżycy” i w „Rzecz podziemnej, podziemnych ptakach”, czy w tomie Chrystiana Skrzyposzka „Wolna trybuna”, wydanym ostatnio w Berlinie Zachodnim. W kategoriach ogólnych chodzi o uprzedmiotowienie społeczeństwa, które w efekcie rezygnuje ze wszystkiego, co — jak pisał Witkacy — nie podpada „pod kategorie bezpośredniej użyteczności”. W wymiarze doświadczeń egzystencjalnych społeczeństwa polskiego chodzi o wydziedziczenie, współcześnie — o sowietyzację. Oba tropy interpretacyjne są równouprawnione, jednakże tylko drugi wiąże literaturę z rzeczywistością. Niestety krytyka wciąż ogranicza się do rozważań ogólnych, jakby obawiając się przekroczenia bariery, którą sama literatura dawno już pozostawiła za sobą.

Bohater „Rozmów polskich” Rymkiewicza formułuje to tak: „Polacy nie mogą zostać totalnie unicestwieni? Przyjrzyjmy się więc raz jeszcze, naiwny panie Marcuszu, pańskim naiwnym argumentom. Po pierwsze, nie można wyeksterminować trzydziestu sześciu milionów. Czy naprawdę nie można? A Józef Stalin ile milionów wyeksterminował? Ile milionów, ile narodów załado-

wał do bydłych wagonów, ilu milionom odebrał miasta, wioski, ziemie? Co zrobił z krymskimi Tatarami, z Litwinami? (...) Kto mieszka dziś w ukraińskich wioskach nad Dnieprem, nad Zbruczem? Jakim językiem mówią tam ludzie, jaka jest ich ojczyzna, jakiej chcą ojczyzny?”.

Rymkiewicz odwołuje się do wielkich doświadczeń historycznych, m.in. do losów Jadźwingów. Wystarczy jednak skromniejsze przypomnienie, z którym mamy do czynienia w poezji Erwina Kruka, opisującego zagładę Mazurów w okresie powojennym:

*Umarli jakże rzadko i niespodziewanie
przychodzą na widzenia. Pytają:
Jeszcze żyjesz? Jeszcze mieszkasz
W tym mieście? Kiedy wrócisz do nas,
Do rodzinnego domu? (...)
Zewsząd słyszę ostrzeżenia, że ze wszystkich pór roku
Najdłużej na Mazurach trwa dzień umarłych.*

Fascynacja śmiercią w polskiej poezji, wyrażane bezustannie przeczucie śmierci (jak choćby w głośnym poemacie Pawłaka „I śmierć, wiele śmierci” napisanym po wydarzeniach grudnia 1970 roku), mowa o śmierci poezji wreszcie — nie są tylko figurą poetycką, lecz nade wszystko wyrazem doświadczeń narodu, który nie tylko przeżył koszmar epoki pieców, lecz j e d n o c z e ś n i e znalazł się (i znajduje do dzisiaj) w strefie totalitarnego ciśnienia komunizmu.

W historii Polski trudno o inną niż katastroficzna perspektywę.

VII

Temu nurtowi przeciwstawia się postawa, którą wyraził w poezji Zbigniew Herbert. W „Przesłaniu Pana Cogito”, wierszu nieustannie przywoływanym, wierność wartościom kultury — nawet wbrew paradoksalnym ich zaprzeczeniom przez nią samą i przez historię — jest jedynym dla niej ratunkiem. „Bądź wierny Idź” — mówi poeta zapowiadając, że „nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką) chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku”.

Trwać wbrew nadciągającej apokalipsie — czy to wielkiej, czy „małej”, którą opisuje Konwicki — oto jedyna rzeczywista szansa ocalenia. Ale trwać, to jednocześnie zachować „literackość”. Przede wszystkim zaś ratować poezję: „Stara Kobieta” — pisze Ryszard Przybylski o dramacie Różewicza — jest przeciwstawieniem biblijnej Racheli, która oplakiwała synów walczą-

cych, synów-rycerzy. (...) Matka Ziemia nie oplakuje bowiem u Różewicza wojowników. Oplakuje poezję, gust i niewinność, trzy anachroniczne wartości, które absurdałna władza morduje i zagrzebuje na śmietniku współczesnej cywilizacji. Różewicz już przez trzydzieści lat lamentuje nad śmiercią poezji. Ale dopiero ten dramat wyjaśnił nam, jak znakomity poeta rozumie mechanizm tego konania i co w istocie śmierć ta ze sobą niesie. Zostawcie nam poetów, bo inaczej zginie świat”.

To nie paradoks, że właśnie w okresie szczególnej „potrzeby czynu” uważany jeszcze niedawno za marginalny epizod lat 60-tych nurt „klasycystyczny”, reprezentowany przez Przybylskiego i Rymkiewicza, ale także przez innych, choćby Zygmunta Kubiaka, uzyskał tak znaczny rezonans. Jest on podjęciem zagadnienia wierności zasadom kultury europejskiej, próbą odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu współczesna kultura Zachodu jest wierna tradycji Europy. I czy nie można by zaryzykować tezy, iż współczesna kultura Europy Środkowej bardziej jest „europejska” od kultury Zachodu? Czy język kultury środkowoeuropejskiej — język poezji Miłosza, eseistyki Przybylskiego i Havela, prozy Kundery — nie jest „zapomnianym językiem” Europy? Gdy Przybylski notuje: „Natura składa się z bytów, które zawdzięczają swoje istnienie mowie. Język stanowi o odrębnym charakterze każdej Monady, każdej klasy przedmiotów, każdego gatunku. Byt to mowa. Klasyk przekłada mowę tych bytów, podarowaną im przez naturę, na 'język bogów' — wówczas ciśnie się na usta pytanie: czy Europa, czy Zachód jeszcze o istnieniu 'języka bogów' pamiętają, czy jeszcze weni wierzą?”.

Klasycyzm przypomina również o odpowiedzialności za swój czas, którą jest sposób uczestniczenia w kulturze. Odpowiedzialność ta nie zezwala na redukcję współczesności do wydarzeń do-rażnych, nakazuje dystans, powagę i ironię jednocześnie. Ale czy ów dystans nie przesłania dokonujących się na naszych oczach przemian? Czy taka postawa nie może przekształcić się w alibi usprawiedliwiający lęk przed aktywnym uczestnictwem w aktualnie dziejących się sprawach? Ten swoisty paradoks „postawy klasyka” — przewyciężany przecież — jest zapewne jedną z wielu nierozwiązywalnych sprzeczności naszej kultury.

VIII

Inaczej te problemy podejmuje w naszej kulturze nurt humanistyczny, który reprezentuje Maria Janion: nurt rewizji, podstępnych czasami pytań uderzających w same podstawy wykształczonej przez klasycystyczną pamięć tradycji kultury europejskiej. Nurt „romantyczny” — choć prawdę powiedziawszy, ten termin,

podobnie jak używana przez Przybylskiego etykieta „klasycyzmu”, zdaje się być dziś mylący. W obu przypadkach nie chodzi o teoretyczne formuły poetyk, lecz o typy wyobraźni i artystycznego temperamentu. Spór między nimi — potwierdzony ostatnio dwiema książkami: „Klasycyzmem” Przybylskiego i „Czasem formy otwartej” Janion — jest bodaj najbardziej interesującym wydarzeniem ostatnich kilkunastu lat polskiej kultury. I jeśli „postawa klasyka” nakazuje szacunek wobec spadku tradycji europejskiej, to „postawa romantyczna” jest rzuconym tej tradycji wyzwaniem: nie tyle zakwestionowaniem jej racji, co dążeniem do rewizji zasad.

Racje zapewne — jak bywa w takich wypadkach — okażą się podzielone. Wszakże pytania, jakie ta dyskusja przed nami stawia, są rangi najwyższej: „trwanie” przy ukształtowanej wiekami tradycji czy dążenie do jej twórczej rewizji: „obronę Europy” wbrew niej samej czy uczestnictwo w europejskim procesie autorewizji zasad kultury.

Ten dwugłos, który od kilku już lat stanowi próbę wyznaczenia zadań i aspiracji narodowej kultury, domaga się dziś syntetycznego ujęcia. Tym bardziej, że dyskusja dotyczy nie tylko postawy wobec współczesności, lecz także zasięgu polskiej historii i korzeni naszej tradycji kulturalnej. Tym bardziej wreszcie, że w życiu społecznym dominującą rolę zdają się wciąż odgrywać wzorce i postawy ukształtowane w ubiegłym stuleciu.

IX

Jakby ponad tą dyskusją stanął Andrzej Kijowski, który w swoim wystąpieniu w czasie Kongresu Kultury Polskiej postulował: „Ani system artystowski, ani system insurekcyjny, lecz reformatorski model literatury zygmunto-wskiej i stanisławowskiej czeka dziś na spełnienie w literaturze współczesnej, która powinna znaleźć w sobie siłę Modrzewskiego i Konarskiego, Reja i Kitowicza, aby poddać krytyce nie tylko sposób rządzenia Polakami, lecz sposób życia i myślenia Polaków”. Było to wezwanie do zaniechania prób redukcji dziejów polskiej myśli do wybranych „nurtów”, „postaw”, „prądów” czy „temperamentów”. Nie u schyłku Pierwszej Rzeczypospolitej, ani tym bardziej nie w epoce romantycznej zrodziła się samodzielna, krytyczna i otwarta na świat myśl Polaków. Nie można dopuścić do tego, by pamięć narodowa — dla tych czy innych względów — ulegała skurczeniu lub pokawałkowaniu. Nie można, zwłaszcza dzisiaj, w dobie zagrożenia naszej tożsamości, wypreparować z kultury jednych wątków po to, by dowodzić ich „wyższości” nad innymi.

Kijowski u progu stanu wojennego tak opisał doświadczenie

„Solidarności”: „sytuacja nie jest taka, jak u progu niepodległości. Nowa Polska tworzyła się wówczas wraz z nową Europą; dziś nowa Polska tworzy się pośrodku Europy starej. (...) Polska nie jest chorym człowiekiem Europy, lecz jej czułym miejscem, w którym pojawiły się naraz wszystkie symptomy chorób kryjących się od dawna w jej organizmie pogwałconym przez arbitralne układy (...). Obecna sytuacja Polski nie ma żadnych analogii w przeszłości. Polacy pracują dziś na rzecz przekształcenia stosunków wewnętrznych i międzynarodowych na nowe, nieznane jeszcze, a nie na rzecz przywrócenia stosunków dawnych”.

To jedne z najważniejszych słów, wypowiedzianych w ostatnim okresie w polskiej kulturze. Znajdziemy ich potwierdzenie u licznych obserwatorów, którzy w owym czasie z zewnątrz oceniali to, co się dzieje. Nie jest to więc tak częste w Polsce przecenianie, wynoszenie w nacjonalistycznej euforii naszego znaczenia. Kijowski nie był nacjonalistą, raczej krytycznie obserwował rodaków i dzieje ojczyzny. Dlatego napisał: „literatura musi zdobyć się na okrucieństwo takie, do jakiego zdolni byli pisarze, którzy wówczas postawili narodowi zwierciadło przed oczy i zdołali go tym wizerunkiem przerazić”. Kijowski opisuje sytuację, w której społeczeństwo, poddane presji nieludzkich reguł życia, upomina się o podstawowe wartości. I na tym w gruncie rzeczy — na owym upominaniu się o godność, prawdę i wolność — polega sens tego, iż owa „niepowtarzalność życia powszedniego” zrodziła tak istotny w życiu Europy ruch społeczny. Nie ma tu mowy o żadnej „rewolucyjności” owego ruchu, o jego nowatorstwie wobec dotychczasowego dorobku kultury. Następuje jedynie „powrót do źródeł”, który w zmienionym pejzażu społeczno-politycznym musi oznaczać dążenie do przekształcenia „stosunków wewnętrznych i międzynarodowych na nowe”.

X

Warto dlatego przyrzeć się osiągnięciom literatury w sferze rozpoznania realiów, ocenić jej dorobek w opisie społecznej rzeczywistości, poddać analizie jej zdolność określenia stanu świadomości współczesnego Polaka. Trudności, na jakie napotyka literatura w nazywaniu współczesnych zdarzeń są funkcją ogólniejszej sytuacji, o której pisał ostatnio Adam Michnik: „Myślę sobie: wiemy dokładnie, czego nie chcemy, ale czego chcemy, nikt z nas dokładnie nie wie. Nie istnieje język, który mógłby poprawnie opisać nasze pragnienia — to też jedna z osobliwych cech tego czasu. Żaden ze znanych języków nie syntetyzuje naszego doświadczenia. Nie wystarczy język politycznych analiz czy socjologicznych prognoz, język historycznej refleksji czy religijnej

medytacji. Wartości, których obecność intuicyjnie wyczuwamy — i którym pragniemy być wierni — to wartości egzystujące na styku różnych sfer naszej człowieczej kondycji, przeto i język ich opisu nie może być wewnętrznie jednorodny. Szukamy przeto języka innego, który dotknie tego, co niewyraźalne”.

W takiej perspektywie literatury „twarde jądro” tworzy wciąż jeszcze nie odczytana konfiguracja utworów międzywojennych: dorobek Bolesława Leśmiana, Tadeusza Micińskiego, Brunona Schulza, Witkacego, także debiuty Vincenza i Gombrowicza oraz awangardy wileńskiej. W tej literaturze najwyraźniej dochodzi do głosu przekonanie o kryzysie — czy przesileniu — w sposobie ujmowania świata. Nie przypadkiem w toczonej w czasie drugiej wojny dyskusjach literackich wyrażano przekonanie, że po wojnie nie będzie już można pisać ani tak, jak proponowali przedstawiciele awangardy krakowskiej, ani tym bardziej tak, jak proponowali skamandryci: co do tych ostatnich warto przypomnieć bodaj z pierwszego numeru powojennego *Pokolenia* wiersz Tadeusza Różewicza „Na powrót umarłych poetów”, mówiący o powrocie z emigracji reprezentantów tej właśnie grupy.

W okresie powojennym kształtować się zaczęły nowe warianty języka, o którym pisze Michnik. Przede wszystkim na emigracji — w kontynuowanej sprzed wojny eseistyce Stempowskiego, w dziele Vincenza, w „Dziennikach” Gombrowicza, w piśarstwie Herlinga-Grudzińskiego, w poezji Miłosza i Wata, wcześniej jeszcze w szkicach Bolesława Micińskiego pisanych w okresie wojennym. W kraju przede wszystkim w piśarstwie Herberta (tu zwłaszcza na uwagę zasługuje tom szkiców „Barbarzyńca w ogrodzie”). Inną drogą zbliżają się do uchwycenia tego języka przedstawiciele „szkoły bez uczniów”, o której swego czasu pisał Barańczak: Miron Białoszewski, Karpowicz i Wirpsza. Inny jeszcze nurt poszukiwań odnajdziemy w ironicznym labiryncie Wisławy Szymborskiej. Listę nazwisk można wydłużyć, ograniczając się do kilku: Leopolda Buczkowskiego, Tadeusza Nowaka (powieść „A jak królem, a jak katem będziesz”), Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Konwickiego czy wreszcie Jarosława Marka Rymkiewicza oraz Włodzimierza Paźniewskiego. Jednakże wszystkie te próby są od siebie izolowane, istnieją w rozproszeniu, brak dla nich interpretacyjnego centrum w zatowizowanej kulturze.

Punktem zwrotnym był, jak się wydaje, moment debiutu „pokolenia '68”, które — po okresie polemik ze starszymi — dość szybko — także pod wpływem dziejących się wydarzeń — odbudowywać zaczęło przestrzeń wspólnoty kulturowej. Dopiero wtedy możliwe się stało tworzenie struktur — także instytucjonalnych i organizacyjnych — niezależnej kultury. Centrum ich stanowi kategoria godności. Ona też konstytuuje język, który

„syntetyzuje nasze doświadczenie”. W tym języku tworzone są wiersze Ryszarda Krynickiego i Jana Polkowskiego, eseje Adama Michnika, Wojciecha Karpińskiego, Adama Zagajewskiego, Włodzimierza Paźniewskiego.

Literatura tu tworzona istotnie „opisuje rzeczywistość”, lecz czyni to przede wszystkim w jej warstwie „głębokiej”, w warstwie życia duchowego.

XI

Wszakże „rozpoznawanie rzeczywistości” to nie tylko penetrowanie jej warstw „głębokich”. Ważny — zwłaszcza dla przeciętnego czytelnika — jest opis codziennego doświadczenia. Z tym radzi sobie poezja, choćby w wierszach Białośzewskego czy w debiutanckich zbiorach „pokolenia '68”. Gorzej z prozą. Najambitniejszą próbą ostatnich lat wydaje się opublikowana (po latach zabiegów) „powieść” Chrystiana Skrzyposzka „Wolna trybuna”. Wśród innych wydanych w ostatnim okresie książek — bardziej „realistycznych” niż groteska Skrzyposzka — wspomnieć trzeba o „Rozpadzie” Marii Jaroty (pseud.), „ABC” Krzysztofa Czabańskiego, „Braku tchu” Janusza Andermana, „Dochodzeniu” Ewy Marii Slaskiej, „Raporcie o stanie wojennym” Marka Nowakowskiego, a także o „Studni” Michała Jagiełły oraz o „Scenach myśliwskich z Dolnego Śląska” Józefa Łozińskiego. Dodać można jeszcze powieść Hentschela „Liturgia”, krótką historyjkę o stanie wojennym Marii Nurowskiej. W innej nieco perspektywie ująć należy nową powieść Tadeusza Konwickiego „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”, w jeszcze innym zaś planie sytuują się „Rozmowy polskie latem 1983 roku” Jarosława Marka Rymkiewicza.

We wszystkich tych książkach mamy do czynienia z próbą określenia sytuacji, w jakiej znalazło się polskie społeczeństwo u progu lat 80-tych: niestety — proza ta w większości wypadków zbyt jest naswcona reportażem i publicystyką, zbyt często opowiada się przede wszystkim wobec systemu politycznego, w jakim powstaje, by mogła podjąć zagadnienia nie tylko kondycji politycznej Polaka, lecz przede wszystkim jego kondycji ludzkiej. Skazuje ją to siłą rzeczy na funkcjonowanie w mniej lub bardziej wyraźnie zarysowanym układzie dwuczłonowym, w którym „dobre” z natury społeczeństwo przeciwstawiane jest złemu komunizmowi. Poprzestanie na tym przeciwstawieniu skazuje literaturę na trywialność, choćby nawet stylistycznie pięknie przybraną. I na doraźność.

O szansie wyjścia z tej ślepej uliczki świadczy przede wszystkim kilka nowych opowiadań Andermana: tu już pojawiają się

elementy głębszej analizy, świadczące o dostrzeganiu stanu moralnej degrengolady wielu grup społecznych; to proza drapieżna, przełamująca stereotypy polskiego myślenia, wyszydająca wygodne i zarazem nieprawdziwe mitologie.

XII

Stworzenie i rozbudowa niezależnego obiegu dzieł kultury stanowią wielką społeczną — a także artystyczną — szansę. W pamiętnej książce Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony” autorzy — i słusznie — wystąpili przeciw „językowi ezopowemu” polskiej sztuki, przeciwko aluzji i metaforze, które stały się chwytem maskującym mówienie o rzeczywistości. Nie wystąpili jednak przeciwko samym tym chwytom. Aluzja i metafora, „język ezopowy”, parabola i przypowieść należą do niezwykłych sposobów prowadzenia narracji. Jednakże pod warunkiem, iż nie zredukują się ich do funkcji zastępczych, a takie właśnie funkcje pełnić muszą, często w komicznym nadmiarze, w sztucznym, zideologizowanym języku komunistycznej „polityki kulturalnej”. Powstanie sfery „wolnego słowa” jest powrotem do języka naturalnego i do naturalnych funkcji chwytów literackich. Wydaje się, że literatura nasza jeszcze nie w pełni zdaje sobie sprawę z tego, co odzyskała. Odzyskała status normalności — pytanie tylko czy wie, co z tym zrobić.

Życie artysty, pisarza w komunizmie jest oczywiście na swój sposób ułatwione; granice między dobrem i złem są wyraźne, problemy egzystencjalne i wybory moralne zdominowane przez ciśnienie polityki i ideologii. W polskiej tradycji, w której — w przeciwieństwie np. do tradycji literatury czeskiej — dominuje postawa walki, ułatwia to życie podwójnie: wiadomo, po której stronie ma stanąć pisarz.

W rzeczywistości nie do końca wiadomo. Rzecz bowiem nie w tym czy za, czy przeciw komunizmowi, lecz w tym, by uwolniony od presji ideologii artysta uzyskał rzeczywistą swobodę wypowiedzi, by zdobył wreszcie suwerenność pozwalającą mu mówić własnym głosem i „myśleć inaczej”. Sztuka wyzbyta radości tworzenia, zredukowana do powinności, sztuka, która ma „reprezentować” zamiast poszukiwać, musi w efekcie zwyrodnieć.

W żadnej mierze nie twierdzę, że sytuacja artysty w Polsce jest dziś prosta. Przeciwnie. Wydaje się, że już dawno nasza sztuka nie przeżywała tak silnego i tak głębokiego kryzysu. Więcej nawet: dziś może bardziej niż kiedykolwiek z miary tego kryzysu zdaje sobie sprawę.

Czas obecny w naszej kulturze to czas wielkiego oczekiwania, czas zagubienia i nadziei. Gęstość doświadczeń, natłok treści rozsada znane formy i tradycyjne konstrukcje wypowiedzi artystycznej. Bez wątplenia na ten stan rzeczy ma wpływ swoistego rodzaju poczucie zawieszenia. Okres ten charakteryzuje się bardziej intuicyjnym wyczuwaniem niż zdolnością racjonalnej werbalizacji prawd, do których dochodzimy. Niestabilność, chwiejność sytuacji, poczucie bezradności i bezsilności — wszystko to nie sprzyja sensownej, skupionej pracy intelektualnej. Być może dlatego lepiej radzą sobie emigranci — skazani na dystans, żyjący we względnie stabilnych warunkach, w mniejszym stopniu poddani politycznej presji.

W pewnej mierze wybory dokonywane są na ślepo, raczej w atmosferze przeczuć niż w poczuciu słuszności. Po raz kolejny w tym stuleciu rozpadowi ulegają wielkie systemy, które w kategoriach ogólnych miały wyjaśniać świat i porządkować historię. Lecz tym razem kultura polska nie odczuwa potrzeby ich odbudowy: skłania się raczej do szacunku dla szczegółu, dla konkretności. Zapewne gubi się w bogactwie i różnorodności świata, lecz jest to bardziej sensowne niż redukcyjne zabiegi dopasowujące rzeczywistość do gotowych teorii. Być może właśnie w ten sposób kultura odzyskuje swą suwerenność.

Czy całość złoży się sama? Czy istnieje całość? Oto pytania, które pojawiają się coraz częściej. Formułowane są na ogół w języku osobistym, w „liczbie pojedynczej”. Lecz żywe wciąż doświadczenie wspólnych przeżyć ostatnich lat nie pozwala na całkowite zindywidualizowanie wypowiedzi. Stąd wciąż dochodzące w nich do głosu „my”. W tym napięciu zapewne rozwijać się będzie w najbliższym czasie polska kultura.

Lecz poza napięciami wewnętrznymi — twórczymi i ożywczymi — towarzyszyć jej będą ostre konflikty sytuacyjne. Byłyby jednak absurdem, gdyby owe konflikty, z takim trudem zepchnięte w ostatnich latach na plan dalszy, miały znów decydować o kształcie artystycznych wypowiedzi. Nie po to przecież od tylu już lat kultura polska walczy o niezależność, by w tej chwili skapitulować i pozwolić się zredukować do instrumentu politycznej rozgrywki.

Leszek SZARUGA

Dawne obciążenia i nowe perspektywy

(ROZMOWA Z PROF. JURIJEM SZEWELOWEM)

Bohdan STRUMIŃSKI: — *Oświadczył Pan w rozmowie prywatnej, że jest Pan polonofilem. Na czym polega Pańskie polonofilstwo i skąd się wzięło?*

Jurij SZEWELOW: — Zaczę od tego, że nie jestem *homo politicus* i dlatego moje sympatie do Polski nie są polityczne, lecz raczej psychologiczne i kulturowe. Do Polaków, z którymi się spotykałem, zawsze mnie przyciągało ich bezwarunkowe oddanie niepodległości narodu — była to dla nich kwestia bezdyskusyjna. Niepodległość uważali za coś tak normalnego jak powietrze potrzebne do oddychania. Pośród Ukraińców tego rodzaju postawy są rzadsze. Polacy dowiedli zresztą swego nastawienia ostatnio w czasach „Solidarności” i dowodzą wciąż w okresie po „So-

Jurij SZEWELOW jest emerytowanym profesorem slawistyki Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, prezesem Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk, autorem wielu książek i artykułów z językoznawstwa słowiańskiego i literaturoznawstwa, które przyniosły mu rozgłos światowy. Urodził się w Łomży jako syn wyższego oficera carskiego, a młodość spędził w Charkowie, który był do połowy lat trzydziestych stolicą Ukrainy sowieckiej.

Prof. Szewelow drukował i po polsku w *Kulturze* („Młodzież czwartego Charkowa” — 1951; „Pokój nr 101” — 1952; „Zachód jest Zachodem — Wschód jest Wschodem” — 1953).

W 1983 roku Jurij Szewelow obchodził siedemdziesięciolecie urodzin, co upamiętniła Ukraińska Wolna Akademia Nauk, wydając książkę na jego cześć („Studies in Ukrainian Linguistics in honor of George Y. Shevelov”, Nowy Jork 1985).

lidarności". Poza tym mało miałem bliskich osobistych kontaktów z Polakami. Chętnie jednak zamieszczałem polskie artykuły, kiedy redagowałem pismo *Suczasnist'*. Kilka razy spotkałem się z Giedroyciem, który opublikował parę moich szkiców w *Kulturze*. Podczas krótkiego pobytu w Polsce w 1958 roku poznałem polskich językoznawców. Spośród tych znajomości jedna zwłaszcza, z prof. Stieberem, przerodziła się w prawdziwą ludzką przyjaźń. Ale mimo to nie mogę powiedzieć, że dobrze znam Polaków i że wyodrębniam ich, traktując na specjalnych prawach w mojej psychice czy w moim intelekcie.

B.S.: — *Wspomnienie postaci prof. Zdzisława Stieberta przypominało mi jego nekrolog, który Pan napisał, wyrażając wiarę w oczekujące Was spotkania i rozmowy na Polach Elizejskich. Może Pan zdradzić, o czym rozmawialibyście Panowie w tych wysokich sferach?*

J.SZ.: — Sądzę, że na te same tematy, które poruszaliśmy przy naszym pierwszym spotkaniu w Warszawie, kiedy to odwiedził mnie w hotelu, a rozmawialiśmy po francusku, nie tyle dlatego, że on nie rozumiał ukraińskiego ani ja polskiego, lecz po prostu przez ostrożność. Na Polach Elizejskich, jak przypuszczam, ściany nie mają uszu, tam chyba jeszcze nie zainstalowano odpowiednich aparatów i moglibyśmy spokojnie i swobodnie mówić — o tym samym, co w Polsce. A w Warszawie rozmawialiśmy przede wszystkim na tematy językoznawcze; o badaniach nad ukraińską fonetyką historyczną i gwarami ukraińskimi, które prowadził prof. Stieber, jak również o roli poszczególnych ludzi we współczesnych konfliktach społecznych i kulturowych i czy uczestnicząc w nich można zachować wolność i niezależność.

B.S.: — *Jak ocenia Pan oddziaływanie języka polskiego na ukraiński? Według Trubieckiego wpływ ten zmienił charakter ukraińszczyzny, nadając jej cechy języka zachodniostowiańskiego. Czy zgadza się Pan z tym? Wreszcie czy wzajemny związek tych dwóch języków i rola polszczyzny były dobroczynne, czy też szkodliwe? Nie wiem, czy postawienie w taki sposób tej kwestii nie jest już dzisiaj bezprzedmiotowe?*

J.SZ.: — Myślę, że wpływy polskie były dla języka ukraińskiego bardzo pozytywne, przede wszystkim dlatego, że sprzyjały jego reorientacji, zmianie kierunku od Bizancjum, które wówczas było już martwe, ku Zachodowi, który był żywy.

B.S.: — *O jakim okresie Pan myśli?*

J.SZ.: — Przede wszystkim o XVI - XVII wieku, okresie naj-

większego nasilenia wpływów polskich. Sądzę, że otworenie drzwi na Zachód było bardzo korzystne dla języka ukraińskiego i zgadzam się całkowicie, że na skutek tego zmienił się gruntownie charakter nie tyle samego języka, co głównie słownictwa ukraińskiego. Jednocześnie jednak polskie wpływy mogłyby okazać się w swoich konsekwencjach szkodliwe, gdyby powstanie Chmielnickiego nie położyło im politycznego kresu. Gdyby bowiem oddziaływanie języka polskiego na ukraiński trwało również po powstaniu i to tak samo aktywnie jak przedtem, to — jak sądzę — po stu latach nikt by nie mówił po ukraińsku.

B.S.: — *Zatem ocenia Pan dość pesymistycznie odporność tego języka czy też w ogóle języków na obce wpływy?*

J.SZ.: — Chyba wszystkie języki bardzo łatwo poddają się asymilacji, jeżeli nie zostanie jej przeciwstawiona wysoko rozwinięta świadomość niepodległości, podobna tej, która istnieje teraz w Polsce. Dodam, że w przypadku procesów asymilacji, którym poddają się klasy wyższe, nie można się spodziewać, żeby klasy niższe potrafiły utrzymać poprzedni stan. W moich oczach pozytywną historyczną rolę odegrały zarówno wpływy języka polskiego na ukraiński, silne do czasów Bohdana Chmielnickiego, jak samo powstanie Chmielnickiego, które ostatecznie uniezależniło Ukrainę od Polski, w wyniku czego za nadal silnymi wpływami polszczyzny nie stało już państwo polskie i jego polityczne aspiracje; jak to było przedtem. Inaczej mówiąc Polska oddziaływała odtąd na Ukrainę wyłącznie kulturalnie, a nie w dwojaki, mieszany sposób polityczno-kulturalny.

B.S.: — *Do zbliżenia polsko-ukraińskiego mogłyby się przyczynić wzajemne przekłady literatur. Wydaje mi się jednak, że literatura ukraińska jest jak dotąd mało atrakcyjna dla Polaków. Aleksander Wat wręcz pisał, że winne tu są determinacje językowe, co zresztą pobrzmiwa humboldtyzmem.*

J.SZ.: — Jest w tym zaledwie część prawdy. Weźmy Szewczenkę. Nie wyobrażam sobie wiernych przekładów Szewczenki na jakikolwiek język, ponieważ cały urok jego poezji jest wynikiem niezwykle wyszukanej gry odcieni znaczeniowych, których zupełnie nie można oddać w tłumaczeniu na inny język. Ilekroć zdarzało mi się czytać tłumaczenie poezji Szewczenki, nigdy nie odtwarzały one jej urody. W przekładzie Szewczenko przeobraża się albo w naśladowcę folkloru, albo w trybuna politycznego i praktycznie traci swoje wartości poetyckie — przestaje być poetą.

Co do tłumaczeń polskiej literatury na Ukrainie to obawiam się, że sporo utworów — przynajmniej z doby romantyzmu —

też się nie nadaje do przyswojenia przez język ukraiński. Tym razem nie tyle ze względu na oddanie znaczeń, na semantykę, ile na nasycenie tej twórczości wybitnie polskimi problemami narodowymi. Oczywiście dobrze rozumiem, że ani Mickiewicz, ani Słowacki czy Krasiński nie ograniczali się w swojej poezji tylko do tych spraw. W przekładach jednak to wybija się na czoło i w znacznej mierze przesłania inne wartości ściśle literackie. Dlatego też rozszerzyłbym Pańską tezę: nie tylko czytelnik polski jest obojętny na literaturę ukraińską, lecz także i w bardzo wielkim stopniu czytelnik ukraiński (nieliczne wyjątki to tylko potwierdzają) mało zna literaturę polską i niezbyt się nią interesuje.

B.S.: — *Przywołał Pan okres romantyzmu, którego znajomość jest stosunkowo najlepsza po obydwu stronach, ponieważ istnieje do dziś zainteresowanie niewielkiego kręgu ludzi w Polsce Szewczenką i mamy też bardzo dobre przekłady polskich romantyków na ukraiński. Natomiast sytuacja wygląda bardzo źle, gdy sięgniemy do przykładów z literatury współczesnej. Polska może zaofiarować atrakcyjne książki, które jednak na Ukrainie nie są znane. Pytanie tylko, czym może zrewanżować się ukraińska literatura XX wieku?*

J.SZ.: — Coś dałoby się znaleźć. Oczywiście po pierwsze trzeba odliczyć z rachunku utwory o nastawieniu propagandowym. A po drugie nie sądzę, by obecnie ukraińska proza czy poezja była atrakcyjna, gdyż jest ona prawie całkowicie poświęcona problemom wiejskim — to zjawisko w dość szerokim stopniu charakteryzuje współczesną literaturę ukraińską. Ale jeżeli się wybierze utwory oparte na temacie miejskim, choćby twórczość Waleriana Pidmohylnego (to pierwszy przykład, jaki przyszedł mi na myśl), to sądzę, że mogłyby one wzbudzić spore zainteresowanie. Jednakże zawsze byłem i jestem przekonany, że nie tyle literatura toruje drogę poznaniu danego narodu przez inny naród, ile... W tym miejscu przypomnę i sparafrazuję, co powiedział polski wybitny językoznawca Baudouin de Courtenay: język literacki to gwara, która się opiera na armii i flocie. I trzeba przyznać, że i dzisiaj w naszym świecie literatura, o ile wychodzi poza opłotki własnego narodu, też na ogół opiera się na armii i flocie. To znaczy, że dopiero wtedy, gdy stoi za nią jakaś polityczna i militarna siła, znajduje sobie drogę do innych literatur i może na nie oddziaływać. Podam przykład literatury rosyjskiej: Puszkina cenię jako bardzo wielkiego poetę, tyle że kto znał Puszkina w Europie zachodniej w czasach, gdy żył lub bezpośrednio po jego śmierci? Nikt. Dopiero teraz Puszkina jest odkrywany na Zachodzie (dodajmy, że w odróżnieniu od Szewczenki jest poetą nie nazbyt trudnym do tłumaczenia). Najpierw powstało państwo

rosyjskie, a dopiero potem przyszedł Dostojewski, Tołstoj, i dopiero potem odkryto Puszkina czy raczej odkrywa się go. Dlatego myślę, że raczej miał Baudouin de Courtenay i że można jego spostrzeżenie rozciągnąć też na literaturę.

— Nie sądzę więc, by literatura ukraińska w jakimkolwiek kraju zachodnim, włącznie z Polską, mogła się stać popularną, póki sama Ukraina nie stanie się znana.

B.S.: — *Czy jednak za Miłozsem albo Gombrowiczem stała jakaś armia lub flota?*

J.SZ.: — Za Miłozsem i Gombrowiczem, chociaż może oni tego nie chcą, wciąż stoi armia polska. Tyle, że przez armię i flotę rozumiem nie armaty i nie czołgi, lecz państwo, które nimi rozporządza. Polska jest państwem i w tym cała różnica.

B.S.: — *Ależ oni pisali na emigracji i to przeciwko rządowi tego państwa!*

J.SZ.: — To nic nie znaczy. Tołstoj też nie pisał w duchu imperium rosyjskiego. Imperium rosyjskie nie bardzo wiedziało, co z nim zrobić, w końcu wydalono go z cerkwi, a nie zniszczono tylko dlatego, że nie było to wówczas możliwe. Niezależnie jednak od tego, także i wtedy, stało za nim państwo rosyjskie.

B.S.: — *Psychologizujący językoznawca ukraiński Mychalczuk pisał, a powtarzali to inni, że Ukraińcy są bliżsi psychicznie Polakom niż Rosjanom. Czy Pan też to tak ocenia?*

J.SZ.: — Wszelkie rozważania o psychice narodu jako takiego muszą być bardzo subiektywne, a z drugiej strony mogą się bardzo łatwo przekształcić w narzędzie nie zawsze przyjemnych ideologicznych manipulacji. Toteż zastrzegając się, że mówię tylko o swoich subiektywnych wrażeniach, które nie zawsze przystają do konkretnej osoby czy to Ukraińca czy Polaka, gdyż ta może być zupełnie odmienna od tych ogólnych idealnych wizerunków, to obydwa te narody bardzo się od siebie różnią — wyrażają dwa odmiennie stereotypy postaw i cech. I jako takie bardzo różne występują też w folklorze. Zapewne mówiąc to, podświadomie jestem też pod wpływem właśnie folkloru.

— Myślę, że Ukraińcy odróżniają się od Polaków z jednej strony większym liryzmem, co zresztą sam Mychalczuk określał jako element kobiecości w ukraińskim charakterze narodowym, a z drugiej strony są mniej skłonni do tego, co nazwałbym osobistą ekspansją.

B.S.: — *Podkreślił Pan tylko różnice między Ukraińcami a Polakami. A co z Rosjanami? Są bliżsi Ukraińcom czy Polakom?*

J.SZ.: — Nie tak dawno przeprowadziłem analizę porównawczą przysłów o Bogu w trzech zbiorach paremiologicznych — ukraińskim, polskim i rosyjskim. Widoczne jest odmienne podejście do pojęcia „Bóg” u tych trzech narodów. Nie będę się wdawał w szczegóły, bo bez poparcia materiałem faktograficznym nie da się tego uzasadnić, ale ogólnie różnice między trzema kompleksami przysłów, które mogą, choć nie muszą, określać odmiennosć psychiki narodowej, są mniej więcej jednakowe dla wszystkich trzech narodów i przeciwstawiają każdy z nich dwom pozostałym. Przysłowia ukraińskie są może trochę bliższe polskim niż rosyjskim. Mówię tu nie o ogólnej psychice narodów, lecz tylko o tym, co wywnioskowałem z tych badań. W przysłowia ukraińskich i polskich mniej zauważalne są cechy pokory, posłuszeństwa, uległości.

B.S.: — *Wobec kogo?*

J.SZ.: — *Wobec Boga. Ale przypuszczam, że można to uogólnić i na inne dziedziny.*

B.S.: — *Bóg może być też losem, fatum, wszystkim?*

J.SZ.: — *Tak. Stosunek do Boga w jakimś stopniu odzwierciedla stosunek do świata i do innych ludzi.*

B.S.: — *Wracając do kwestii rzekomo kobiecej natury Ukraińców, to jak można ten obraz pogodzić ze stereotypem ukraińskiego rezuna, który był tak złowieszco popularny do niedawna w Polsce? Kobieta-rezun?*

J.SZ.: — *Po pierwsze trzeba przyznać, że kobiety mogą być bardzo aktywne w kłótniach, a przecież czasem polityka niezbyt wyraźnie różni się od kłótni. W historii takie rzeczy są możliwe. Poza tym sądzę, że wszystkie narody w określonych sytuacjach przejawiają cechy „rezuństwa”, ponieważ jest ono istotną częścią dziejów ludzkości w ogóle i tkwi w samej psychice ludzkiej, mającej w sobie także cechy wilcze. Ale nawet w ramach konfliktów narodowościowych czy społecznych rezuństwo czy terror mogą się przejawiać odmiennie — wyrażać odmiennie psychiki. Można rżnąć i być przy tym tklwym wobec ofiary i można rżnąć i być sadystą. Są różne możliwości. Oczywiście sam tego nie doświadczyłem, ale mogę sobie wyobrazić, że różnice w charakterze narodów mogą się też przejawiać i w takich działaniach, które są wspólne całej ludzkości. Możliwe, że ujawniają się one nie tylko*

w sposobie, w jaki ludzie wzajemnie się mordują, lecz także w tym, jak jedzą i jak się kochają. Nie chcę twierdzić, że tak jest na pewno, że to stwierdzony fakt, bo obracamy się wciąż w sferze hipotez, przypuszczeń i sugestii, wywodzących się z jednej strony z folkloru, a z drugiej w znacznej mierze od pisarzy romantycznych.

B.S.: — *Istnieje pogląd (wśród Polaków wypowiedziany z ostrością przez księdza Bukowińskiego) o wielkiej różnicy między Ukrainą wschodnią a zachodnią. O ile druga może i chciałaby niepodległości, pierwsza, wschodnia, według tego poglądu miała być na tyle zruszczona, że już nawet i nie pragnie niepodległości. Pan mieszkał w obydwu częściach Ukrainy. Czy zgadza się Pan z taką tezą?*

J.SZ.: — *Sądzę, że nie chodzi tu o jakąś specyficzną odmiennosć psychologiczną, lecz po prostu o to, iż oficjalna propaganda sowiecka obok innych motywów szczególnie silnie podkreśla fakty z przeszłości, które mają dowodzić, że Ukraina nigdy nie może stać się niepodległa i że wszelkie jej próby w tym kierunku kończyły się klęską i że nie może być inaczej.*

Tymczasem historia pokazała, że w latach 1917-1920 Ukraina wschodnia w rzeczywistości sama, bez pomocy Ukrainy zachodniej zdołała stworzyć własne państwo i prowadzić wojnę w obronie tego państwa. Ale minęło już od tamtej pory ponad 60 lat w ciągu których ludzie wciąż tylko słyszeli, że odzyskanie niepodległości jest beznadziejne, że z tego nic nie będzie. Nie byłem w Kijowie po wojnie, ale moja dobra znajoma jechała tam kiedyś taksówką, rozmawiając z szoferem po ukraińsku. Szofer odpowiadał jej — jak zwykle w Kijowie — po rosyjsku. Kiedy zwróciła mu na to uwagę, powiedział: „Język ukraiński jest dobry, ale nic z niego nie będzie”. Myślę, że takie nastawienie do języka świadomie czy podświadomie odbija się też w myśleniu o możliwej niepodległości państwowej. Potrzebne są więc nowe doświadczenia, które pomogłyby zmienić tę postawę. Doświadczenia takie kiedyś nadejdą, tyle że nie sposób przewidzieć kiedy, ale nowy wybuch podobny do tego z lat 1917-1918 jest nie tylko możliwy, ale i nastąpi prędzej czy później.

Na Ukrainę zachodnią przed wojną oddziaływał zupełnie inny typ propagandy politycznej — takiej aktywnej, bojowo nacjonalistycznej — który odbił się bardzo wyraźnie na Ukraińcach zachodnich. Podczas wojny byłem kilka miesięcy we Lwowie, gdzie bardzo wyraźnie widziałem tę różnicę. Ale, powtarzam, ta różnica wytworzyła się pod wpływem panującej propagandy, czy tej uprawianej przez państwo, jak na Ukrainie wschodniej i centralnej, czy tej, którą systematycznie posługiwały się niektóre ugrupowa-

nia partyjne. Różnica nie tkwi we krwi, nie tkwi w psychice narodowej, ani tym mniej w psychice regionalnej, lecz jest funkcją i zmianą się zależnie od okoliczności historycznych.

B.S.: — *W związku z tym takie pytanie: zachodni i wschodni Ukraińcy mają też chyba różny stosunek do Polski? Czy Pańskie obserwacje to potwierdzają?*

J.SZ.: — Mogę znowu przypomnieć swoje doświadczenia lwowskie. Kiedy przyjechałem do Lwowa, chciałem znaleźć mieszkanie. Powiedziano mi, że tam a tam jest wolne mieszkanie, ale gospodarz domu jest Polakiem. Jeżeli będę z nim mówił po polsku, to on mi może je wynająć, a jeżeli będę mówił po ukraińsku, to prawdopodobnie się to nie uda. Poszedłem do niego i zacząłem rozmowę po polsku. Z początku szło mi dobrze, ale nagle zapomniałem jednego zupełnie zwykłego słowa polskiego i użyłem go niepoprawnie, dokonując substytucji fonetycznej z formy ukraińskiej. Gospodarz się roześmiał: „A, to Pan nie Polak, tylko Ukrainiec!”. Na to ja: „Tak i myślę, że mieszkania już nie zobaczę”. Wtedy on na to: „Ale Pan jest ze wschodniej Ukrainy?”. Potwierdziłem. I mieszkanie dostałem.

B.S.: — *Czy gdyby był Pan z zachodniej, to nie wynająłby Panu?*

J.SZ.: — Prawdopodobnie nie.

B.S.: — *Ależ to świadczy o innym stosunku Polaków do zachodnich i wschodnich Ukraińców! A jaka jest różnica między stosunkiem wschodnich i zachodnich Ukraińców do Polaków?*

J.SZ.: — Przypomniałem ten epizod właśnie dlatego, że odzwierciedla on wzajemne nastawienie. Stosunek Ukraińców z tej części Ukrainy, którą przed wojną włączono do ZSSR był wobec Polaków neutralny. Byli oni takim samym narodem jak powiedzmy Węgrzy, Rumuni itd., o których mało wiadziiano i wobec których nie przejawiano żadnych specjalnych uczuć — ani pozytywnych, ani negatywnych. Stosunek Ukraińców zachodnich do Polaków był — oczywiście nie zawsze, ale bardzo często — wrogi. Bardzo często obydwie strony patrzyły na siebie, jakby stały po dwóch stronach frontu. Naturalnie nie dotyczy to ludzi bardziej inteligentnych, którzy potrafili i chcieli myśleć samodzielnie, ale takich — jak zawsze — była mniejszość. Sytuacja na Ukrainie zachodniej z mojego punktu widzenia, Ukraińca nie z Zachodu, była wtedy całkiem nienormalna i niemożliwa do zmiany. I muszę powiedzieć, że nie wyobrażałem sobie wtedy, jak można na tych ziemiach Polaków i Ukraińców pogodzić. Myślę, że gdyby Stalin nie przesiedlił Ukraińców z Galicji zachodniej itd. a Polaków ze

wschodniej, konflikt chyba by nie ustał. Ale wszystko to już historia, która nie ma żadnego znaczenia.

B.S.: — *Czy to znaczy, że widzi Pan dobre perspektywy dla poprawy stosunków polsko-ukraińskich?*

J.SZ.: — Tak. Jeżeli teraz coś przeszkadza przyjaźni, a przynajmniej wzajemnej tolerancji, to według mnie nie jakieś prawdziwe problemy, lecz tylko dawne obciążenia, mary przeszłości, które prędzej czy później wywietrzeją.

B.S.: — *Myślę, że tą nutą możemy zakończyć wywiad. Dziękuję bardzo.*

Rozmawiał Bohdan STRUMIŃSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Wiersze wileńskie

Wybrane wiersze pochodzą z wydanej w zeszłym roku skromnej antologii poezji polskiej tworzonej w dzisiejszej Litwie: „Sponad Wilii cichych fal”*. Tomik ukazał się nakładem wydawnictwa kowieńskiego Sviesa w wysokości 1500 egzemplarzy i szybko został rozkupiony, osiągając na czarnym rynku cenę dziesięciokrotnie wyższą. Zasadniczo obejmuje on tylko tych poetów polskich, którzy należeli do Kółka Literackiego przy redakcji wileńskiego dziennika (w języku polskim) *Czerwony Sztandar*. Trudno też byłoby na podstawie lektury 15 poetów i blisko 200 wierszy (dokładnie 197) kusić się o bliższą charakterystykę tworzonej na Litwie, w jej wileńskiej części, poezji polskiej — trafniejsze byłoby określenie: pisanej po polsku i zarazem wyraźnie związanej z miejscem swojego powstania, z litewskimi odniesieniami.

To ostatnie czasami przybiera nieprzyjemny, także dla ucha Litwinów ton, kiedy poeci — mimowiednie, albo i świadomie? — powielają sztance bardziej sowieckiej niż litewskiej poezji (sowieckiej, nie rosyjskiej, gdyż znać tu wpływ szerzonej propagandy, jej hasła, jej frazesów). Zapewne trudno, aby było inaczej i nie można w tym upatrywać większego niebezpieczeństwa. Przynajmniej na razie. Gorsze jest co innego. Polscy poeci wileńskiej Litwy są dość wyraźnie oddaleni od wpływów poezji europejskiej; ich skojarzenia poetyckie, sposób budowy wierszy wskazuje, że znajomość dorobku literatury skończyła się u nich w najlepszym przypadku na latach dwudziestych naszego wieku. Czyli można dodać: zatrzymała się na ostatnim okresie względnej wolności rosyjskiej kultury, kiedy jeszcze jej nie odgrodzono szczerymi zaporami polityczno-policyjnymi od reszty świata. O tyle to istotne, że ukształtowani w sowieckich szkołach w Litwie poeci jedynie poprzez rosyjską kulturę mogą otrzymać resztki nowoczes-

* „Sponad Wilii cichych fal”. Wybór wierszy poetów polskich należących do kółka literackiego przy redakcji dziennika *Czerwony Sztandar*. Opracowali Stanisław Jakutis i Jadwiga Kudirko. Sviesa, Kowno 1985, str. 158.

ności, która inaczej jest niemożliwa do poznania i której nie stało w praktyce literackiej wcielonej do Sowietów Litwy.

Tutaj nasuwa się pytanie: a co w takim razie z oddziaływaniem polskiej kultury, która przy wszystkich swoich brakach i wadach nie straciła przecież do tego stopnia łączności ze światem? Czy poeci piszący po polsku nie mogą uzupełnić swojej edukacji lekturami poezji wydawanej w Polsce? Teoretycznie mogą, gorzej wygląda to w codziennej rzeczywistości. I nie wszystko da się wytłumaczyć przegradami granicznymi i kłopotami z wyjazdem do Polski. W znacznym stopniu winę ponoszą krajowe środowiska intelektualne czy artystyczne — przecież roszczące sobie prawo do niezależności — które są słabo zainteresowane przenikaniem polskich książek na wschód. Zwrócony, częstokroć w poczuciu niższości, ku Europie zachodniej krajowy pisarz zapomina, że w sytuacji pojałtańskiego podziału tym większe spoczywają na nim zobowiązania wobec zniewolonych narodów włączonych do sowieckiego imperium. Tego typu myślenie, które nie ma przecież w sobie nic z dawnego programu prometejskiego, byłoby po prostu spłaceniem długów. Tych, które jesteście my i jako naród i jako społeczeństwo winni narodom: litewskiemu, białoruskiemu czy ukraińskiemu.

Wybór wierszy poetów polskich piszących w Litwie jest przecież bezpośrednim dowodem wskazującym na niezrealizowane możliwości i niespłacone długi polskiej strony — na konieczność pamiętania. I to zarówno o mieszkających w obrębie imperium sowieckiego Polakach, jak i o losach i o kulturze podbitych przez Sowietów narodów, na których przeszłości kładą się ciężarem także i winy popełnione przez Polskę. A przewijające się przez liczne wiersze antologii ślady i odwołania do romantyków wileńskich (głównie Mickiewicza) to przecież nic innego jak swoisty wyrzut sumienia czyniony pod naszym adresem przez tych, którym żyje się tylekroć gorzej.

Maria ŁOTOCKA

DESZCZ NAD ŚWITEZIĄ

Deszcz nad Świtezią,
nad Świtezią deszcz.
Mokną car-kwiaty
i modrzewie mokną.
I ślady Twoich stóp
i echo Twoich słów.
Deszcz nad Świtezią,
nad Świtezią deszcz.

Henryk MAŻUL

HIPNOZA

wchodzę
zamykam drzwi za sobą
na ciszy płaszcz zawieszam
zostaję sam
jak cicho
i raptem krzyk
to krzyczy we śnie drzewo
które przyśniło
że mu rwą korzenie
gdzie byłem dziś
i czemu mnie ktoś gonił
klnąc własną niemoc
i ostrokół bruku
lecz nie potrafił
schwytać mego cienia
i znowu krzyk
to znów kolejne drzewo
snem wystraszone chce oparcie znaleźć
śród moich myśli
gdzie byłem dziś
i czemu ciągle widzę
samotne oczy odchodzące w ciemność
za zamkniętymi drzwiami
i znowu krzyk

Sławomir WOROTYŃSKI

WCZORAJ

Płynie głowa, jak woda,
z czarnym snem Balladyny.
Takiej głowy nie szkoda
i pod nóż gilotyny.
Niech się toczy po trawie.
Tam rozdepczą ją konie.
Z nadciśnieniem rozmawiać
już nie będzie spokojnie.
I nie krzyknie nad polem:
słońce, smutek i miłość!...
Może niech lepiej boli?
Každy ból przecież mija.

Archiwum polityczneOpozycja polska
w oczach Niemców

Jak gdzie indziej, tak i w Niemczech nie od wczoraj opadły napięcia i emocje, wywołane działalnością „Solidarności” i jej późniejszymi losami. Czy to anty-bodziec do próby uchwycenia w społeczeństwie niemieckim pewnych postaw wobec opozycji w Polsce? Chyba odwrotnie. W okresach wolnych od porywów, kiedy na powierzchni nic szczególnego się nie dzieje, ludzie ostrzej selekcjonują treści, przekazywane społeczeństwu przez politykę oficjalną. Jak więc Niemcy, wprawieni przez „Solidarność” w zdumienie, widzą sprawy polskie *teraz*: co im zostało z tych lat... na dzień dzisiejszy?

Czy porywy i napięcia uczuciowe miały tu w ogóle miejsce? Po wizycie Jaruzelskiego w Paryżu publicysta jednej z najpoczytniejszych gazet tutejszych dociekał, czy można sobie wyobrazić, by personel żeglugi na Renie odmówił przejażdżki oficjalnemu gościowi z Polski, jak uczyniła to załoga paryskich *bateaux-mouches*. „Zegary francuskie biją widać inaczej” — pisał autor artykułu. Pamiętam własne wzburzenie po 13 grudnia, kiedy ulice Paryża grzmiały od demonstracji, a w miastach niemieckich było głucho i pusto. Jak gdyby ówczesna (i do dziś kontynuowana) taktyka polityków poraziła całe społeczeństwo.

Po czterech z górą latach widzę, że i tu, jak gdzie indziej, niewiele można już tłumaczyć odgórnym porażeniem. Moje wyśliki zapoznania się z postawami niemieckimi w dość długim bądź co bądź okresie, a wreszcie „docelowe” już rozmowy, jakie prowadziłam ostatnio z wieloma osobami na temat ich stosunku do obecnej opozycji w Polsce, wykazywały jak różne są stopnie zależności, albo też niezależności reakcji ludzkich od schematów politycznych, narzucanych z góry. Co skądinąd nie znaczy wcale, by należało przekreślać sądy o pewnych właściwościach narodowych, sprawdzone doświadczalnie i historycznie.

Zatem wstępne uściślenie ogólne: do niedawna jeszcze w Za-

chodnich Niemczech wychodziło się na ulicę raczej rzadko, nawet w obronie własnych, bezpośrednich interesów. Młodzież protestująca przeciw rakietom lub elektrowniom atomowym stanowiła wyjątek, a nie regułę. Dopiero w ostatnich latach konflikty między pracownikami a pracodawcami wzmogły gotowość do demonstracji i publicznych sprzeciwów w różnej formie. Mimo to jednak kultura protestu politycznego jest tu mniej rozwinięta niż w wielu innych krajach. Obserwator zewnętrzny może wszelkie historyczne obciążenia zrozumieć — znacznie trudniej mu je przełknąć. Toteż z ulgą powita sytuację, kiedy od ciągłego wyboru między uogólnianiem a różnicowaniem uwolnią go sami Niemcy, krytykując samych siebie: „Zawsze było niebezpieczeństwo, że solidarność z ‘Solidarnością’ ograniczy się do wysyłania paczek”... (mówi wykwalifikowany robotnik od Bayera). „Sympatia, wtedy przecież niezwykła, na pewno trwa, ale w uśpieniu, gdyż Niemca na co dzień mało co obchodzi poza osobistym dobrobytem”... (profesor uniwersytetu). W innej rozmowie przeskok do uogólnienia politycznego:

„Być po stronie uciskanych — tak byłam wychowana i tak wychowuje moje dzieci. Ale nie wystarczy rezonować w czterech ścianach, trzeba dawać sygnały widoczne na zewnątrz — a my to tak źle robimy! Dlaczego tak mało ludzi demonstrowało po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce? Dlaczego jesteśmy tak nieudolni w ‘dawaniu sygnałów’”?... (lekarka).

Najkrótszy więc scenariusz nastrojów w stosunku do „Solidarności” wtedy i teraz. *Wtedy*: ogromna sympatia, czasem wręcz fascynacja, kto wie czy nie pobudzona właśnie przez polską umiejętność „dawania sygnałów” — ale to wszystko najczęściej w czterech ścianach, bez dotarcia na ulicę. Owszem, znaczki „Solidarności” w klapie i przede wszystkim miliony paczek dla nieznanym osób w Polsce — ale bez nadania potężnemu strumieniowi pomocy materialnej charakteru akcji politycznej. Przestrogi intelektualistów po 13 grudnia pod adresem Jaruzelskiego — pozbawione jednak — może poza głosem Bölla — publicznego rezonansu. Pomoc niemieckich związków zawodowych, jak wiadomo, efektywna — lecz w wyrazie zewnętrznym, w słabo uczęszczanych demonstracjach lub imprezach, zgoła nieefektywna. Jedynie chyba sprawozdawczość prasowa i telewizyjna przekroczyła granicę dźwięku. Dziennikarze i publicyści nie bali się wyrażać uczuć, angażowali się po uszy w sprawy polskie, i do dziś — od lat już poza Polską — pozostali nią w jakimś sensie urzeczni. Wspomnienie o zmarłej niedawno Angeli Nacken, kiedyś stałej, później dorywczej korespondentce *Frankfurter Allgemeine Zeitung* w Warszawie, gazeta zatytułowała: „Jej wielkim przeżyciem była Polska”.

Teraz: choć zmalał jej rozmiar, pomoc materialna, organizacyjna i prywatna nie ustała, a w wielu wypadkach zacieśniły się między Niemcami a Polakami znajomości osobiste. Podczas spotkania w Kolonii z biskupem polskim Nossolem duchowni niemieccy podkreślali wartość zbliżenia ludzkiego, które wybiegło daleko poza kontakty organizacyjne.

Sprawy polskie zeszyły z pierwszych szpalt gazet, lecz uwrażliwienie na nie utrzymuje się, w prasie i w telewizji uderza precyzja, a często i obfitość informacji. Oczywiście krąg odbiorców, dawniej bardziej „unerwiony” uczuciowo, obejmuje dziś raczej osoby z nawykami myślenia politycznego, a i u nich wykształciła się określona hierarchia odbioru. Znacznie więcej zatem wiedzieli moi rozmówcy o morderstwie księdza Popiełuszki, o procesach, aresztach, o ataku na autonomię uniwersytecką — niż o podziemiu, o drugim obiegu wydawniczym, o raporcie „Solidarności”, o nielegalnej aktywności jej członków czy o ośrodkach samorządu w fabrykach. Najmniej były im znane polskie dyskusje i dyalematy „co i jak robić dalej”. Tu można się nie bać uogólnienia: opozycja polska przedstawia się teraz Niemcom przede wszystkim jako *przedmiot* represji, a nie jako *podmiot*, działający wbrew represjom.

A jednak sędzę, że pomimo opadnięcia nastrojów wytworzyła się tu stopniowo pewna przekora wobec szablonów polityki oficjalnej. Ze więc rządowe i partyjne zabiegi o ponowne zacieśnienie stosunków z władzą w Polsce przy pomijaniu opozycji spotykają się z reakcjami o wiele mniej posłusznymi, niż zwykle w Niemczech bywało. Owe niemieckie reakcje wyrażają się często w krytyce uchybień, a nawet cech własnych — co dodaje im wiarygodności. Również bowiem schemat „wszystko co złe to góra, wszystko co dobre — dół” jest zbyt prymitywny, by mógł być prawdziwy.

Niemieckiej przekorze warto przyjrzeć się bliżej. W tym celu trzeba przypomnieć składniki szerszego kontekstu, w jakim oficjalna polityka RFN umieściła, oczywiście dla siebie podrzędną, rolę Polski. Oto one z grubsza:

— w dominującej dla RFN sferze stosunków z Sowietami chroni się ona pod osłonę amerykańską, na ogół bez własnego wkładu. Sobie pozostawia funkcję europejskiego amortyzatora: jak najmniej hałasu, jak najmniej zadrażnień;

— ograniczenie zbrojeń w rozmowach genewskich wysuwa się zdecydowanie na czoło obecnych zainteresowań polityki niemieckiej;

— w polityce gospodarczej RFN dąży nadal do nasilenia współpracy z blokiem wschodnim. Ostatnio udzielono — po raz pierwszy od roku 1981 — poręki państwowej w wysokości 100 milionów marek bankom i przedsiębiorstwom, kredytującym eksport niemiecki do Polski;

— do tego wszystkiego potrzebny jest spokój w Polsce, w czym zgadzają się — wbrew różnicom retorycznym — instancje kierownicze trzech tradycyjnych partii;

— rozkołysana Polska przeszkadzałaby dogadywaniu się z NRD, sprowadzanemu zresztą wyłącznie do spraw bezpośrednio aktualnych, a nie mającemu nic wspólnego z jakkolwiek rachubą na zjednoczenie Niemiec. (Powiedzmy od razu, że w tym jedy-

nym punkcie opinia społeczna zgadza się niemal bez reszty z polityką oficjalną);

— ażeby władzę polską uczynić *salonfähig*, relatywizuje się polską sytuację: „mimo wszystko Jaruzelski zapewnia swojemu krajowi większy margines wolności, niż inni przywódcy krajów wschodnich”;

— z konceptem tym idzie w parze wyciszenie obrony praw człowieka w Polsce, względnie pozostawienie jej w gestii polskiego Kościoła katolickiego;

— wtórują temu konceptowi również coraz częściej snute spekulacje na temat samodzielności, do jakiej dążyć winna Europa środkowa, z Polską w ważnej roli;

— wszystkie te elementy oficjalnej polityki niemieckiej przejawiają się najskrajniej w tezach kierowniczego dziś nurtu SPD. Zbiegły się więc, jak w soczewce, w postawie Brandta podczas ostatniej jego wizyty w Warszawie.

Wzdłuż tych mniej więcej osi można podjąć próbę skonfrontowania polityki oficjalnej z odczuciami społecznymi. Nie ujmowane już dziś w ankietach czy sondażach — gdyż, jak wyżej, temat polski zniknął z pierwszego planu — pewne stany świadomości rysują się jasno.

Odprężenie nie wiąże się już od dawna z nadzieją na wyjście ze stagnacji politycznej. Część młodzieży i tak nie docenia zagrożenia sowieckiego i poza raketami wcale nie widzi polityki. Natomiast wśród pokoleń średnich i starszych znajdziemy poglądy różne, od ostro krytycznych wobec kolejnych rządów niemieckich (pisarz polityczny, Botho Kirsch, nazwał niedawno RFN „najbardziej zastraszoną krajem Zachodu”), aż po uznanie jakiegokolwiek zmiany w układzie światowym za niemożliwą: „Tak już jest i trzeba z tym żyć”. No to się żyje. W odbiorze społeczeństwa impas światowy, a w jego ramach niemiecko-sowiecki, utrwalił się, ba, „zinstytucjonalizował”. Toteż na tle impasu własnego — zadziwiła „Solidarność”:

„Okazuje się, że można się przeciwstawić, i to w sposób oryginalny, bez przemocy. Można opór *pokazać*, odważnie iść razem w sytuacji pozornie bezwyjściowej. Myśmy tego nie umieli za Hitlera — czy umielibyśmy dzisiaj?”... (mówi pracownica handlu konfekcją).

„Przypuśćmy nawet, że doszłoby do jakiegoś wariantu rozbrojenia, to i tak dwa bloki z mniejszą lub większą ilością broni u nogi stałyby na przeciw siebie. Samo to niewiele zmieni. Tymczasem właśnie 'Solidarność' wyobrażała sobie inaczej zbliżenie z Zachodem: poprzez zmiany w Polsce, choćby najpowolniejsze, ale idące w kierunku demokracji. Dopiero przy takich zmianach na Wschodzie przestalibyśmy siedzieć wszyscy razem na beczce prochu. Droga daleka — ale jakaś. Co do nas, proszę mi wierzyć, jesteśmy wygodni. Cieszy nas, że to Polacy robią dla nas tę całą robotę”... (pracownik naukowy).

Mniej zdecydowane były poglądy moich rozmówców na proble-

my gospodarcze. Przypomnijmy, że jeszcze w okresie legalnej „Solidarności” za najdotkliwszą jej słabość uważano wydzielenie działalności związkowej z szerszej koncepcji gospodarki. Dziś z kolei dezorientacja: czy rząd niemiecki powinien pomagać Polsce, czy nie? Czy odmowa pomocy osłabia polską władzę, a zatem i system, czy też godzi w społeczeństwo? Porozumienia w tej sprawie nie ma i wśród specjalistów, toteż nic dziwnego, że od partnerów moich rozmów nie doczekałam się konkretnej odpowiedzi. Bez wątpienia natomiast specjaliści oceniają w ogóle sceptycznie *skuteczność* jakiegokolwiek pomocy zewnętrznej dla Polski ze względu na wewnętrzny stan jej gospodarki. W zbiorowej pracy pt. „Polen 1980-1984”^{*} autorzy dowodzą, że w Polsce wszelkie wysiłki na rzecz reformy ekonomicznej ulegają roztrwonienu, ponieważ różne frakcje administracji wydzierają sobie monopol decyzji. Samorząd fabryczny nie mógł nabrać rozmachu gdyż ściera się bezustannie z jedynowładztwem partii. Angażowaniu się Zachodu stoi na przeszkodzie brak zachęt, wiążących odpowiednio kredyty z interesującymi projektami. — Słowem, recepty na efektywność pomocy dla Polski nikt jeszcze nie wymyślił.

Przy tym wszystkim strach polityków przed polską „destabilizacją” nie przeniknął do opinii publicznej. „Owszem — informuje mnie nauczyciel gimnazjalny — w ostatnich miesiącach przed stanem wojennym niektórzy moi koledzy bali się ześliznięcia Polski w anarchię, ale chodziło im naprawdę o 'Solidarność', a nie o nasze *status quo*. Tego sprzężenia, tak widocznego wśród politycznej góry — nie było na dole”... „Nie stabilizacja, lecz pacyfikacja przy użyciu łagodniejszych, post-stalinowskich metod” — oto jak odebrało kilku moich rozmówców aktualny stan w Polsce (aprobując w tych warunkach nieobecność czołowych intelektualistów niemieckich na warszawskim „kongresie pokoju”)... „Co to za ustabilizowany kraj, w którym rząd opiera się na armii, spokój wyłącznie na zmęczeniu społeczeństwa, a działalność Kościoła na zapobieganiu wybuchom”... (inżynier).

Jeszcze mniej świadomego „sprzężenia” doszukać się mogłam między sytuacją polską a stosunkami wewnątrz-niemieckimi. Wrażliwość Niemców zachodnich na losy mieszkańców NRD nie wykracza poza codzienność, nabołałą, lecz pojmovaną ciasno. Uwaga skupia się na tamtejszej sytuacji materialnej, na staraniach o obniżenie granicy wieku dla osób przyjeżdżających do RFN, na ułatwianiu kontaktów rodzinnych itd. Ale wszystko to nie układa się ani przetwarza w jakiś strumień emocji narodowej, a tym mniej w postulat zjednoczenia Niemiec. Jeśli w ogóle wykryć by tu można jakąkolwiek postawę polityczną, to w sensie co najwyżej prawnopństwowym. Po prostu — jak wykazują badania — większość Niemców nie zgodziłaby się na rezygnację z konstytucyjnie przypieczętowanej jedności jako dalekosiężnego celu państwowego. Ale też na konstytucji się to kończy.

^{*} *Polen 1980-1984, Dauerkrise oder Stabilisierung*. Wyd. Dieter Bingen, Schriftenreihe des Bundesinstituts für ostwissenschaftliche und internationale Studien, Köln, Nomos Verlagsgesellschaft, Baden-Baden 1985.

Raz po raz, a zwłaszcza w okresach przedwyborczych, rozpalają się wprawdzie spory między politykami wokół środków, prowadzących do owego dalekiego celu — lecz iż miałyby one jakiegokolwiek inne znaczenie poza doraźnie werbalną walką, nie wierzy nikt, ani oni sami, ani znudzone tym werbalizmem społeczeństwo. Przebywając w tym kraju wiele już lat, nigdy, w żadnym środowisku nie byłam świadkiem spontanicznej rozmowy o zjednoczeniu. Brany czasem na serio poza granicami Niemiec straszak: „jedność w zamian za neutralność” także należy do księżycowej sfery rozważań politologicznych. „To żaden temat” — twierdzili zgodnym chórem moi obecni rozmówcy, dziwiąc się, że w ogóle w związku z sytuacją w Polsce o te rzeczy pytam. A pytałam także dlatego, by wynioskować, na jaki grunt trafia tu stanowisko opozycji polskiej, uznające prawo Niemców do zjednoczonego państwa. Posłuchajmy najprzód w tej sprawie głosu wyjątkowo ostrego. W liście do *Frankfurter Allgemeine* pisze Friedrich Griese:

... „zapewnienia, że działacze 'Solidarności' aprobują dążność Niemców do życia w zjednoczonej ojczyźnie trafiają w próżnię: nie ma w zachodnich Niemczech siły politycznej, która ucełiłaby tę ofertę lub chociaż rozpoznała tkwiącą w niej szansę. Polacy wychodzą widocznie z fałszywego wyobrażenia o Niemcach. Gorzko to stwierdzić: ani nie ma tu dążeń do życia w zjednoczonej ojczyźnie (gdy tymczasem Polacy przyjmują je w założeniu za rzecz niemal oczywistą), ani nie istnieje (czego znowuż nie mogą pojąć Polacy) owo minimum fantazji politycznej, warunkujące zrozumienie, że Niemcy i Polacy 'siedzą w jednej łodzi' i że, pominiawszy cud, zmienić mogą swą krytyczną sytuację jedynie dzięki wspólnym wysiłkom. To co dla Polaków jest prostą oczywistością, że mianowicie niezależna, samorządna Rzeczpospolita polska oraz likwidacja podziału Niemiec wzajemnie od siebie zależą — to nie wpada tu nikomu do głowy, gdyż te głowy, naładowane rakietami SS-20 czy Pershingami 2, nie są zdolne do twórczego myślenia ani do kształtowania określonych projektów na przyszłość”.

Głos ten wydaje mi się ważny dlatego, że podkreśla wzajemną zależność interesów polskich i niemieckich. Jak jednak ocenić tak surowy sąd nad Niemcami? Pokazałam tekst moim rozmówcom, poinformowanym i nie poinformowanym o stanowisku opozycji polskiej (tych drugich było więcej). Bronili się: kto rozumie politycznie, ten wie doskonale, ile trzeba ze strony polskiej odwagi, ile sił, aby iść pod prąd doświadczeń własnego narodu i przystać na jedność niemiecką. Ale prosili też o tolerancję: brak fantazji, emocjonalne rozminięcie się ze stroną polską — zgoda, ale dlaczego? Przecież ilość niewiadomych zniechęca w ogóle do snucia perspektyw, przecież jedność Niemiec to dziś abstrakcja.

Była to dla mnie rozmowa niezwykle pouczająca, trudno bowiem o jaskrawszą różnicę w metodach politycznego programowania. W kraju podległym, nękanym na co dzień, gdzie przyszłość ma zmienić wszystko, *jutro* wchodzi w horyzont dzisiejszy, dzisiejsze utopie *nie równają się* abstrakcjom i znajdują swe miejsce w programach. Natomiast w kraju suwerennym, względnie spokojnym, gdzie ludzie żyją bez wlotów i upadków, przysz-

łość o teraźniejszość w ogóle się nie zająbia i znacznie trudniej osadzać jakiegokolwiek wizję w bieżącej wyobraźni politycznej.

Wróćmy do spraw aktualnych. Relatywizacja praktykowana odgórnie wobec Polski: „mogłoby być gorzej” — natrafia na pewne granice. Warto przytoczyć z tygodnika *Die Zeit* (znanego przecież z owej „teorii względności”) fragment wzmianki o zamierzonym procesie przeciw Wałęsie. Po przypomnieniu, iż niedawno jeszcze Wałęsa, chcąc dać sygnał pojednania, nazwał Jaruzelskiego patriotą, autor wzmianki pisze:

„W opinii rzeczowych obserwatorów na Zachodzie obaj, Wałęsa i Jaruzelski, uchodzili dotąd za patriotów, gdyż każdy ze swej strony zapobiegł większemu złu. Jakiemu złu chce teraz zapobiec Jaruzelski wytaczając proces zamilkłemu już prawie robotnikowi z Gdańska? Wałęsa nie może się bronić. Ale Mitterrand i Brandt mogą odpowiedzieć na głośny policzek, wymierzony im przez generała, któremu właśnie teraz, przez swoje z nim spotkania, pomogli poprawić reputację. W każdym razie, zanim Wałęsa nie zostanie zwolniony, musimy mu się sprzeciwić: aż do tego czasu trzeba zaprzeczać, że Jaruzelski jest patriotą”.

Moi rozmówcy uważali za ustępstwo rządu polskiego wobec opinii międzynarodowej zarówno ogłoszoną w swoim czasie amnestię, jak wyrok na morderców Popiełuszki, jak wreszcie zaniechanie procesu przeciw Wałęsie i ostatnio obniżenie kar dla najbardziej znanych za granicą działaczy „Solidarności”:

„W tę grę, że mogłoby być gorzej, nie powinniśmy wchodzić, psuje nam to pamięć i osłabia wrażliwość. Najprzód porywało nas u przywódców 'Solidarności' bohaterstwo, następnie zaczęliśmy ich traktować jako 'bohaterów zawodowych', a wreszcie, kiedy utkwili w więzieniach i nie można już było codziennie wpisywać na ich konto brawurowej pozycji — wpełneliśmy ich w rubrykę praw człowieka. Największe nazwiska zachowały blask, ale na ogół śpimy spokojnie... gdyż od praw człowieka jest Amnesty International”... (student).

Skoro mowa o prawach człowieka, czy w oczach niemieckich Kościół polski spełnia funkcję głównego ich obrońcy? Niewątpliwie, ale w społeczeństwie, podzielonym na dwie wielkie grupy wyznaniowe, wzajemne resentymenty przejawiają się i w tej sprawie. Informowano mnie np., że protestanci zachowywali niekiedy rezerwę wobec „Solidarności”. Czasem irytowały ich tylko zbyt hałaśliwe, ich zdaniem, manifestacje uczuć religijnych, czy zbyt jaskrawe emblematy itp. Innym razem nie kryli obaw przed zmonopolizowaniem protestu politycznego w Polsce przez Kościół katolicki. Jedną z partnerek moich rozmów, nauczycielka muzyki, żona protestanta, sama katoliczka, twierdziła jednak stanowczo, że trzeba się wystrzegać sztywnego dzielenia ocen według wyznań:

„Bywam w mieszanym środowiskach, nigdy u protestantów takiej rezerwy *en bloc* nie zauważyłam. Mam sama dużo pretensji do mego Kościoła, krytykuję jego działania w wielu krajach — ale nie w Polsce, gdzie Kościół jest tarczą dla ludzi”.

Wśród mych rozmówców katolickich uderzyła mnie kilkakrotnie sympatia dla opozycji polskiej jako wyrazu *duchowej rebelii*. Akcentowali więc raczej wspólnotę buntu niż wyznaniowej przynależności. W katolicyzmie niemieckim nie umilkły do dziś nurty „bronionej twierdzy”, co przejawia się jeszcze wcale często w ortodoksyjnych, patriarchalnych modelach życia codziennego, rodzinnego itd. Stąd dążenia przeciwstawne, by wyrwać się spod ich presji, zwłaszcza, że nie przeciwstawiły się katastrofie moralnej i skompromitowały doszczętnie (zresztą przy udziale obu wyznań) w historii niemieckiej. Rzecznicy otwarcia katolicyzmu uważają polską *rebelię duchową* za naturalnego sprzymierzeńca.

Najtrudniej uporządkować reakcje moich rozmówców na lansowane w „wielkiej polityce” koncepty o roli Europy środkowej we współczesnym świecie. Ich mglistość musiała pociągnąć za sobą zamieszanie w odpowiedziach. O co chodzi? O problemy strategiczne, strefy bezatomowe, rozbrojenie, stosunki między blokami, integrację, emancypację? Jednoznacznie wynikało tylko jedno: że gdy o Europie środkowej mówią politycy niemieccy, to idzie o co innego, niż kiedy mówi o niej Jaruzelski — i jeszcze o coś całkiem innego, niż gdy mówi o niej opozycja w Polsce. Pewni politycy niemieccy zmierzają do szerszej autonomii wobec Ameryki, Jaruzelski chce pomocy gospodarczej od Zachodu, opozycja polska ma na myśli identyfikację kulturową z Europą, a w dalekiej perspektywie wydobyć się spod kurateli sowieckiej. A więc wszystko co dzieli — rozmówcy moi wykrywali. Czy dostrzegali i to, co dałoby się łączyć? Czy głęboka tęsknota europejska tamtej strony, obecna w tekstach Michnika czy Kundery, może liczyć na odzew niemiecki? Tu odezwał się optymizm, choć zależny od typu upodobań. Dla osób zainteresowanych kulturą włączenie Polski czy Czechosłowacji we wspólną, europejską przestrzeń kulturową jest niemal faktem dokonany. Twórczość artystyczna i w ogóle intelektualna tamtej strony — także jako odbicie świadomości politycznej — wtargnęła w ubiegłych dziesięcioleciach, z szeregiem swoich pozycji pierwszej rangi, prawie szturmem na tutejszą arenę. Mimo to jednak pozostać musi pytaniem otwartym, jak daleka droga prowadzi od kulturowej integracji do jakiegokolwiek zwartej koncepcji wspólnoty politycznej.

Podniosły się emocje, gdy mowa była o uchyleniu się Brandta od spotkania z Wałęsą. Tylko jeden raz reakcja była ostrożna: „Nie znam całości konceptu Brandta, nie wiem co się za tym kryło”... (grafik). We wszystkich innych odpowiedziach — rozczarowanie lub oburzenie. „To czysta ironia, że laureat pokojowej nagrody Nobla może tak zlekceważyć uczucia narodowe”... (pracownik naukowy). „Złożył wizytę całemu narodowi? Jak więc podzielił swój czas pomiędzy reprezentantów jednej i drugiej strony?!”... (studentka). „Co tu mówić, sprzeniewierzył się ideałom socjaldemokracji”... (urzędnik w fabryce samochodów). Wśród moich rozmówców znajdowali się zwolennicy i przeciwnicy SPD, lecz przytoczone słowa pochodzą od osób ze sfery jej oddziaływania. Ludzie ci czują się tym bardziej rozdarci, że

w polityce wewnętrznej uważają socjaldemokrację za wyraziciela i obrońcę swych interesów społecznych.

Wiadomej linii obecnego kierownictwa i tzw. lewego skrzydła SPD w polityce zagranicznej sprzeciwiają się wewnątrz tej partii wyraziciele klasycznych nurtów socjaldemokracji. Nie chcą oni poświęcić na ołtarzu „współistnienia” obrony wolności obywatelskich i praw człowieka, gwałconych w bloku sowieckim. Nie godzą się z jej wyciszaniem aż do tego stopnia, by nie było jej w ogóle słychać. Pisałam kiedyś w *Kulturze* o publicznych protestach szeregu profesorów, członków SPD, przeciw linii kierownictwa. Wypiera ona — ostrzegali w swych listach otwartych — wolność jako naczelne i odgraniczające socjaldemokrację od komunizmu kryterium oceny wszelkich ruchów i wszelkich struktur państwowych. Brak solidarności z „Solidarnością” wymieniali jako jeden z najjaskrawszych przykładów tej postawy. Ale protesty te powędrowały wówczas do szuflady.

Jednak okazało się z czasem, że ich treści żyją, że nie były — jak głoszone w wysokich instancjach — elitarnym rozszczępaniem włosa na czworo, lecz trafiły do uczuć wielu socjaldemokratów (nawet członków różnych ogniw aparatu partyjnego) i oczywiście do wielu wyborców SPD. Nie brzmią one zbyt głośno (przecież i partie polityczne wytwarzają swoje wewnętrzne naciski i oportunisty) lecz są na tyle uparte, że nie może ich już lekceważyć partyjna „góra”. Seminarium, urządzone ostatnio w toku przygotowań do 40-tej rocznicy przymusowej fuzji SPD z KPD w strefie sowieckiej, służyło wyakcentowaniu różnic między socjaldemokracją a komunizmem, których — jak to formułowano — właśnie w obliczu polityki odprężenia nie wolno zacierać. Ze socjaldemokracja niemiecka (a może i nie ona sama) wyspecjalizowała się w ciągu długich lat w tym zacieraniu — to delikatnie pominięto. Pikantny traf zrządził, że ów smutny rekord socjaldemokracji — nawet w porównaniu z niektórymi eurokomunistami — przypomniął obecny na seminarium ekskanclerz austriacki, Kreisky: oto — relacjonował — na kongresie włoskich związków zawodowych, gdzie socjaliści stanowili jedną trzecią, a komuniści dwie trzecie audytorium, podjęto rezolucję domagającą się wolności dla polskich związków zawodowych i natychmiastowego wycofania się wojsk sowieckich z Afganistanu. „Cieszyłbym się — mówił Kreisky — gdybyśmy wypowiadali się z równą jednoznacznością na naszych socjaldemokratycznych imprezach”... (cytuję według FAZ).

Warto dodać, że po powrocie z Nikaragui i Afganistanu dwie delegacje SPD skrytykowały z niepraktykowaną od dawna ostrością sytuację w obu tych krajach. Ostatnio też znany socjolog, Ralf Dahrendorf, członek FDP, ubolewał, że kręgi społeczeństwa znajdujące się pod wpływami lewicy i liberałów, ściszą głos, gdy mowa o gwałceniu praw człowieka w bloku sowieckim. (Ze ściszenie głosu wcale się do tych kręgów nie ogranicza — starałam się powyżej wykazać). Wygląda więc, że powstają jakieś załamki sporu publicznego o metodę polityki. Nie trzeba sobie wmawiać, że to już powód do optymizmu. W świetle sytuacji

światowej jest rzeczą prawie wykluczoną, by spór taki doprowadzić miał do szybkich, spektakularnych wyników w postaci zmiany kursu. Lecz jest również wykluczone, by zupełnie zamilkł w społeczeństwie.

◆
 Przedstawione tu fragmenty i wnioski z rozmów czy lektur traktuję jako bardzo skromny przyczynek do bardzo ostrożnej prognozy. Nie stanowią one na pewno reprezentatywnego bilansu, ale wyrażają — mam nadzieję — sprzeciw wobec bezpodstawnych uogólnień. Usiłując przybliżyć czytelnikowi, chociaż w jakimś stopniu, elementy myślenia politycznego Niemców o opozycji polskiej, a pośrednio i o sobie samych — chciałam podważyć pewien proceder. Polega on na tym, że główne i najbardziej znane punkty bieżącej polityki oficjalnej przenosi się na całość społeczeństwa i buduje w ten sposób stereotypy. Potem taki niemiecki stereotyp chodzi po ulicy, trzęsie się przed Sowietami, pieje z zachwytu nad *status quo* i wrywa sobie włosy z głowy, kiedy w Polsce coś się dzieje. Jeśli by tak było, to opozycja polska nie ma z Niemcami o czym mówić, a platforma porozumienia w ogóle nie istnieje.

Tak nie jest. Stereotypy mylą zawsze, więc i w tym wypadku. Wbrew różnicom w doświadczeniach i w sytuacji, w odczuciach i temperamentach, przestrzeń dla rozmowy i porozumienia istnieje. Zależy od obu stron, czy będzie się ona kurczyć czy rozszerzać.

Kamila CHYLIŃSKA

26 marca 1986

Spadek po Olofie Palme

Tragiczna śmierć premiera Olofa Palme stała się okazją dla wypowiedzi polityków ze Wschodu i z Zachodu, zawierających pełne uznania oceny międzynarodowego dorobku zamordowanego przewodniczącego szwedzkiej partii socjaldemokratycznej. W wypowiedziach tych powracały często słowa „odprężenie” i „pokój światowy”.

W Polsce podobnie jak wśród emigracji pojęcia te kojarzą się, słusznie zresztą, ze spokojem międzynarodowym osiągniętym kosztem zniewolonych społeczeństw i układów zawartych ponad głowami ucisnionych narodów. Tak też, wydaje się, spora część opinii polskiej zwykła przyjmować szwedzkie inicjatywy na arenie międzynarodowej, których inicjatorem był Olof Palme.

Szczególnie zaś postawa Szwecji w ostatnich latach, lekka i

ugodowa wobec ZSSR mimo licznych faktów naruszania jej granic przez sowieckie łodzie podwodne, wydawała się wykluczać możliwość zajęcia przez rząd tego kraju zdecydowanej postawy w obronie wolności polskiego społeczeństwa. Znany zaś antyamerykanizm szwedzkiej socjaldemokracji, kojarzący się wielu ludziom imiennie z osobą Olofa Palme, zdawał się utwierdzać Polaków w sceptycyzmie co do szans pozyskania poparcia neutralnej Szwecji dla sprawy tak „awanturkowej”, jak rewizja wojennego podziału Europy.

Jak więc w tym kontekście rozumieć słowa Lecha Wałęsy w telegramie wysłanym 1 marca na ręce ambasadora Szwecji w Warszawie:

„Społeczność międzynarodowa straciła nadzieje związane z inicjatywami i działalnością Premiera na arenie światowej, w których wykazał, że konflikty w skomplikowanym świecie, w którym żyjemy, mogą być zawsze rozwiązywane w sposób demokratyczny i z pełnym poszanowaniem dla praw jednostki. Pamięć o tym oddanym przyjacielu Solidarności pozostanie głęboko w naszych sercach”?

Kondolencyjny eufemizm? Tak by się mogło zdawać. Naszym zdaniem jednak przewodniczący Solidarności trafnie ocenił postawę i pobudki zamordowanego premiera i jego partii. Skąd więc nieporozumienie?

Polityka szwedzka, jak zresztą każda polityka, pełna jest sprzeczności. Dlatego byłoby błędem ocenianie stosunku szwedzkiej socjaldemokracji do Solidarności tylko na podstawie jej oficjalnych stosunków z ZSSR albo poparcia dla komunizujących ruchów wyzwoleniczych w Afryce czy Ameryce Łacińskiej. Inicjatywy rozbrojeniowe Olofa Palme w Europie Środkowej, na ogół popierane przez ZSSR, też nie są wystarczającą przesłanką dla oceny stosunku szwedzkiej socjaldemokracji czy jej przywódcy do ruchów demokratycznych w obozie sowieckim.

To prawda, że szwedzki ruch związkowy w latach 60-tych i 70-tych utrzymywał stosunki z CRZZ i zdawał się uznawać tę organizację za faktycznego przedstawiciela polskich robotników. Ale z drugiej strony właśnie szwedzka partia socjaldemokratyczna okazała się jedną z pierwszych zachodnich partii politycznych, które nawiązały kontakty z KOR-em. Wysłannik partii, profesor Sten Johansson, odwiedzał Polskę regularnie od roku 1978, wykładał na Uniwersytecie Łatającym, przeprowadzał rozmowy z działaczami KOR-u, składał sprawozdania ze swoich podróży kierownictwu partii i osobiście Olofowi Palme. Pierwsza książka o ruchu demokratycznym w Polsce pt. „Kampf för demokrati”, „Walka o demokrację” w polskim tłumaczeniu, wyszła właśnie nakładem socjaldemokratycznego wydawnictwa „Tiden”.

W okresie Solidarności pomoc finansowa dla związku organizowana była przede wszystkim przez szwedzkie związki zawodowe, współpracujące ściśle z partią socjaldemokratyczną oraz przez specjalną instytucję powołaną przez socjaldemokratów do popierania ruchów wyzwoleniczych początkowo wyłącznie w Ame-

ryce Łacińskiej i Afryce, tzw. Centrum ruchu robotniczego dla spraw międzynarodowych (AIC), której przewodniczącym był Olof Palme.

Mieczysław Rakowski przyjęty został w Niemczech Zachodnich już w kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwszy i jedyny minister Jaruzelskiego, którego „wpuszczono” do Szwecji, zjawiał się dopiero w listopadzie 1984 i nie został przyjęty przez Palmego. W międzyczasie premier Szwecji przyjmował kilkakrotnie emisariuszy „Solidarności” z kraju i jej przedstawicieli na emigracji. Wielokrotnie i jednoznacznie potępił wprowadzenie stanu wojennego, rozwiązanie „Solidarności” oraz prześladowanie jej działaczy. Palme był również jednym z tych polityków, którzy zdecydowanie przeciwstawiali się traktowaniu wprowadzenia stanu wojennego jako „wewnętrznej sprawy Polski”. Partia socjaldemokratyczna, związki zawodowe oraz postawie socjaldemokratyczni wysłali dziesiątki protestów do władz polskich w sprawie uwięzionych działaczy „Solidarności”. Olof Palme osobiście apelował do Jaruzelskiego o uwolnienie czterech działaczy KOR-u i siedmiu działaczy „Solidarności” — słynnej „jedenastki”.

Wiadomo nam, że na powtarzające się sugestie przedstawicieli PRL nawiązania „przyjacielskich stosunków” odpowiadała, że jest to niemożliwe, albowiem zbyt wielu członków jego partii ma myśli zajęte losem ich osobistych przyjaciół przetrzymywanych w polskich więzieniach.

Do dzisiaj nie ustaje pomoc finansowa i polityczna dla Solidarności, organizowana przez związki zawodowe i wspomniane Centrum spraw międzynarodowych — a więc z wyraźnym poparciem partii socjaldemokratycznej. Najświeższy wyraz tego poparcia miał miejsce podczas uroczystości żałobnej na pogrzebie Olofa Palme. Przewodniczący krajowej centrali związków zawodowych i członek kierownictwa partii socjaldemokratycznej, Stig Malm, wobec przedstawicieli 150 rządów, w tym PRL, wymienił Polskę na pierwszym miejscu wśród państw, w których gwałceniu praw człowieka przeciwstawiał się zamordowany premier.

Nie sposób w krótkim artykule zanalizować wyczerpująco politykę międzynarodową szwedzkich socjaldemokratów. Nie było to też naszym zamiarem. Chodziło nam raczej o zwrócenie uwagi na fakt, że niejednoznaczna postawa partii socjaldemokratycznej, którą w jakiejś mierze określa pojęcie „antyamerykańskiego antykomunizmu” nie wyklucza bynajmniej poparcia dla walki o demokrację w Polsce i konkretnego poparcia dla „Solidarności”. Lech Wałęsa ma rację, Olof Palme był rzeczywiście „oddanym przyjacielem ‘Solidarności’” i taką winniśmy zachować o nim pamięć.

Maria BOROWSKA
Maciej ZAREMBA

Sztokholm, 2 kwietnia 1976

Korespondencja z Rzymu

KOŚCIÓŁ I TRZY DYKTATURY

Od aktywnej roli Kościoła zależy w dużej mierze nie tylko zakwestionowanie, ale wręcz upadek reżimów dyktatorskich na obszarze Ameryki Łacińskiej. Tak brzmi lekcja z Haiti i Filipin. Zamysł Jana Pawła II polega na tym, by na kontynencie, na którym rozstrzyga się przyszłość katolicyzmu, doszło do rozwiązań demokratycznych, czyli do alternatywy zarówno dla dyktatur wojskowych i rządów oligarchii, jak reżimów typu marksistowskiego. Rzecz jednak w tym, że bardziej realistycznie przedstawia się wykorzystanie dotychczasowych doświadczeń związanych z upadkiem dyktatur pierwszego niż drugiego typu, łatwiej bowiem przychodzi Kościołowi inspirować i wspierać opozycję w reżimach autorytarnych niż w totalitarnych, które *nota bene* prowadzą nieraz bardzo elastyczną politykę wobec Kościoła. Jest więc rzeczą tylko pozornie paradoksalną, że podczas kiedy na Kubie Fidel Castro dokonał zręcznego, rewelacyjnego otwarcia ku Kościołowi, kładąc kres dyskryminacji katolików i uznając ich twórczy wkład do życia społecznego, stosunki pomiędzy generałem Pinochetem a episkopatem chilijskim weszły w fazę rosnących napięć.

Pozytywny zwrot w stosunkach Kościoła z reżimem na Kubie jest pilotowany przez dyplomację watykańską. Poprawa jest tak widoczna, że kardynał Pironio, wysłannik papieski, po powrocie w marcu z Hawany dał do zrozumienia, iż w przyszłym roku może dojść do wizyty Papieża na Kubie. Chwalił on odwagę i zarazem poczucie realizmu przedstawicieli episkopatu kubańskiego oraz jedność laikatu i kleru wokół biskupów. Watykan zamierza sprawdzić w praktyce stanowisko władz kubańskich i ich rzeczywistą chęć dialogu. Fidel Castro dokonał co prawda samokrytyki w słynnym wywiadzie, który przeprowadził z nim brazylijski dominikanin Frei Betto, opublikowanym w książce pt. „Moja wiara” (do tej pory ponad 600 tys. egzemplarzy)*. Jest jednak za wcześnie, by stwierdzić, czy intencje Castro są szczerze, czy podyktowane oportunistyczną kalkulacją. Powodzeniu tej książki towarzyszy więc w świecie katolickim uzasadniony sceptycyzm, choć arcybiskup Hawany Ortega powiedział, że jest to „tekst, który przewycięża bojaźń chrześcijan i uprzedzenia marksistów”. Fak-

* W tym kilka przekładów. W Brazylii stała się *best-seller'em*, we Włoszech ukazała się w sąsiadującym z Watykanem wielkim wydawnictwie Ojów Paulinów, a w Polsce ma się ukazać w wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej (!).

tem jest jednak, że od spotkania Fidela Castro z biskupami we wrześniu ub. roku proces wzajemnego zbliżania nie napotyka na przeszkody.

W podobnej rzeczywistości ustrojowej, w Nikaragui, zachodzą tymczasem zjawiska o treści odwrotnej i niepokojącej. Trwają tam bowiem ataki, kampania zastraszania i oszczerstw pod adresem biskupów i duchownych. Popierając tzw. „Kościół ludowy”, czyli frakcję kolaborantów, władze nawołują wiernych do nieposłuszeństwa i rewolty przeciwko pasterzom. Episkopat protestował niejednokrotnie przeciwko przemocy i strategii reżimu sandynistów, polegającej na wbijaniu klina w spoiwo Kościoła i wiernych, a Watykan zawiesił trzech kapłanów członków rządu. Postawa kardynała Obando Bravo z Managui przypomina do złudzenia doświadczenia polskie z okresu gomułkowskiego, kiedy Prymas Wyszyński przeciwstawiał się gwałtom i nadużyciom władz. Dramatyczna sytuacja Kościoła w Nikaragui odbija się szerokim echem w innych Kościołach lokalnych na terenie Ameryki Łacińskiej. Do Watykanu dotarły orędzia solidaryzujące się z episkopatem nikaraguańskim ze strony biskupów Argentyny, Brazylii, Chile, Kolumbii, Urugwaju i Wenezueli. Jest rzeczą znaną, że rewolucja sandynistów powstała pod auspicjami i przy czynnym wsparciu Kościoła. Nie przeszkadza to, że reżim, po zdradzie ideałów tej autentycznej rewolucji przeciwko dyktaturze Somozy, oskarża kardynała Obando Bravo i biskupów o wrogość i sprzyjanie partyzantce antypaństwowej. W rzeczywistości episkopat wypowiada się na rzecz negocjacji i apeluje do rządu i partyzantów (*contras*) o pojednanie.

Doświadczenia w Nikaragui i w ogóle tam, gdzie dyktaturę pravicową zastępują reżimy totalitarne składają Watykan do ostrożności i przeciwstawiania się wszelkim ruchom rewolucyjnym, które walczą o obalenie systemu autorytarnego. Opcję stanowi poparcie dla biernego oporu i umiarkowanej opozycji. W Chile Watykan popiera „porozumienie narodowe o przywrócenia demokracji” powstałe z inspiracji kardynała Fresno, abpa Santiago. W tej koalicji demokratycznej uczestniczą różne ugrupowania opozycyjne od chadeków do socjalistów z wyjątkiem komunistów i skrajnej lewicy. Tak jak na Filipinach, Kościół chilijski występuje przeciwko przemocy i niesprawiedliwości społecznej oraz domaga się rewizji konstytucji z 1980 roku, narzuconej przez reżim wojskowy. Głos Kościoła oddziałuje szczególnie na młodzież i syndykalistów. Generał Pinochet przeciwstawia się temu porozumieniu, ponieważ lęka się go bardziej niż ruchów skrajnych. Widzi bowiem w umiarkowanej opozycji większe możliwości sukcesu z uwagi na *consensus* społeczny. I dlatego usiłuje zradycalizować konflikt. Rosnąca rola Kościoła w Chile jako podpory demokratycznej opozycji znajduje aprobatę w Watykanie. Wpływa to na wzmoczoną izolację reżimu w świecie, o czym świadczy stopniowa rewizja polityki amerykańskiej. Biskupi zapowiedzieli wizytę Papieża w przyszłym roku. Chcą by ta wizyta doszła do skutku w warunkach rozpoczętego procesu przywracania demokracji. Watykan nie potwierdził dotąd infor-

macji o tej wizycie, ale — jak się wydaje — plan taki w zasadzie istnieje. Tak czy owak, dni Pinocheta są policzone.

Spotkanie brazylijskie w Watykanie

Trzydniowe, od 13 do 15 marca, spotkanie „na szczycie” episkopatu brazylijskiego (delegacja składała się z 5 kardynałów i 15 biskupów) z Papieżem i czołówką watykańską (11 kardynałów, szefów dykasterii) stanowiło nowość i zarazem wzorzec dla analogicznych spotkań z episkopatami innych krajów. Nic dziwnego, że pierwszeństwo przypadło Kościołowi brazylijskiemu z jego 110 milionami wiernych i ponad 300 biskupami. Kościół odgrywa czołową rolę w rozpoczętym w Brazylii w marcu ub. roku procesie demokratyzacji. W 1977 roku ogłosił on dokument „Wymagania chrześcijańskie odnośnie ustroju politycznego”, a w 1979 roku apel o „model polityczny bardziej stosowny”. Po 21 latach dyktatury biskupi nie uchylają się od odpowiedzialności za oddziaływanie na losy młodej demokracji, wzywając laików do aktywnego uczestnictwa w pracach nad projektem nowej konstytucji. Kościół, przy pełnym poparciu Stolicy Apostolskiej, odgrywa czynną rolę w życiu społeczno-gospodarczym, domagając się realizacji radykalnego programu reformy rolnej. Papież przyznał na spotkaniu, że „Kościół nie może milczeć w obliczu jaskrawych kontrastów obecnych w społeczeństwie brazylijskim”. Papież wprawdzie nie poparł ani znacznej większości biskupów, popierającej teologię wyzwolenia, ani też mniejszości konserwatywnej, która się jej sprzeciwia i potępia jej odchylenia. Równocześnie jednak nadał legitymację tej teologii, kiedy oświadczył: „oczyszczona z elementów, które mogłyby ją skazić, z poważnymi konsekwencjami dla wiary, teologia wyzwolenia jest nie tylko prawidłowa, ale konieczna”.

Kwestią, która najbardziej niepokoi Papieża jest nie tyle teologia wyzwolenia jako taka, ile ryzyko, że „wobec wyzwania chwili historycznej” (Papież wymienił: zdrowie, pracę, ziemię, nędzę, głód) wspólnota katolicka ulegnie pokusie uwierzenia, iż „tylko bezpośrednia działalność społeczno-gospodarcza jest ważna” i przyjmie tym samym na siebie rolę, która do niej nie należy. Biskupi — zdaniem Papieża — nie powinni utożsamiać się i zastępować polityków, ekonomistów, socjologów czy syndykalistów. Z wypowiedzi papieskich przebija obawa o degenerację katolicyzmu, którego pewne odłamy stały się gwałtownie antyrzymskie.

Papież wezwał episkopat brazylijski do jedności (biskupów pomiędzy sobą i z Kurią Rzymską) i do unikania polemik. W czasie spotkania poruszono oprócz sprawy reformy rolnej kwestię projektu nowej konstytucji i warunków dla „prawowitego występowania Kościoła w dziedzinie życia obywatelskiego”. Mediacja papieska, zwrócona ku przewyżczeniu sporów w łonie episkopatu, łącznie z antycypowaniem syntezy drugiej instrukcji watykańskiej o teologii wyzwolenia, miała na uwadze przyszłość nie

tylko Brazylii, ale całego kontynentu południowo- i środkowoamerykańskiego.

Jeden z głównych protagonistów teologii wyzwolenia, franciszkanin brazylijski Leonard Boff, oświadczył, że Kościół katolicki (czytaj Watykan) uświadomił sobie „konsekwencje represji, tzn. przemocy ze strony państwa i przemocy rewolucyjnej, uznając zaangażowanie chrześcijańskie w obronie wyzyskiwanych”. Dla stworzenia przychylnego klimatu dla odbioru drugiego dokumentu o teologii wyzwolenia, Watykan odwołał miesiąc wcześniej nałożoną na Boffa karę milczenia jako publicysty i prelegenta. Świadczy to niewątpliwie o ciężarze gatunkowym dorobku tego teologa i zasięgu jego oddziaływania społecznego (nie tylko w Brazylii). Watykański gest ułaskawienia obliczony był na odprężenie w łonie niespokojnego i zarazem twórczego Kościoła.

Watykan legalizuje bierny opór społeczny

Instrukcja o chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu, jak brzmi oficjalna nazwa drugiego dokumentu watykańskiego na temat teologii wyzwolenia (o treści pozytywnej w porównaniu z poprzednim z września 1984 roku, potępiającym doktrynalne dewiacje) stanowi rezultat kompromisu. Praca nad tym tekstem przeszła aż siedem kolejnych wersji i objęła szeroką konsultacją 35 episkopatów i z górą 40 ekspertów. Z punktu widzenia metodologicznego jest to dokument otwarty, zachęcający do dalszych poszukiwań teologicznych i pastoralnych. Unika on polemiki z protagonistami teologii wyzwolenia i same pojęcia wolności i wyzwolenia umieszcza w ramach społecznej nauki Kościoła, uzupełnionej o nauczanie soborowe i ostatnich papieży.

Instrukcja watykańska wskazuje, jak powinno kształtować się prawomysłne zaangażowanie chrześcijan na rzecz wyzwolenia społecznego i narodowego. Teoria, według której uciekanie się do przemocy jest konieczną drogą wyzwolenia, napiętnowana jest jako „destrukcyjna iluzja, otwierająca bramy dla nowych zniewoleń”. Instrukcja odrzuca teorię, która w walce klas upatruje dynamizm życia społecznego i potępia mit rewolucji, który sprzyja pojawianiu się reżimów totalitarnych. Dokument ten potwierdza dopuszczalność walki zbrojnej jako „ostatecznej ucieczki” przeciwko tyranii. Ten ostateczny i skrajny środek jest uprawiony tylko „po bardzo dokładnej analizie sytuacji”. Lepszy jest jednak „bierny opór, który otwiera drogę bardziej odpowiadającą zasadom moralnym i równie skuteczną”. Kardynał Ratzinger, przewodniczący Kongregacji Nauki Wiary, prezentując tę instrukcję, sprecyzował, że „zaktualizowała ona zasady uciekania się do walki zbrojnej” wyłożone w encyklice *Populorum Progressio* Pawła VI. Koncepcja biernego oporu, którą instrukcja wyraźnie preferuje, obejmuje odwołanie się do „nieposłuszeństwa obywatelskiego” w formie zalecanej przez episkopat na Filipinach. Ze strony watykańskiej ta interpretacja została oficjalnie potwierdzona.

Jest rzeczą znamioną, że obecny dokument złagodził osąd o reżimach komunistycznych, określonych w poprzedniej instrukcji jako „hańba naszych czasów”. Aktualna instrukcja stwierdza jedynie, że „pewne projekty kolektywistyczne doprowadziły do powstania niesprawiedliwości równie dotkliwych jak te, którym zamierzały położyć kres”. Równocześnie potępiona jest doktryna „bezpieczeństwa narodowego”, na jakiej opierają się rządy dyktatorskie i oligarchiczne w Ameryce Łacińskiej.

Reakcje na tę instrukcję skierowaną do całego Kościoła, są pozytywne zwłaszcza na obszarze Trzeciego Świata, czyli strefy bezpośrednio i najbardziej zainteresowanej. W Brazylii podkreśla się, że wychodzi ona naprzeciw oczekiwaniom społecznym, odznacza się realizmem politycznym i czytelnym językiem oraz zawiera „orientacje dla wszystkich wiernych, nie tylko dla teologów” (kardynał Arns z Sao Paulo); „potępia samowolę policyjną i wszelkie formy niesprawiedliwości spetryfikowanej w systemie rządów” (kardynał Primatesta z Buenos Aires). Gustavo Gutierrez z Limy, jeden z wyznawców teologii wyzwolenia, uznał, że instrukcja „kładzie kres bolesnym i czasem wyczerpującym dysputom, otwierając etap refleksji”. Nie mogło w tym chórze pochwał zabraknąć dysonansu w postaci głosu niestrudzonego biskupa-tradycjonalisty Marcela Lefebvre, zawieszzonego *a divinis* w 1976 roku. Jego zdaniem idee zawarte w dokumencie watykańskim „prędzej czy później doprowadzą do zapanowania komunizmu w Ameryce Południowej”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 kwietnia 1986 r.

List z Londynu (10)

Od wielu lat Fleet Street w Londynie jest synonimem prasy, wielkich dzienników i tygodników o milionowych nakładach. *Times* i *Sunday Times*, *Daily* i *Sunday Telegraph*, *Daily* i *Sunday Express*, *Observer*, *Guardian* i wiele innych. Tam mieszczą się ich wielkie gmachy, biura i zakłady drukarskie, tam rodzą się sensacyjne tytuły, głośne afery, wloty i upadki wybitnych osobistości.

Tam także od wielu lat działa mafia drukarzy, zrzeszonych w dwóch związkach: *Sogat* i *NGA* (*National Graphical Association*). Drukarze zarabiają doskonale, ponad 20.000 i więcej funtów rocznie, niektórzy dociągają do 50.000 i jeszcze im mało. Gdy nadchodzi noc i trzeba zacząć druk, bo za kilka godzin ruszy transport milionów egzemplarzy, maszyny stają. — Albo zapłacić nam po 300 funtów extra, albo nie będzie pisma. Wydawcy grozili zamknięciem dzienników, próbowali pertraktować, ale zaw-

sze przegrywali. Wzrastały ceny egzemplarzy i ogłoszeń, raz po raz odbiorcy nie otrzymywali swoich gazet, a wymagania drukarzy z reguły popierali dziennikarze i inne związki, głównie transportowcy. Wpływy ich sięgały nawet poza granice kraju. Gdy kilka lat temu wielki tygodnik próbował drukować swój ilustrowany, kolorowy dodatek w Niemczech Zachodnich, tamtejsi drukarze odmówili współpracy.

Rozzuchwaleni drukarze poszli jeszcze dalej: zaczęli odmawiać druku artykułów, które nie podobały się im z politycznego punktu widzenia. Kraj stanął w obliczu groźby swoistej cenzury. Doszło w końcu do tego, że głośny, historyczny *Times* przez wiele miesięcy przestał się ukazywać, bo jego właściciel, Kanadyjczyk Lord Thompson, dotrzymał groźby i zawiesił pismo. Miał już tego wszystkiego dosyć i nie podjął nowych rozmów; wtedy na widowni pokazał się australijski magnat prasowy, Rupert Murdoch. Był on już właścicielem sensacyjnego tygodnika *News of the World* (ponad 5 milionów nakładu) i brukowego dziennika *The Sun* (obydwa przynoszące duży dochód), szukał nie pieniędzy, ale pozycji w społeczeństwie, kupił *Times'a*, później jego niedzielny odpowiednik i rozpoczął pertraktacje z drukarzami i dziennikarzami.

W ostatnich latach drukarstwo przeszło prawdziwą rewolucję, to samo dotyczy dziennikarstwa. Skończyły się lub kończą czasy linotypów i maszyn do pisania. Dziennikarz wystukujący na klawiszach swój artykuł widzi go przed sobą na ekranie, natychmiast może wnieść każdą poprawkę, a jego tekst automatycznie staje się elastyczną płytką, gotową do druku. W ciągu kilku sekund, na falach eteru, można jej kopię przerzucić do innego miasta, gdzie jednocześnie drukuje się mutację wielkiego dziennika.

Oczywiście ta technika znakomicie upraszcza proces powstawania dziennikarskiego tekstu i jego druku oraz pozwala na zredukowanie o połowę personelu, który w ciągu lat został rozbudowany ponad wszelką potrzebę i miarę; jest on największym finansowym obciążeniem wydawców, a jego redukcja ogromnie obniża koszty produkcji. Oszczędzone w związku z tym pieniądze pozwalają na zakup nowoczesnego ekwipunku.

W tych właśnie sprawach podjął pertraktacje Rupert Murdoch i natychmiast spotkał się ze zdecydowanym oporem związków dziennikarzy i drukarzy. Pewna racja była po ich stronie, bo groziły im wielkie redukcje (związane jednak z wysokimi odszkodowaniami), ale dotychczasowe praktyki pozbawiły ich czyjekolwiek sympatii.

Początkowo szanse zwycięstwa Murdocha były wątpliwe. Wzrosły jednak wydatnie, gdy pierwszą walkę ze związkiem *NGA* wygrał w 1983 roku Eddy Shah, który całkowicie unowocześnił swoje pismo *Stockport Messenger*, zredukował opornych, zorganizował własny transport i potrafił drukować i rozprowadzać pismo mimo masowego pikietowania i długich walk tłum z setkami policjantów.

Było to ważne zwycięstwo, ale lokalne, prowincjonalne, nie związane z fortecą związków na Fleet Street. Nikt dokładnie nie

wiedział, co robi Murdoch, który w międzyczasie kupił wiele lokalnych pism w Stanach Zjednoczonych i przyjął obywatelstwo amerykańskie. Wydawało się, że tamten teren całkowicie pochłania Murdocha, który w międzyczasie na terenie dawnych londyńskich doków (zniszczonych przez ciągłe strajki) zbudował w ciągu lat, w tajemnicy, kosztem 100 milionów funtów, najnowocześniejsze zakłady drukarskie i biura dla dziennikarzy, ze wszystkimi możliwymi komputerami. Cały teren został otoczony wysokimi zasiekami kolczastego drutu, wokół nich zaczęły krążyć patrole z wytresowanymi psami, ale wewnątrz nic się nie działo.

Trudno zrozumieć jak to się stało, jest jednak faktem, że obydwie związki drukarzy nie zwróciły na te przygotowania żadnej uwagi, że nie dojrzeli ich wszędobylscy dziennikarze. A tymczasem Murdoch porozumiał się w wielkim sekrecie ze związkiem elektryków i zapewnił sobie jego poparcie. Nagle, w połowie stycznia, ogłosił: wszystkie moje cztery pisma pod firmą *News International* przenoszę na mój nowy teren. Zanim zorientowano się co się dzieje, już nowoczesne zakłady wypełniły się życiem. Byli już tam elektrycy i liczni dziennikarze, którym ofiarowano po 2 tysiące funtów więcej niż zarabiali dotychczas. Jednocześnie Murdoch ogłosił: wszystkim dotychczasowym drukarzom i dziennikarzom ofiarowuję dobre warunki, ale mogą mieć tylko jeden związek, a prawo strajku będzie ograniczone.

Obydwie związki drukarzy natychmiast zaprotestowały i ogłosiły strajk, licząc na pomoc innych związków, ale Murdoch 5 tysięcy ludzi wyrzucił, a że miał już zakontraktowanych elektryków i wystarczającą ilość dziennikarzy, wielkie zakłady zostały uruchomione i cztery pisma, o olbrzymich nakładach, zaczęły normalnie wychodzić.

Drukarze zaczęli masowe pikietowanie i zażądali solidarności od transportowców, których zmobilizował Murdoch, ale spotkali się z odmową.

Do drukarskich pikiet dołączyły się inne czynniki społeczne z anarchistami i członkami *Labour Party* na czele. Pikietowanie trwa, co wieczór setki policjantów odpierają napór tysięcy demonstrantów, w różnych punktach kraju mnożą się napady na ciężarówki i kierowców, areszty idą w setki, ale nie ma wątpliwości, że Murdoch już właściwie zwyciężył i że wielki przełom został dokonany. Idący z nim ramię w ramię Eddy Shah od szeregu tygodni wydaje swój kolorowy dziennik, *Today*. Pozycję Murdocha wzmacnia decyzja sądu, który zasekwestrował 17 milionów funtów majątku drukarzy za niewykonanie wyroku, który nakazywał odwołanie instrukcji związkowej, zarządzającej bojkot pism *News International*.

Przeniesienie się Ruperta Murdocha na teren doków zmieniło już częściowo fasadę Fleet Street, gmachy pism stoją puste, a za niewiele miesięcy pójdą w jego ślady inne. *Guardian* kosztem 22 milionów funtów buduje nowoczesne centrum na Wyspie Psów, tamże buduje swe nowe zakłady drukarskie *Daily Telegraph* a *Daily Mirror* i *Sunday Mirror* z peryferii Fleet Street przenoszą się na teren wschodniego Londynu i wydają na to 60 milionów.

Financial Times także rusza na przedmieście, *Associated Newspapers* usadawiają się na terenie doków w hrabstwie Surrey i wydają 100 milionów funtów na najnowocześniejszy kompleks.

W ciągu kilku lat historyczna twierdza prasy przestanie istnieć i głośna Fleet Street zamieni się w zwyczajną, przelotową ulicę.

◆

We wczesnych pięćdziesiątych latach zorganizowałem w Londynie tenisowy klub *Polonia*. Należeli doń przedwojenni polscy mistrzowie, Maks Stolarow, Ignacy Tłoczyński, Czesław Spychała i Ernest Wittman oraz wielu lokalnych graczy z różnych stron Polski. Zdobyliśmy wiele pucharów, co roku odbywały się mistrzostwa o tytuł championa emigracji, raz na tydzień, na wynajętych kortach, organizowaliśmy wspólne gry.

Jednego dnia, w towarzystwie swej córki Katarzyny, zjawił się z rakieta Edward Raczyński, ostatni ambasador niepodległej Polski w Wielkiej Brytanii. Włączył się do gier, ruszał się doskonale, widać było, że znalezienie się wśród młodych sprawia mu wielką radość. Był to mój pierwszy z nim kontakt, ujął mnie prostotą form towarzyskich, zainteresowaniem dla tego, co robię, brakiem jakiegokolwiek pozy.

Minęły lata i zetknąłem się z nim ponownie w ramach Związku Pisarzy. Przychodził na zebrania i włączał się do dyskusji, jego uwagi były zawsze ciekawe i słuszne, ze swobodą zawodowego krytyka obracał się w sprawach pisarskiej problematyki. Widać było, że nadal wiele czyta i że emigracyjne i krajowe książki są mu dobrze znane. A był to trudny okres emigracyjnego życia, m.in. powstała wtedy Rada Trzech z udziałem Edwarda Raczyńskiego. Sprawy polityczne wymagały wiele czasu i wysiłku.

Jednocześnie, obok tych absorbujących zajęć, płynął nurt pisarskich zainteresowań ambasadora. Ukazał się tom jego ważnych wspomnień, *W sojusznicy Londynie*, niedługo później rodzina saga, *Rogalin i jego mieszkańcy*, *Pani Róża*, *Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla*, wreszcie tłumaczony z francuskiego pamiętnik Wirydiany Fiszerowej, z okresu ostatnich lat dawnej Rzeczypospolitej, *Dzieje własne i osób postronnych*.

W tym okresie los okazał się dlań specjalnie okrutny: stracił wzrok, jego niezwykle czynna natura została spętana bolesnym kalectwem.

Nadszedł rok 1979. Stanisław Ostrowski, pełniący symboliczną funkcję Prezydenta RP, zgodnie z konstytucją z 1935 roku ustępował i wyznaczał swego następcę. Edward Raczyński był już wtedy bliski dziewięćdziesiątki, utrata wzroku ograniczała jego aktywność, rozumiał konieczność nowych rozwiązań, ale po pierwszej zdecydowanej odmowie poddał się naciskowi logicznej potrzeby i urząd przyjął.

W tym czasie byłem już prezesem Związku Pisarzy i funkcja ta, połączona z wiceprezesurą POSK-u od spraw kulturalnych sprawiła, że mój kontakt z Edwardem Raczyńskim stał się dosyć częsty. Podziwiałem tego człowieka. Dziewięćdziesięcioletni, po-

zbawiony wzroku, skazany na nieustanną pomoc pani Anieli, prawdziwego anioła-stróża, dzielący energię pomiędzy problematykę polityczną i obowiązki codziennej reprezentacji — na wszystko znajdował czas. Rano wysłuchanie korespondencji i rozmowy z różnymi ludźmi, po obiedzie dyskusje z politykami, spotkania z gośćmi z zagranicy lub przewodniczenie na zebraniu Polskiej Fundacji Kulturalnej, wieczorem akademie Koła Lwowian, światowy zjazd SPK, rocznica Karpatczyków, premiera nowej sztuki, dożynki, literacki wieczór Związku Pisarzy. I tak dzień po dniu, bez chwili odpoczynku.

Jak najrzadziej zajmowałem mu czas, ale gdy ważna sprawa tego wymagała, krótka telefoniczna rozmowa przeważnie od razu ją ustawiła. Mówił: napiszę list, spotkam kogo trzeba, załatwię. I pisał, spotykał i załatwiał. Jego chęć okazania pomocy, jego żarliwość były tak wielkie, że udzielały się natychmiast.

Na początku kwietnia, zgodnie z zapowiedzią, nastąpiła zmiana na funkcji Prezydenta RP. Najłatwiejsza jest zawsze krytyka, najłatwiejsze są pesymistyczne przewidywania. Gdy się studiuje dzieje naszej długiej walki o odzyskanie niepodległości, ciągle napotyka się na kryzysy, podobne do naszych. Różnie bywało, ale gdy udało się któryś z nich przewyciężyć, to tylko dzięki jednej wybitnej indywidualności, dzięki jednemu człowiekowi, który potrafił wokół siebie zgromadzić słabnące siły. Edward Raczyński jest taką indywidualnością i potrafił utrzymać symbol legalizmu z poczuciem najwyższej godności. Co będzie dalej?

Józef GARLIŃSKI

STODIECK'S BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA W BERLINIE ZACH.

Prowadzi sprzedaż wysyłkową wydawnictw emigracyjnych na korzystnych warunkach.

Nowy katalog „WIOSNA '86” wysyłamy bezpłatnie na żądanie!

Stodiek's Buchhandlung
Richard-Wagner-Str. 39, D-100 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40.

Kościół w Polsce przegrywa wieś

Na początku 1986 roku wznowiono w Polsce, w niemałym nakładzie, znaną niegdyś powieść Marii Rodziewiczówny „Dewajtis”, ukazującą przywiązanie do ziemi i bohaterską obronę ojcowizny. Nie wiadomo jakie były motywy jej wydania, ale jej ukazanie się jest okazją do uświadomienia sobie, jak wielkie i niepokojące w komunistycznej rzeczywistości przemiany dokonały się na wsi polskiej w ciągu ostatnich 40 lat. Chodzi o stosunek ludności wiejskiej do ziemi. Sławiona niegdyś przez Bolesława Prusa, Reymonta, Rodziewiczównę, Konopnicką i innych miłość i głębokie przywiązanie chłopca do ziemi, które ocaliły po drugiej wojnie światowej kraj od kolektywizacji — przechodzą do historii. I gdyby w tej chwili komuniści w Polsce chcieli ją w krótkim czasie przeprowadzić, to nie natrafiliby na żaden poważniejszy opór. Nie zrobią tego jednak, gdyż nie mają środków na zagospodarowanie ziemi, a ponadto jest to w tej chwili zbyt kosztowne. Dzięki długofalowej polityce zniechęcającej do pracy na roli, ziemia i tak przechodzi w ręce państwa.

Co prawda wieś często — choć kolosalnym wysiłkiem fizycznym i finansowym — buduje wygodne domy (za to bardzo brzydkie!) z kanalizacją, łazienkami i centralnym ogrzewaniem, ma już niemało traktorów, samochodów i innych maszyn, ale te piękne na oko gospodarstwa coraz częściej nie mają następców. Każda wiejska dziewczyna marzy tylko o tym, by wyfrunąć z tego wygodnego domu do miasta, zamieszkać choćby w ciasnej klitce wielkiego „mrowiskowca” w mieście, mieć 8 godzin pracy i urlop w lecie, a nie świątek i piątek nosić ciężkie wiadra żarcia dla świń, doić krowy i od wiosny do zimy chodzić do ciężkiej pracy na polu. Inna sprawa, że myśli również o tym, by przyjeżdżać do rodziny na wsi i zaopatrywać się w to, czego brakuje w mieście. Marzeniem matek jest także uwolnić córki od kieratu pracy na wsi. Łączą się z tym dramaty wielu chłopskich synów, którzy chcą pozostać na roli, ale nie mogą znaleźć kandydatek na żony,

które by chciały pozostać na wsi. Wielu starych kawalerów rozpija się i zniechęca do swego losu.

Bardzo ciekawa już od lat gazeta *Gromada. Rolnik Polski* (chłopom pozwala się tam powiedzieć wiele mocnych i gorzkich rzeczy o absurdach polityki rolnej państwa, z czego zresztą nic nie wynika) — od dawna w każdym numerze publikuje długie listy wystawionych na sprzedaż nowoczesnie urządzonych i dobrze położonych gospodarstw. Na Mazowszu w wielu gminach można spotkać wioski już wymierające, gdzie z kilkunastu dobrych kiedyś gospodarstw pozostało już tylko kilka, które mają następców. Reszta niebawem przejdzie w ręce państwa.

Zaskakujące są rozmowy z młodymi jeszcze właścicielami kwitnących na pozór gospodarstw. Uderza w nich zniechęcenie ciągłą szarpaniną z administracją i brakami wielu artykułów przemysłowych, takich jak części zamienne do maszyn, opony, węgiel, materiały budowlane oraz szybko rosnącą dysproporcją cen między produktami rolniczymi, a maszynami rolniczymi. Ogromna część rolników z tego powodu nie może zdobyć się na kupno traktoru i maszyn towarzyszących, a perspektywa chodzenia za pługiem i bronami ciągniętymi przez konika jest już dla młodego pokolenia nie do przyjęcia.

I tak komuniści w PRL stopniowo, aczkolwiek z opóźnieniem, osiągnęli swój cel: likwidację samodzielnej, chłopskiej gospodarki rolnej, a tym samym i trwałą bazę tradycji narodowej i religijności.

Wieś czuje się opuszczona przez władze. Jeszcze za Gierka przyjeżdżali jacyś tam instruktorzy i można się było czegoś nowego o rolnictwie dowiedzieć. Od Jaruzelskiego skończyło się to, pomimo konstytucyjnego zapisu o własności chłopskiej. Rolnicy widzą, że nikt się nimi nie interesuje poza podnoszeniem podatków i cen za maszyny.

Mógłby ktoś powiedzieć: odpływ ludności ze wsi jest zjawiskiem światowym i nic na to nie poradzimy. Ale porównywanie sytuacji w krajach zachodnich z tym co dzieje się w Polsce, jak to obłudnie lub przez ignorancję robią partyjni doktrynerzy — jest nieporozumieniem. Na Zachodzie proces ma bowiem zupełnie inne podłoże i nie wynika z celowej presji państwa dążącego do likwidacji prywatnego rolnictwa. Ponadto zmniejszeniu się liczby osób zatrudnionych w bezpośredniej produkcji rolnej na wsi towarzyszy proces zwiększania się liczby ludzi pracujących w przemyśle związanym z rolnictwem. I tak jeżeli w Wielkiej Brytanii podobno pracuje na wsi zaledwie 2,5% ludności kraju, to aż 30% zatrudnionych jest w tej gałęzi przemysłu, która tak czy inaczej kooperuje z rolnictwem. W PRL proporcje te są akurat odwrotne, co najlepiej tłumaczy niekończące się braki, na które narażone jest rolnictwo, a także „kłęski urodzaju”, w czasie których masowo marnują się owoce ludzkiej pracy, ponieważ brak jest tzw. „mocy przerobowej”.

W swej tysiącletniej historii wieś polska wraz z całym krajem znalazła się w krytycznym położeniu. Załamywanie się prywatnego rolnictwa jest nie tylko problemem ekonomicznym, kultu-

rowym, demograficznym i religijnym — niesłuchanie ważnym dla kraju — ale także i chyba przede wszystkim kwestią niezależności polskiego społeczeństwa, którą posiada ono w stopniu nieporównanie wyższym niż inne kraje Europy, ujarzmione przez komunizm. Jej symbolem może być fakt przywiezienia żywności w sierpniu 1980 roku strajkującym stoczniovcóm gdańskim przez okolicznych chłopów. Rozumiał to dobrze Prymas Stefan Wyszyński, gdy mówił, że ziemia w prywatnych rękach rolnika żywi naród nawet w czasie wojny, czy wrogiej mu okupacji, ale ziemia gospodarstw państwowych w rękach obcej okupacyjnej władzy to nędza i niewola narodu. Zrozumieli go dobrze partyjni doktrynerzy, wykonujący w Polsce sowiecką politykę społeczną. Bo przejęcie ziemi przez państwo lub sprowadzenie prywatnego rolnictwa do mało znaczącego marginesu, to jawiący się wreszcie na horyzoncie skuteczny środek ujarzmienia buntujących się Polaków.

Hierarchia kościelna w Polsce rozumiała i nadal zdaje się rozumieć ten problem. Dowodem tego była uparta, a zniechędzona przez partię obrona rodzinnego rolnictwa przez Prymasa S. Wyszyńskiego, nieskuteczna, choć kilkuletnia walka jego następcy, kardynała Glempa, o rozbitą przez komunistów Fundację Rolną, powołanie do życia Komisji Episkopatu d/s Duszpasterstwa Rolników i inne inicjatywy.

A jednak Kościołowi w Polsce można postawić uzasadniony zarzut, że na naszych oczach przegrywa wieś polską. Wiele się na to składa.

Zacznijmy od wymienionej przed chwilą Komisji mającej na celu troskę o życie religijne wsi oraz moralne poparcie, bo i o to niewątpliwie chodzi, dla rodzinnego rolnictwa. Otóż, choć Komisja ta istnieje od kilku lat, to trudno dostrzec, by jej działalność w jakiś widoczny sposób zaznaczała się na wsi. W każdej diecezji jest zaledwie 3-4 księży w terenie, którym sprawy wsi leżą na sercu, i którzy usiłują coś dla wsi robić. Ich praca jest jednak kroplą w morzu potrzeb. Ogół księży pracujących w środowiskach miejskich, sprawy wsi polskiej nie czuje, a w każdym razie nie przejawia żadnego konkretnego zainteresowania sprawą moralnej pomocy dla wsi w jej walce z aktualnymi zagrożeniami. Co najwyżej niektórzy biadają nad jej kulturowymi i moralnymi upadkami i głoszą, że sprawa utrzymania młodego pokolenia na roli jest już przegrana i nie warta walki.

Ośmielę się stwierdzić, że sprawy wsi polskiej, generalnie biorąc, nie rozumieją także i biskupi, poza nieliczną ich grupą w Episkopacie. Tak moim zdaniem wygląda stan faktyczny. A jakie są jego przyczyny i możliwe środki zaradcze?

Co do przyczyn, to wydaje się, że najważniejsza z nich leży w tym, iż kilkadziesiąt już roczników księży przeszło z konieczności przez szkoły w PRL, skutecznie oduczające autentycznych zainteresowań społecznych. W okresie kształtowania się postaw w tym względzie w szkole należy się — ale tylko pozornie, bez przekonania, i bez przejęcia się sprawą — do jakiejś tam oficjalnej organizacji szkolnej. Ta postawa pozornego zaangażowania po-

zostaje na stałe. Wychowanie seminaryjne też nie uczula na problemy społeczne, gdyż panujący ustrój programowo odcina od nich Kościół i usiłuje zamknąć go w zakrystii. Teren pracy jawiący się przed seminarzystą, to wyłącznie kościół i sala katechetyczna. W tej sytuacji trudno o zainteresowania społeczne.

Rozwinięta po Soborze praktyczna formacja pastoralna w seminariach nie obejmuje przygotowania do pracy na wsi. Co więcej, ta ostatnia była i jest nadal uważana przez wychodzących z seminarium księży — i innych także — za niższą kategorię pracy, tak pod względem uposażenia, jak i różnych możliwości życiowych. Awansiem jest nominacja na placówkę duszpasterską w mieście. To nastawienie znajduje poparcie w polityce pastoralnej Episkopatu, który od lat najlepsze i najbardziej ideowe siły spośród duchowieństwa kieruje do środowisk inteligenckich i do miast. Brak zainteresowania problemami wsi u najmłodszego pokolenia księży może wynikać i stąd, że od pewnego czasu w seminariach zaczyna wyraźnie przeważać młodzież nie ze wsi, jak to było niegdyś, lecz ze środowisk robotniczych i średnio-urzędniczych.

Wielką siłą Kościoła w Polsce jest poważny procent młodych księży, którzy w środowiskach miejskich bardzo ofiarnie pracują wśród młodzieży. Ale w środowiskach wiejskich widać wyraźnie taką kategorię księży wikariuszy (proboszczowie mają dużo obowiązków administracyjnych i innych) która cały wolny czas (a nie jest go mało) pozostający jej po spełnieniu obowiązków, poświęca na życie towarzyskie, często ułatwione posiadaniem samochodów. Trudno tu spotkać kogoś, kto by myślał o problemach duszpasterskich w kategoriach dobra wsi czy kraju. A tymczasem duszpasterz na terenie religijnym i społecznym jest odpowiedzialny za rozwój społeczeństwa, a jak pokazuje nasza najnowsza historia, zwłaszcza Śląska i Wielkopolski, księża pracujący na wsi i w środowiskach robotniczych, przejęci po chrześcijańsku rozumianym duchem patriotyzmu, odegrali nieocenioną z punktu widzenia dobra kraju i Kościoła rolę. To dzięki nim w ogromnej mierze, a może przede wszystkim, klasa robotnicza w Polsce została wierna Kościołowi, co jest fenomenem w Europie, i zahamowany został skutecznie proces ekonomicznego podboju wsi przez Niemców w Wielkopolsce. Jak wdzięcznym polem pracy dla księdza jest i dzisiaj wieś — o wiele bardziej niż miasto — pokazują, wyjątkowe niestety, przkłady takich duszpasterzy jak w Zbroszy Dużej koło Warszawy, czy gdzie indziej.

Po 40 latach polityki partii, mającej na celu upaństwowienie rolnictwa, a tym samym i likwidację względnie niezależnej warstwy społecznej, wieś polska stoi wobec największego w jej dziejach zagrożenia. Jest nim ucieczka młodego pokolenia na skutek celowo utrzymywanego technicznego i ekonomicznego zacofania wsi oraz braku perspektyw zmiany na lepsze.

Jedyną instytucją w Polsce posiadającą jeszcze ogromne możliwości pozytywnego wpływu na ludność wiejską jest Kościół, dysponujący zwartą strukturą parafialną i tysiącami, cieszącymi się dużym autorytetem, duszpasterzy. Niestety, jak dotychczas

możliwości te są marnowane i Kościół przegrywa wieś, a razem z nią i coś niesłuchanie ważnego w innych dziedzinach życia w kraju.

O jakie możliwości tu chodzi? Otóż tylko o te, które leżą w gestii Kościoła i nie wkraczają na teren walki politycznej. Chodzi o wskazywanie zasad sprawiedliwości społecznej, wspólnego dobra kraju i rodziny oraz jego realizację poprzez dostępne dla wiejskiego duszpasterstwa środki. Niech to wystarczy jako teoretyczne uzasadnienie, gdyż chodzi tu przede wszystkim o propozycje praktyczne.

Duszpasterze na wsi mają obowiązek i możliwości zapoznawania ludzi z nauką Kościoła dotyczącą rolnictwa, zawartą choćby w encyklice Jana XXIII *Mater et Magistra* i w częstych, a nieznanych szerzej, wypowiedziach Jana Pawła II. Jest to bowiem część — w Polsce szczególnie aktualna — moralnej doktryny Kościoła, dotyczącej problemów społecznych. Już to samo tylko, robione systematycznie, będzie bardzo pozytywnym oddziaływaniem na świadomość ludności wiejskiej. Prelegentów — bez większych trudności — można znaleźć wśród katolików świeckich. Tu też należałoby ich szukać, gdyż będzie to wspierać przekonania chłopów, że w mieście ktoś myśli o wsi. Wdzięcznie przyjęte byłyby fachowe prelekcje z dziedziny rolnictwa, hodowli, higieny (nawozy sztuczne), historii Polski, regionu, gminy, kultury wsi, dawnej i obecnej, a choćby nawet żywo opowiedziane żywoty świętych polskich i innych z ukazaniem religijno-społecznej działalności ich bohaterów.

Jednym z ważniejszych celów komunistów jest, jak wiadomo, atomizacja społeczeństwa, rozbitcie więzów społecznych między poszczególnymi warstwami społecznymi, rodzinnymi i ludźmi w ogóle, by w ten sposób łatwiej utrzymać władzę. Wieś także i pod tym względem bardzo ucierpiała. Cennym rezultatem wspomnianych form oddziaływania, spotkań, rozmów i dyskusji byłoby nawiązywanie i wzmacnianie więzi międzyludzkich na wsi.

Nową i owocną formą duszpasterstwa są centralne coroczne dożynki w Częstochowie pod patronatem Kościoła, którym od kilku lat przewodzi, wygłaszając mądre kazania, ks. bp I. Tokarczuk. Inicjatywa ta mogłaby być podjęta także na poziomie diecezji, dekanatów i parafii.

Po Soborze, w sposób bezmyślny i szkodliwy, okrojono lub po prostu zlikwidowano wiejski rok obrzędowy, tak dobrze znany wsi od kilku wieków. Wiązało się z nim uroczyste święcenie pól przez księdza, procesje, specjalne modlitwy dotyczące różnych prac na roli itp. Wielu młodszych księży nie wie już nawet, że coś podobnego istniało. A przecież była to ważna forma podkreślenia wagi, godności i roli pracy na wsi oraz jej sakralizacja — jakże wzmacniająca postawy wewnętrzne rolników. Powinno się nie tylko przywrócić jej tradycyjne formy, ale opracować i dodać do rytuału nowe, odpowiadające współczesnym warunkom pracy.

Teologię pastoralną wykładaną w seminariach należałoby uzu-

pełnić problematyką duszpasterstwa wiejskiego, która, jak już wspomniałem, dla większości absolwentów seminariów duchownych jest dziedziną nieznaną z racji ich pozawiejskiego pochodzenia społecznego.

Moją wypowiedź traktuję jako wstęp do dyskusji na poruszony tu temat. Jeśli zostanie podjęta, to wiele zarysowanych tu tylko propozycji będzie można rozwinąć i sprecyzować.

Jan CZERWIŃSKI

Dziennik zewnętrzny

Dużo śniegu, co jest pewną niespodzianką. Zimy ostatnich lat zmarniały jak wszystko. Zdarzało się słyszeć narzekania: „nawet zimę zepsuli komuniści”. Teraz zima jak się patrzy, śnieg, mróz i kłopoty z dowozem żywności, komunikacja ledwie dycha, ale za to ładniej. Postępująca brzydota naszych miast przykryta śniegiem. Ten śnieg jednak podejrzanie szybko ciemnieje. Zdradza zatrute powietrze nad Warszawą. Wolę nie myśleć o tym, co dzieje się na Śląsku czy w Zakopanem. Podobno płuca tego uzdrowiska przypominają płuca gruźlika w ostatnim stadium choroby.

Jako że zima w tym roku obrodziła, mogły powstać rozmaite fronty walki z nią. Dowiedzieliśmy się, że mamy dzielnych kolejarzy, a nawet przechodniów. Ale „fronty” już nie grmią jak dawniej, entuzjazm i witalność propagandy wygasa we wszystkich piecach. Zamiast ognia trochę czerwonego sukna, przez które prześwieca zmarznięty tyłek zdychającego systemu. I czasami gdzieś zamajaczy skromna informacja, jak np. ta widziana z okien pociągu: „Zjazd PZPR to śmiałość, Nadzieja, Szansa!”.

Na pewnym przyjęciu pewna aktorka, bardzo znana, mówi: — Budzę się rano i czuję, że nie mam po co wstawać.

Jest jeszcze młoda, jeszcze ładna i bez wątpienia powiodło jej się w życiu. Co mówią ci, którzy są już starzy, brzydki i którym się nie powiodło? Pewien aktor, jeszcze bardziej znany od znanej aktorki podchodzi do mnie i wspomina stan wojenny. Zachował się wtedy dzielnie, co zresztą pamiętam. Mówi, że spodziewał się wtedy aresztowania i tortur. Pewien doświadczony w tej dziedzinie żołnierz AK radził mu, by w razie czego dołożył jednemu z bijących: „Zdenerwują się, uderzą pana zbyt mocno, straci pan przytomność i będzie pan miał przez jakiś czas spokój” — miał powiedzieć doświadczony AK-owiec. (Bili go najpierw Niemcy, potem komuniści).

I rzeczywiście, przyszedł po słynnego aktora. Po wielogodzinnej rozmowie okazało się, iż grożą mu... że nie dostanie paszportu. Wkrótce jednak wyjechał. Na granicy ukarano go ginekologicznym niemal badaniem. Po tym zabiegu celnik zdjął gumową rękawicę i rzekł: „Mam nadzieję, że pan jednak wróci, bez pana byłoby jeszcze smutniej”.

Obyczaj zbiorowych opłatków dla środowisk twórczych rozrasta się. Najpierw, świeżo po Nowym Roku, był opłatek dla literatów, w jakiś czas potem — dla dziennikarzy. Tłok niesamowity, całowanie się, dzielenie się opłatkiem, śpiewanie kołęd. Nie chcę używać ironicznego tonu, bo nie ma powodu. Jest w tych spotkaniach coś wzruszającego. Pytanie tylko, ilu z obecnych przyszedłoby, gdyby mogli się spotykać gdzie indziej?

A na sam koniec — zbiorowy opłatek w Pałacu Prymasowskim. Z udziałem Prymasa. Kogóż tam nie było: słynni pisarze, aktorzy, wydawcy, muzycy itd. Zabrał głos Prymas. Mówił wesoło o Matce Boskiej, co trochę rozczarowało obecnych, bo spodziewali się chociaż słowa, że jest nam ciężko i niewesoło. W trakcie opłatka uchyliły się nagle drzwi i ukazała się w nich siwa głowa Andrzeja Kuśniewicza. Oho, pomyślałem, to Kuśniewicz też już dołączył, chociaż trochę spóźniony. Znany pisarz spłoszył się, ujrawszy pełną salę ukoronowaną Prymasem. Atmosfera była jak na szkolnej akademii, więc przestraszyłem się, że postawią pisarza do kąta za spóźnienie. On też widać musiał mieć jakieś obawy, bo w pośpiechu zaczął się wycofywać, ale chwycił go za rękaw młody i szybki ksiądz. Na szczęście nie postawiono Andrzeja Kuśniewicza do kąta, a jedynie posadzono na krześle.

— Ale nas upupili — szepnąłem do ucha znanemu dziennikarzowi.

— Ano, upupili na amen — odparł i zamilkł zgromiony surowym spojrzeniem jednego z księży, bo zaczęła się modlitwa. Składamy nabożnie ręce, obaj głęboko niewierzący.

Za dwa ogórki kiszone zapłaciłem 100 zł.

Przeciętne codzienne zakupy żywnościowe od 500 do 1.000 zł.

Nie skusiłem się na kupno albumu Witkacego — 2.800 zł.

Przeciętna pensja młodego pracownika naukowego — 13.000 zł.

Kraj, w którym skazano inteligencję na wymarcie. Plan wzięcia głodem zbuntowanych środowisk artystycznych i naukowych ma na szczęście dziury, jak ser szwajcarski. Żyjemy jakoś w tych dziurach.

Nadal nie ma cenzury podmiotowej, a więc czarnych list, zwiększają się tylko naciski na redaktorów i wydawców, by sami odrzucali nieprawomyślnych. Natomiast malarze twierdzą, że powstała lista plastyków, których prac nie wolno kupować muzeum. Ciekawe, że póki co najwięcej kłopotów mają artyści współpracujący aktywnie z Kościołem. Jest to jeszcze gorzej widziane, niż współpraca z podziemiem. Władza przerażona wiel-

kością potencjału intelektualnego i artystycznego, który zdobył nagle Kościół. Gorzej, że Kościół jest tym nie mniej przerażony.

Spotkanie filmowców z szefem kinematografii Bajdorem w sprawie skutków reformy. Ta reforma narodziła się jeszcze w czasie „Solidarności” i miała wprowadzić elementy gospodarki kapitalistycznej do naszego przemysłu filmowego. Mówiło się, że nareszcie zaczną mieć znaczenie zysk, a więc zdrowy rozsądek. Zapomniano, że ten eksperyment odbywa się w miejscu, gdzie zdrowy rozsądek już dawno przegrał wszystkie swoje bitwy. Zapomniano o cenzurze i o wielu innych rzeczach.

I teraz polski film ledwo dycha. Andrzej Wajda i Krzysztof Zanussi przenieśli się z produkcją filmową za granicę, Agnieszka Holland już chyba na stałe w Paryżu, Janusz Kijowski w Brukseli, Ryszard Bugajski jako świeży emigrant siedzi w Kanadzie. A ci, którzy zostali w kraju szamocą się między własnym sumieniem a cenzurą, brakiem kamer, taśmy filmowej i reflektorów. W sumie polski film zysków nie przynosi, zmniejsza się ilość sal kinowych. Konkurencją staje się video. Zarejestrowano 350 tys. aparatów — takie liczby podają celnicy. W sumie jest chyba w Polsce co najmniej pół miliona aparatów video.

Spotkanie filmowców zamieniło się więc w długi lament reżyserów. Dobrej myśli był jedynie Poręba. Przyznał, że owszem, na Zachodzie są puste sale na polskich filmach, ale sam na własne oczy widział kolejki na polskie filmy... w Wietnamie.

— Należą więc przeorientować eksport naszych filmów — stwierdził.

Jestem u D. Niegdyś wysoki rangą funkcjonariusz, może nawet zbyt wysoki. Opowiada, że niedawno odwiedził Edwarda Ochaba. Ten, mimo poważnego wieku, myśli podobno żwawo i jest przerażony. Czym? Ano rozpadem państwa, gospodarki, wszystkiego.

Ci, którzy budowali obecny upadek chylą teraz siwe głowy przed spadającymi cegłami. To, co najcięższe spadać będzie jednak nie na ich stare łby, ale na głowy naszych dzieci. A ich dzieci? Niemal w 100% za granicą. Przewornici od dawna wysyłają dzieci za granicę, zaczęło się to już dawno. Niemal w komplecie przebywają na Zachodzie dzieci znanych polskich artystów, nawet tych niezaradnych.

Spory w redakcji Wolnej Europy. Ich echa docierają do kraju w strzępkach, ale wyraźniej niż program, który z trudem przebija się przez krzyk zagłuszarek. Poziom rozgłośni wydaje się obecnie niższy od tego sprzed kilku lat, a przede wszystkim poniżej możliwości emigracji, zasilonej ostatnio z kraju strumieniem specjalistów ze wszystkich dziedzin.

Nie znam szczegółów, zresztą nie sędzę, by były one interesujące. Z płataniny rąk i nóg wyskakuje czasem głowa Najdera i naderwane ucho Kalabińskiego. A nad tym polem walki widnieje zimny uśmiech Urbana, bynajmniej nie naszego, ale amerykańskiego szefa polskiej sekcji WE, Georga Urbana.

Smutne, bo nawet z tak daleka widać, że dla spierających się stron poziom rozgłośni jest sprawą uboczną. A inne radiofonie? „Głos Ameryki” zbyt urzędowy, BBC flegmatyczna, może tylko Radio France Internationale, chociaż mówi krótko, ale z humorem i wdziękiem.

Czasami, gdy wędrując po skali radia wpadnę przypadkiem na stację sowiecką, mam wrażenie, że otwiera się pod nogami otchłań. Otchłań kłamstwa. (Ich stacje poznaje się po dwóch, czasem po jednym zdaniu, słodycz głosu spikera i zapach martwego języka. Naprawdę wiele jeszcze dzieli naszą rodzimą propagandę od tej przodującej).

Z lekcjami historii i polskiego nigdy nie było dobrze w naszych szkołach. Literatura i historia — te studnie zatruwa każdy najeźdźca. Po 13 grudnia masowe czystki wyczesaly ze szkół i tak już nielicznych nauczycieli, którzy wykonywali rzetelnie swój zawód. Teraz, w roku 1986, nauczyciele poddawani są kolejnej weryfikacji. I słusznie. Znam dziewczynę, która uczy historii, jest uczciwa i lubi swoją pracę. Ocalała z pogromów. Pokazuje mi część pytań, jakie komisje będą zadawać nauczycielom:

1. Jakie treści wynikające z programu „Główne kierunki i zadania w pracy wychowawczej szkół” preferuje w swojej pracy?
2. Jak oddziałuje na młodzież pod kątem akceptacji zasad ustrojowych socjalistycznego państwa?

A jednak długo namawiałem młodą nauczycielkę, by przeszła przez „piekło” weryfikacji, mówiłem, że jej sumienie nie spłonie w tym ogniu. A przecież sam nie zdałbym takiego egzaminu. Czy mam więc prawo namawiać do wallenrodyzmu innych? Myślę jednak o naszych dzieciach. Moja córka ma nauczycielkę historii, o której mówi (nabyła tę wiedzę sama), że jest nieuczciwa i głupia. Kraj totalitarny stawia ludzi w sytuacjach bez dobrego wyjścia, pozostaje wybór mniejszego zła. Problem w tym, że mniejsze zło w naszych warunkach z reguły zaczyna szybko rosnać.

Mieczysław Rakowski na spotkaniu z brytyjskimi parlamentarzystami powiedział, że on też wolałby, aby Polska była wyspą. — „Ale nie jest i sami, panowie, rozumiecie”.

Ja nie rozumiem. Bo cóż Rakowski robiłby na takiej wyspie? Były premier, zapytany niedawno przez byłego dziennikarza, co myśli o pacyfikacjach wyższych uczelni, miał rzec:

— Oni zwariowali.

Biedny pan Mieczysław. Tak często w przeszłości sprawiał wrażenie odtrąconego dziecka. Jego wrażliwość jest obecnie nara-

żona na niebywałe stresy. Oto wykupił bilety na bal sylwestrowy w SARP-ie. Architekci dowiedzieli się jednak zawczasu, w jakim towarzystwie będą wchodzić w Nowy Rok i zaprotestowali. Księgowa zadzwoniła więc do Rakowskiego, informując go, że zabrakło biletów.

Ale to nie wszystko. Telewizja i radio obcinają obecnie twarz i nazwisko Rakowskiego. Nie żeby tak zupełnie, ale pracuje się nad tym, by go za dużo nie było. Proporcjonalnie do skromnej funkcji wicemarszałka sejmu, jaką piastuje.

Znajomy wiozł mnie samochodem. Byliśmy na rondzie na Marszałkowskiej, kiedy wyskoczył milicjant i zatrzymał nas czerwonym lizakiem. Sprawdza dokumenty i każe podnieść siedzenia w samochodzie. Teraz maska bagażnika. Zamarzyło mi się, że z bagażnika wyfrunie nagle ptak. Ale nic z tego, leżała tam butelka z olejem i brudna szmata. Milicjant też był rozczarowany.

Przeszukiwanie samochodów nie zdarza się teraz tak często, jak niegdyś, ale jest niewątpliwie częścią krajobrazu.

Zapomniałem powiedzieć, że w czasie tej małej rewizji miałem w torbie wiszącej na ramieniu kilka książek i pism wydanych w podziemiu. Serce mi nawet mocniej nie zabiło, chociaż jestem z natury wrażliwy i nerwowy. Poziom lęku i ryzyka nie jest, jak widać, obecnie zbyt wysoki.

Zachorowało dziecko znajomych. Choroba nie na tyle poważna, by budzić niepokoje zasadnicze. Ich przerażenie wynika z konieczności oddania dziecka do szpitala.

U nas szpital budzi przerażenie, nie tylko ze względu na chorobę. Chore są same szpitale. Chore na łóżka na korytarzach, brudne igły i żółtaczkę, karaluchy, brak lekarstw i opieki, i w końcu na łapówki.

Dziecko znajomych musiało jednak pojechać do szpitala. Tam położono je do łóżka i przywiązano. Wszystkie dzieci na sali były przywiązane. To nie konieczność, ale brak personelu. Rodzice patrzą przez szybkę w drzwiach i starają się, by dziecko ich nie zauważyło, bo to jeszcze pogarsza dramat. Znajoma wytargowała trzygodzinne widzenia. To daje się załatwić pod warunkiem, że matka przejmie obowiązki salowej i będzie obsługiwać wszystkich pacjentów.

Idąc Placem Trzech Krzyży natknąłem się niespodziewanie na cień jakiegoś smutnego faceta, trzymającego kapelusz przy biodrze. Co to u licha, znowu jakiś ubek. Ale był to jedynie Witos zmieniony w pomnik i nie tak dawno odsłonięty. A więc Witos też kupili jako swego.

A na MDM-ie ciągle nie widać pomnika bojownika o... utwale-

nie władzy itd. Już zawczasu lud Warszawy nazwał ów przysły monument ubeka pomnikiem utrwalacza.

Spróchniałe reżimy lubią pomniki jak starzec laski. Ale nie wszystkie pomniki. Jak dwa potężne ciernie tkwią pomnik zamordowanych stoczniovców w Gdańsku i pomnik poznańskiego czerwca w Poznaniu.

Pamiętam swoje wzruszenie, gdy dwa lata temu po raz pierwszy stanąłem pod tym pomnikiem, ustawionym w pośpiechu w samym sercu Poznania. Dwa krzyże, trzeci „złamany”. I daty. Daty wybuchów gniewu i buntu przeciw reżimowi. Właściwie już chyba wszystkie te wydarzenia weszły do oficjalnej historii, może oprócz jednego. Rok 1968, studencki marzec, który miał być inspirowany przez syjonistyczny spiszek. Ta wersja nie jest już obecnie podtrzymywana, ale o marcu 1968 najchętniej się milczy. Lecz my, bici wtedy na ulicach, pamiętamy. Mocniej chyba od milicyjnych pałek pamiętamy atmosferę tych dni, pachniało przenikliwie faszyzmem.

Bliska znajoma moich rodziców, uczulona na rasizm, postanowiła wtedy wyjechać z kraju. Wezwano ją na przesłuchanie.

— Dlaczego pani chce wyjechać, sprawdzaliśmy do czwartego pokolenia, jest pani czysta rasowo — zdziwił się funkcjonariusz MSW.

Emigracja 1968 roku. Jakże często ci ludzie, obecnie rozsiadani po wielu krajach, są wierni Polsce. Czas „Solidarności” rozbuździł ogień w wielu wygasłych piecach. Ich zasługi w tworzeniu polskich wysepek na wielkim oceanie świata są trudne do przecenienia. Postawmy im przynajmniej pomnik ze swojej pamięci.

Wczoraj dowiedziałem się, że D. wyjeżdża. Wyjazdy emigracyjne stały się tak powszechne, że ostatnio mile jestem zdziwiony, gdy ktoś zostaje.

Ale szczerze mówiąc D. nie był moim kandydatem na taką wyprawę. Zajmuje kierownicze, ba, kluczowe stanowisko, jest w partii, zarabia świetnie. Jego żona nie gorzej. Najpierw ma wyjechać on, niby turystycznie, ona dołączy później. Ostrzegam, że mogą jej długo nie puszcząć. Uśmiechają się oboje łagodnie nad moją naiwnością. Nie ma problemu, wiedzą, komu dać łapówkę. Cena około 1 tys. dolarów.

Pytam, dlaczego wyjeżdżają. Ból sumienia? Nie. On wraz z postępującym upadkiem całej gospodarki utracił poczucie sensu swojej pracy.

Powstaje więc nowa emigracja. Jak ją nazwać? Nie jest to emigracja polityczna. Przecież D. wywiezie z sobą partyjną legitymację i swój wieloletni konformizm, który oparł się nawet fali „Solidarności”. Nie jest to też emigracja za chlebem. To emigracja w poszukiwaniu sensu.

W słońcu pierwszych dni wiosny zabłysnął u nas problem nietolerancji, resentymentów, uprzedzeń. Obecna chora sytuacja

klęski i braku perspektyw sprzyja takim postawom.

Ludzie, którzy wracają z dalekiego świata przywożą wieści, że Polacy w Stanach Zjednoczonych nienawidzą Murzynów, w RFN-ie Turków, w Paryżu — Arabów. Nie zarażają się t a m brakiem tolerancji, wywożą go stąd!

W ostatnich latach lawinowo spadło zużycie mydła na głowę, ręce i inne narządy mieszkańca PRL.

Epidemia czerwonki w kilkunastu miastach, wszawica wśród dzieci (codziennie oglądamy głowę naszego dziecka). Odżyła gruźlica i stuka do naszych drzwi. Plagą szpitali stała się żółtaczka.

Wkrótce będą do nas przyjeżdżać lekarze z krajów cywilizowanej Europy, by przyjrzeć się z bliska przypadkom, o których czytali jedynie w podręcznikach.

Głodują: Czesław Bielecki, Andrzej Górski, Marian Terlecki i Włodzimierz Woroniecki. Dokarmiani są siłą przy pomocy plastikowej rury. Trzeba poznać więzienie śledcze, doświadczyć samemu całkowitej izolacji, by docenić heroizm tej walki. Żądają widzeń, paczek, statusu więźnia politycznego. Komunistyczna nowomowa: nie ma więźniów politycznych, są tylko więźniowie niekryminalni.

Najdłużej głoduje Czesław Bielecki, wybitny architekt, plastyk, publicysta. Są nawet obawy o jego życie. Władze zaniepokojone zaciętością tego protestu i rozgłosem, jaki uzyskał, pozwoliły Bieleckiemu na częste widzenia z ojcem, który przyjechał z Izraela. Pozwoliły w nadziei, że namówi syna do emigracji. Ojciec nie miał jednak takich zamiarów, a Czesław nie przerwał nawet głodówki.

I pomyśleć, iluż z tych Polaków, którzy tak łatwo wypominają innym złe pochodzenie, nie skorzystałoby z propozycji wyjazdu na Zachód (nawet nie siedząc w więzieniu)? Gdyby fakty mogły obalać uprzedzenia, poruszałibyśmy się wśród gruzów.

Stan naszych więzień? Siedzi obecnie 113 tys. ludzi, zaś kuba-tura tych „przybytków spokoju” obliczona jest na 70 tys. pensjonariuszy.

Na ostatnich rozprawach politycznych panuje nowy ton. Procesy, gdzie publiczność to ubecy, sędziowie ubecy, biegli ubecy, nie mówiąc już o prokuraturze, dowody to taśmy z ubeckimi podsłuchami. Z chóru wyłamują się jedynie adwokaci. Dlatego coraz częściej na salach sądowych są oskarżani nie mniej ostro niż sami oskarżeni.

Polska — trudny kraj. Gdzie indziej można przeżyć całe życie i nawet nie dowiedzieć się, że jest się mięczakiem, człowiekiem bez charakteru czy nawet łajdakiem. A tu ciągle te nieznośne egzaminy z moralności.

Refleksja ta przyszła mi do głowy, gdy pomyślałem o prof.

Aleksandrze Krawczuku. Zanurzony głęboko w starożytności, ów uczony pisarz tylko z rzadka wychylał nos zza książek, by zaczerpnąć powietrza i otrzepać się z kurzu dawnych wieków. Kto by przypuszczał, że kiedyś wychyli nie tylko głowę, lecz również resztę cielesnej powłoki. Okaze się wtedy, że bynajmniej nie jest odziany w togę, że nosi garnitur, krawat, jest gwiazdą radia i telewizji, prezesem krakowskiego oddziału nowego ZLP.

Historia bywa więc czasami nie tylko nauczycielką życia, ale również konformizmu.

Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Walka o pokój, bitwa o pokój, batalia, mobilizacja w sprawie pokoju, front walki o pokój — muszą być więc i ofiary.

Do Polski przyjechała naiwna i raczej słaba umysłowo grupa intelektualistów z Zachodu oraz całkiem liczna, ale nie naiwna grupa ze Wschodu. Dwóch uczestników Kongresu zabłąkało się do mieszkania Jacka Kuronia i o mało nie zostali przymknięci przez milicję, która złożyła tam wizytę. Natomiast około 200 przedstawicieli polskich środowisk twórczych podpisało list do uczestników Kongresu, sugerujący, że Polska nie jest obecnie najlepszym miejscem do organizowania tego typu imprez, z kilku powodów, które zostały w liście wymienione.

Pierwszy list protestacyjny powstał w roku 1964 i podpisany był przez zaledwie 34, wybitnych co prawda, pisarzy i profesorów. List został sformułowany delikatnie i nieśmiało. A spowodował burzę. Sygnatariusze zostali wpisani na czarne listy, propaganda szalała, a przerażony Artur Sandauer wycofał swój podpis. Po tem kilkuset pisarzy podpisało tzw. volkslistę, potępiającą ów protest. Ileż zmieniło się od tego czasu.

Powstają dziesiątki ostro sformułowanych listów sygnowanych przez tysiące ludzi. A władza ani drgnie — nie ma odpowiedzi ani nawet represji. Najwyraźniej uodpornili się.

Ale ów list do uczestników Kongresu okazał się bolesnym ukłuciem szpilką w delikatne miejsce. Nazwiska sygnatariuszy, a potem tekst samego listu ogłosiło *Życie Warszawy*. By skompromitować? Doprawdy nie wiem, bo zrobiono jedynie ludziom reklamę. Propaganda dzisiaj niewątpliwie sprytniejsza niż kiedykolwiek, ale od czasu do czasu łapie się za swój własny ogon i nie wie, co z nim zrobić.

Z okazji listu niemal wszyscy sygnatariusze otrzymali telefony z Rakowieckiej. Funkcjonariusze MSW pytali, czy dana osoba podpisała list, w jakim języku był sformułowany, kto go przyniósł. I wszyscy niemal wdawali się w rozmowy, mam nadzieję bez podawania szczegółów. Sam jednak fakt prowadzenia takich konwersacji świadczy, że liczne nauki, jak postępować z ubecją, jakie ma ona prawa, a jakie prawa ma obywatel, poszły w las. A nasze dobre wychowanie bywa na ogół sojusznikiem milicji.

Na chwilę do Słowacji. Architektura niemal równie tragiczna

co u nas i widać, że sąsiedzi mają nie mniejszy talent w niszczeniu najpiękniejszych nawet krajobrazów. Ale w sklepach pełno towaru i nie ma kolejek.

Ekspedientka pyta mnie szeptem, czy nie jestem przypadkiem z Polski.

— A owszem — mówię i nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Kobieta rozgląda się, czy w sklepie nadal pusto i szeptem pyta, czy nie mam przypadkiem zdjęcia Wałęsy.

— Niestety nie — odpowiadam głosem nabrzmiałym od wyrzutów sumienia.

— Bo wie pan, zdjęcie Papieża udało mi się zdobyć, ale nawet nie wiem, jak wygląda Wałęsa, podobno ma wąsy?

— Szczera prawda — mówię — ma wąsy.

Wychodzę na ulicę, która czerwieni się od transparentów: „Niech żyje wieczna przyjaźń z ZSRR”. Uderza religijny charakter tego związku. Dali im łupnia, biedakom — myślę. U nas się tylko nieustannie przyjaźń poszerza i pogłębia, a tam już wieczna. Amen.

Zapytałem niedawno sam siebie, czy słyszałem ostatnio jakiś dobry dowcip polityczny? Po chwili zastanowienia musiałem przyznać, że nie. Nic. Ani dobrego, ani złego. Nawet moje dziecko przestało przynosić ze szkoły dowcipy polityczne.

Kryzys dowcipu w Polsce jest zjawiskiem niepokojącym. Przecież w czasie różnych poprzednich „zmartwień” nie brakowało znakomitych dowcipów. Krążyły jak pracowite pszczoły szukając jeszcze nie zapylnych kielichów ucha. Brak dowcipów jest miarą głębokości naszej depresji.

Na ulicy spotkałem G.

— Czy nic złego? — pyta na powitanie.

— Nic złego. A u ciebie nic złego?

— Nic specjalnie złego — odpowiada.

Coś mi się wydaje, że rodzi się nowy zwrot zamiast „dzień dobry” i „co słychać?”.

Witold CHARŁAMP

(c.d.n.)

Sprawy i troski

Zachodnie rozgłosnie polskojęzyczne

PRÓBA PORÓWNANIA

Analizą objęte zostały następujące rozgłosnie: BBC — Londyn, France Internationale — Paryż, Głos Ameryki — Waszyngton, Radio Niemieckie — Kolonia, Wolna Europa — Monachium. Punktem wyjścia jest interes słuchacza w Polsce, który pragnie odbierać audycje interesującej go rozgłosni w dogodnej porze, bez zakłóceń i zagłuszenia. Ten aspekt możliwy jest do obiektywnej oceny przez osobiste słuchanie poszczególnych rozgłosni w różnych częściach Polski oraz porównanie rozmiarów ich czasu antenowego. Trudniejszy do obiektywizacji jest stopień zaspokojenia oczekiwań merytorycznych. Zainteresowania, a stąd oczekiwania odbiorców są zróżnicowane, na przykład osoba interesująca się życiem w RFN (a jest takich w Polsce niemało) będzie słuchać Kolonii niezależnie od tego, jak atrakcyjne okażą się programy innych rozgłosni. Najsensowniejsze byłoby tu przeprowadzenie znanej dobrze prasoznawcom typowej ankiety, zawierającej pytanie o częstotliwość korzystania z audycji poszczególnych rozgłosni, ocenę ich atrakcyjności, wiarygodności, stopień zaspokojenia potrzeb informacyjnych itp. Z oczywistych względów jest to w dzisiejszej Polsce niemożliwe. Badania opinii publicznej (choć zwykle są one wycinkowe i nie stawiają wprost najważniejszych problemów społeczno-politycznych) prowadzone dziś w PRL przez takie instytucje jak Centrum Badania Opinii Społecznej w Warszawie, Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy PRiTV oraz Ośrodek Badań Prasoznawczych w Krakowie, zawierają czasami pytanie o korzystanie z zagranicznych radiostacji polskojęzycznych, jednakże nigdy — o ile mi wiadomo — nie zawierały nawet próby oceny poszczególnych rozgłosni, a nawet nie usiłowały odpowiedzieć na pytanie, z jakich rozgłosni korzystają Polacy najczęściej. Można tylko na podstawie wyników tych badań stwierdzić, że średnio co trzeci

dorosły Polak słucha tych rozgłosni stale lub od czasu do czasu, więc zasięg ich jest ogromny, choć bardzo zależy od stopnia aktualnych napięć politycznych i ważności aktualnych wydarzeń — w okresie burzliwym rośnie, w okresie uspokojenia i braku „sensacji” politycznych znacznie spada. Znane jest mi tylko jedno badanie (Krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych, 1981 r.), kiedy pozwolono respondentom ocenić wiarygodność tych rozgłosni (również traktowanych zbiorczo) sytuując ją na tle oceny wiarygodności innych środków społecznego przekazu. Ocena ta nie wypadła szczególnie korzystnie. Najwyżej oceniono wiarygodność pism i biuletynów „Solidarności”, następnie prasy, dalej radia i wreszcie dopiero nieco poniżej ówczesnego polskiego radia usytuowano wiarygodność polskojęzycznych rozgłosni zachodnich. Przewyższała ona jednak zdecydowanie wiarygodność polskiej TV, którą oceniono najniżej (TV kłamie!). Wynika stąd, że — pewnie nie bez udziału wytrwale sączonej propagandy oficjalnej — ukształtował się w Polsce pewien stereotyp tych rozgłosni, których się słucha, ale którym jakby nie wypada wierzyć (często spotyka się obiegowe zdanie: „jedni i drudzy kłamią”). Prawdopodobnie dzisiaj wobec wyraźnego spadku wiarygodności krajowych środków przekazu po ogłoszeniu stanu wojennego, taka ocena wypadłaby nieco korzystniej.

Na marginesie tych badań warto odnotować znamieny paradoks, który można byłoby nazwać „paradoksem *Gazety Krakowskiej*”. Otóż w tymże 1981 roku tylko w jednym jedynym województwie krakowskim ocena wiarygodności prasy dzięki znakomitej i prawdopodobnej ówczesnej *Gazecie Krakowskiej* była minimalnie wyższa niż ocena wiarygodności pism i biuletynów „Solidarności”, a jednocześnie w tymże województwie wyjątkowo niski był stopień korzystania z polskojęzycznych rozgłosni zachodnich. Paradoks ten ilustruje inne obiegowe polskie mniemanie, że „łatwiej się ufa swoim, niż obcym”. Jednocześnie pokazuje drogę umożliwiającą znaczne ograniczenie wpływów tych rozgłosni nawet w środowisku o takich tradycjach konserwatywnych i antykomunistycznych jak Kraków. Wiemy wszyscy, że władze PRL poszły akurat drogą zupełnie przeciwną.

Po tych wszystkich uwagach widać wyraźnie, że autor podejmujący niniejszy temat może oprzeć się tylko na własnym rozeznananiu i opinii zaufanych osób, stale słuchających polskojęzycznych rozgłosni zachodnich, w tym koniecznie również zawodowych dziennikarzy. Tak też uczyniłem. Dla sformułowania na podstawie tych opinii oceny merytorycznej przyjąłem, że słuchacz polski interesuje się sytuacją swojego kraju na tle sytuacji światowej i pragnie w audycjach nadawanych z zagranicy znaleźć to, czego mu nie dostarcza oceniana propaganda rządowa. Takie kryterium oceny merytorycznej jest już subiektywne, ale innej rady nie ma, skoro niżej podpisany nie dysponuje ośrodkiem badawczym z zespołem ankietatorów. Tak sformułowane kryterium jest też ze swej istoty „polonocentryczne” i sprowadza na margines liczne zapewne zainteresowania specjalistyczne (o jednym z nich — zainteresowaniu życiem w RFN — była tu przykładowo

mowa). Jestem jednak przekonany, że zdecydowana większość słuchaczy jest „polonocentryczna” właśnie w sensie takim, jak to sformułowałem wyżej, bowiem ocenia wypadki w świecie z punktu widzenia Polski i jej interesów — takiej właśnie oczekując informacji i komentarza.

Tedy, zdając sobie sprawę ze wszystkich ograniczeń i subiektywizmów, mogę przystąpić do próby szczegółowej oceny, formułując ją w powszechnie przyjętej skali szkolnych stopni i opatrując dalej komentarzem dotyczącym już poszczególnych rozgłośni.

Rozgłośnia	Ocena słyszalności	Uwagi o zagłuszaniu	Ocena merytoryczna
BBC	4 —	sporadyczne	5 —
France Intern.	3 +	sporadyczne	4
Głos Ameryki	5	brak	2 +
Radio Niem.	5 —	brak	3
Wolna Europa	3 —	stałe	3 +

Pozostaje komentarz do oceny poszczególnych rozgłośni.

BBC — Londyn

Dość dobra słyszalność przede wszystkim dzięki stacji średniofalowej, ustępującej jednak znakomitej stacji średniofalowej „Głosu Ameryki”. Zdarzają się dni, kiedy na skutek złego rozchodzenia się fal, zakłóceń przemysłowych a zwłaszcza interferencji z sąsiednimi radiostacjami (dokuczliwa jest tu silna radiostacja nadająca po bułgarsku) słuchanie BBC na tej fali jest utrudnione. Zagłuszane są czasem stacje krótkofalowe, lecz brzęczyk jest zwykle słaby, bardziej dają się we znaki inne przeszkody (zaniki, interferencje, zakłady przemysłowe).

BBC nadaje duży blok wieczorny w dobrych godzinach 21.30 do 23.15, dobrze zaplanowany o zapowiedzianym zawczasu — jednak zbyt ogólnikowo — układzie. Jasna zapowiedź programu przed audycją jest dla słuchacza bardzo ważna, ponieważ zwykle nie ma on czasu i ochoty na wysłuchiwanie całego bloku, a chce wiedzieć, kiedy mniej więcej może oczekiwać interesującego go komentarza. Dlatego np. stosowana przez BBC zapowiedź typu „depeze naszych korespondentów” albo „świat w oczach publicystów” bez precyzowania o co i o jaki temat chodzi jest absolutnie niewystarczająca. To samo dotyczy zresztą innych rozgłośni, które grzeszą podobną, bądź jeszcze większą (Głos Ameryki!) ogólnikowością zapowiedzi, a nawet ich brakiem.

Zasadniczą zaletą BBC (co wynika zresztą z jej statutu) jest fakt, że nie stanowi ona bezpośredniej „tuby rządowej”, lecz jest publiczną, finansowaną przez rząd, lecz rządowi nie podlegającą agencją, służącą swobodnej wymianie informacji. Stąd słuchacz otrzymuje tu zdecydowanie najlepszy i najpełniejszy zestaw informacji i komentarzy dotyczących całokształtu wydarzeń światowych. BBC patrzy na sprawy światowe, nawet bardzo dramatyczne, „z wysoka”, z olimpijskim spokojem, szeroko. Komentarze są zawsze na wysokim poziomie, kompetentne, trafne. Bardzo mocną stroną BBC są dyskusje, gdzie rzeczywiście dochodzi do starcia różnych poglądów, publicznego sporu racji (inaczej przecież nie ma sensu sięgać po taką formę publicystyczną). Ow „olimpijski spokój” i nastawienie na sprawy całego świata pociągają jednak za sobą pewne ograniczenie, czasem dla Polaka dotkliwie: sprawy polskie pojawiają się w BBC o tyle, o ile pojawiają się one w światowych serwisach informacyjnych, o ile Polska jest obecna w światowej prasie. BBC nie jest „polonocentryczne”, czego polski słuchacz — nawet najbardziej wyrobiony i zainteresowany ogólnoswiatowym kontekstem — oczekuje. Stąd minus w ocenie merytorycznej. Sądzę, że nie naruszając statutu, statusu i chwalebnej tradycji BBC można by wzbogacić jej program o stałą audycję, omawiającą (oczywiście z tym samym „olimpijskim spokojem” i obiektywizmem stanowiącym specjalność firmy) najważniejsze teksty i tematy pojawiające się w polskiej prasie emigracyjnej i podziemnej. Tego bowiem bardzo istotnego dla słuchacza z Polski wątku prawie nie ma w BBC. Słuchając jej programu byłoby się wówczas całkowicie zorientowanym we wszystkim, co dla Polski i świata ważne, można byłoby wręcz darować sobie słuchanie innych rozgłośni.

France Internationale — Paryż

Rozgłośnia nadająca krótkie programy po polsku — najdłuższy blok to niespełna pół godziny w dobrym czasie ok. godz. 22.00. Radiostacje wyłącznie krótkofalowe, prawie nie zagłuszane, jednak nie najmocniejsze i ulegające zwykłemu na tym zakresie fal zakłócaniom i kaprysom jonosfery.

Zasadniczym walorem merytorycznym są znakomite umiejętności redakcyjne zespołu, potrafiającego w niezmiernie krótkim czasie zmieścić maksimum wiadomości i komentarzy podanych z istic francuską błyskotliwością, inteligencją i dowcipem. Można też powiedzieć, iż panuje tu duch warszawskiego „programu III” z jego najlepszego i dawno minionego okresu. Nie wiem dokładnie, jaki jest status rozgłośni, ale wyraźnie nie usiłuje ona odgrywać roli „tuby”, nie uważa rządu francuskiego za wyrocznie, nie poświęca (podobnie jak BBC) zbyt wiele czasu na popularyzację samej Francji. Jest to radio bardziej „polonocentryczne” niż BBC, wyraźnie zorientowane na sprawy polskie. Reasumując, jest to znakomicie redagowane „radio dla zajętych”, pigułka in-

formacyjna dla ludzi, którym brak czasu nie pozwala na dłuższe słuchanie.

Ocenę merytoryczną obniżają zdarzające się bardzo rzadko (ale słuchacz pamięta i nie wybacza) potknięcia informacyjne, wynikające z korzystania z niepewnych bądź nie całkiem sprawdzonych źródeł.

Głos Ameryki — Waszyngton

Gdy wszystkie polskojęzyczne radiostacje zachodnie są niesłyszalne na skutek wyjątkowo niekorzystnych warunków rozchodzenia się fal radiowych, zagłuszenia, zakłóceń bądź po prostu braku zakresów krótkofalowych w odbiorniku, wówczas zawsze pozostaje niezawodny Waszyngton, słyszalny od godz. 20.00 aż do 1.00 w nocy na fali średniej (z wyjątkiem godziny między 21.00 a 22.00, kiedy czynne są tylko stacje krótkofalowe) nie gorzej niż stacje nadające z terytorium PRL. I to jest najważniejsza, lecz niestety jedyna zaleta „Głosu Ameryki”: można go słuchać w każdych warunkach, na byle jakim odbiorniku, byle gdzie.

Cztery godziny (a właściwie pięć, bo ostatnia przed północą jest powtarzana po północy) nieprzerwanego programu każdego wieczoru, to wielki i możliwy do mądrego zagospodarowania szmat czasu. Zwłaszcza, że wspiera się to wszystko na znakomitej słyszalności nie tylko stacji średniofalowej, bo i krótkofalowej wyróżniają się wielką siłą i czystością odbioru. Niestety z zagospodarowaniem jest bardzo źle, stąd najniższa, bliska niedostatecznej ocena merytoryczna. Zasadniczą wadą „Głosu Ameryki” jest eksponowana przy każdej okazji rola „tuby rządowej” i zaprzety w sprawie amerykańskiej, często zupełnie nie obchodzące polskiego słuchacza. Dziennikarstwo tej rozgłośni jest marne, nudne, pozbawione inwencji, oficjalne. Przeważają tasiemcowe komentarze „odzwierciedlające stanowisko rządu amerykańskiego” albo też tłumaczenia artykułów z prasy amerykańskiej, dobierane bez znajomości zainteresowań polskiego słuchacza, a często bez znajomości spraw polskich (np. artykuły o „sprawach polskich” zawierające zasób wiedzy albo bardzo znikomy, albo wręcz żenujący, co nieraz zdarza się zagranicznym dziennikarzom, ale co powinno eliminować takie teksty z listy lektur radiowych). Serwis informacyjny w dzienniku jest solidny, ale nieraz (słuchacz też to pamięta i nie wybacza) opóźniony w stosunku do innych rozgłośni. W efekcie słuchacz nie dowiaduje się wiele o USA ponad to, co wie z innych źródeł, ani nie zyskuje istotniejszej orientacji w sprawach światowych, ani (wyjąwszy informacje dziennika) nie jest wprowadzony w to, co poza cenzurą można rzetelnie powiedzieć o Polsce. Bloki programowe pozbawione są często porządnej zapowiedzi, nie wiadomo co w nich będzie, a na słuchanie całości ktośby miał chęć?

W sumie: stracony czas, marnowane znakomite środki techniczne.

Radio Niemieckie — Kolonia

Przypuszczam, że ta rozgłośnia ma najmniej słuchaczy, wyjąwszy osoby w jakiś sposób związane z RFN lub interesujące się życiem w Niemczech Zachodnich. Rozgłośnia dobrze słyszalna wyłącznie na falach krótkich. Audycje niedługie, podobnie jak Radio France Internationale, lecz bez tamtej inteligencji i polotu. Krótki, dobrze przygotowany serwis informacyjny i potem jak najwięcej miejsca na popularyzację Niemiec, problematykę niemiecką, życie w Niemczech itp. W sumie: margines z wyjątkiem pewnie Śląska.

Wolna Europa

Ulubiony cel wszelkiego rodzaju zagłuszarek. Przy słabej mocy radiostacji krótkofalowych całkowicie uniemożliwia to słuchanie w pasmach 49, 41, 31 i częściowo 25 m. W tych trzech pierwszych pasmach bardzo rzadko udawało mi się zrozumieć cokolwiek z nadawanych audycji. W paśmie 25 m tylko przeciętnie raz na trzy dni zagłuszanie było poniżej uporczywej dokuczliwości. Pozostają pasma najkrótsze, gdzie zagłuszanie jest zdecydowanie najsłabsze, jednak nie występują te pasma we wszystkich spotykanych w Polsce odbiornikach. Ostatnio zresztą (wrzesień 1985) Wolna Europa nie wiadomo dlaczego ograniczyła nadawanie na falach najkrótszych i nawet pasmo 19 m milknie o godzinie 23.00, akurat przed główną audycją polityczną. Pasmo 75 m ma znaczenie marginesowe, bowiem mało jest odbiorników (niektóre sowieckie i najdroższe zachodnie) z wbudowanym tym pasmem, a poza tym dawno minęły czasy, kiedy było to pasmo niezagłuszane. O radiostacji średniofalowej można zapomnieć i to nawet nie ze względu na zagłuszanie, ale fatalnie słabą moc. Praktycznie tylko czasami w północnej i zachodniej Polsce udawało mi się ją odebrać ze słyszalnością umożliwiającą zrozumienie audycji. Przed 10-15 laty było to możliwe w całym kraju, ale od tego czasu znacznie wzrosła zarówno moc sąsiednich radiostacji, jak też ogólny poziom zakłóceń; Wolna Europa stoi jednak technicznie w miejscu, a może nawet się cofa. Gdyby to ode mnie zależało, dokonałbym wymiany nadajników pomiędzy tą rozgłośnią a Głosem Ameryki; obie są finansowane przez rząd USA, a pożytek (także dla Ameryki) ze słyszalności Wolnej Europy byłby znacznie większy. Dziś spora część pracy jej redaktorów i techników po prostu się marnuje.

Ocena merytoryczna tej rozgłośni nie jest łatwa, choć na pewno wyższa niż Głosu Ameryki. Zasadniczą zaletą Wolnej Europy jest wyraźny i otwarcie deklarowany „polonocentryzm”, skupienie uwagi na sprawach polskich. Nie jest bezpośrednią „tubą”, nie musi nikogo propagować, jest najbliższa temu, co Polak mógłby z sympatią określić jako „radio Solidarności”. Go-

rzej jednak z realizacją. Główną wadą Wolnej Europy jest słabe i dość monotonne dziennikarstwo. Rozgłośnia ta nadaje właściwie przez cały dzień, ma do dyspozycji najwięcej czasu antenowego we wszelkich porach, lecz czas ten wyjątkowo rozrzutnie marnuje, nie tylko przez fatalną słyszalność, ale też przez sztapowe, nietrafne dziennikarstwo. Podział tego czasu na godzinne bloki powtarzane 2-3-krotnie w ciągu dnia nie budzi zastrzeżeń: ludzie pracują w różnych porach i w różnych porach zmieniają się warunki słyszalności. Postulatem dla Wolnej Europy nie powinna być rozbudowa programu, lecz podniesienie jego poziomu i atrakcyjności. No i jako warunek niezbędny — większa moc stacji, zwłaszcza średniofalowej.

Najstäbszym elementem tego programu jest komentarz polityczny, skupiony głównie w takich audycjach jak „Fakty, wydarzenia, opinie” (główna audycja polityczna) czy „Panorama dnia”. Obawiam się, że w Monachium dominuje wygodnictwo i zadufanie, prowadzące do powtarzania w komentarzach wciąż tych samych ogólników, przez co pozostają jedynie „opinie”, zaś „fakty i wydarzenia” jakby się ulatniają. Wzorem może tu być kompetentny komentarz BBC, gdzie widać dobre przygotowanie dziennikarza, oparcie się na dokumentacji, wiedzy o innych podobnych wydarzeniach itp. Tutaj przeważa zaś wieczne miedlenie tych samych, od dawna znanych ocen. To samo można powiedzieć o dyskusjach, gdzie — w przeciwieństwie do dyskusji BBC — wszyscy zwykle są ze sobą zgodni. Wolna Europa czyta dużo tekstów z prasy podziemnej, emigracyjnej, a nawet wydawanej oficjalnie prasy katolickiej. Czyta też niektóre książki wydane poza zasięgiem cenzury. Jest to słuszne przy tych rozmiarach programu, daje bowiem słuchaczowi szansę zapoznania się z tekstami o małych nakładach i trudno dostępnymi. Za niecelowe uważam tylko czytanie tekstów z krajowej prasy katolickiej, chyba że zostały zdjęte przez cenzurę lub gdy są to teksty wyjątkowo ważne. Wystarczy, że się je skomentuje i omówi, w końcu każdy może je znaleźć w oficjalnej bibliotece. Zastrzeżenia mam jednak do doboru książek, a zwłaszcza tekstów z prasy niezależnej, gdzie dominuje przypadkowość na zasadzie „co wpadnie w rękę”. Doradzam rezygnację z czytania tekstów mało ważnych, powtarzających opinie i fakty od dawna znane lub o znaczeniu lokalnym. Prosi się też zapowiadanie czytania bardziej znaczących tekstów nie tylko bezpośrednio przed audycją, ale parę dni wcześniej, by słuchacz nastawił odbiornik we właściwej porze. Jeszcze raz podkreślam: zapowiedź programowa, zwłaszcza zapowiedź rzeczy ważnych, jest absolutnie niedoceniana przez redaktorów tych rozgłośni, nie tylko Wolnej Europy. Słuchacz jest traktowany jak osoba o nieograniczonej ilości wolnego czasu, słuchająca codziennie pełnych bloków programowych „jak leci”. A przecież prócz nie mających niczego innego do roboty emerytów, ludzi przykutych do łóżka lub fotelu — nie ma takich słuchaczy.

Na tle oklepanej szarzyzny komentarzy Wolnej Europy wyróżniają się korzystnie komentarze Jacka Kalabińskiego dotyczące polityki zagranicznej, zwłaszcza amerykańskiej. Dobre są takie

audycje jak „Droga przez wieś” Świeykowskiego (bardzo trudno zyskać zaufanie chłopów), czy „Radiowy Tygodnik Młodych” Załuskiego. W ostatnich czasach pojawiła się dobra audycja „Polska jaka może być”, zastępująca częściowo krytykowane tu czytanie tekstów z prasy niezależnej „jak leci”. Także w „Faktach, wydarzeniach, opiniach” widać ostatnio tendencję do eksponowania młodszego garnituru Wolnej Europy. Nie zawsze przynosi to zachęcające rezultaty, tej akurat rozgłośni bardzo brak dobrych komentatorów spraw krajowych. Pokazujący się ostatnio w tej roli Danuta Pacyńska i Jacek Kaczmarski — rozzaczarowują. Zwłaszcza ten ostatni jest naprawdę znakomity, ale wówczas gdy śpiewa, więc lepiej, by pozostał w tej roli. Objęcie przez Zdzisława Najdera kierownictwa Sekcji Polskiej tej rozgłośni łączono powszechnie z oczekiwaniem wielkich zmian w dość zapyziałej, lecz dzięki swemu ukierunkowaniu na sprawy polskie bardzo ważnej placówce. Pewne zmiany nastąpiły, po czym ich impet został wyhamowany i nastąpił wyraźny regres. Pozostaje mieć nadzieję, że nastąpią jakieś konsekwentne porządki, które pozwolą na sensowne i korzystne dla Polaków spożytkowanie jedynej rozgłośni nadającej wolne słowo po polsku przez cały dzień.

Jednakże bez poprawy techniki żadne zmiany merytoryczne czy personalne nie znajdują drogi do słuchaczy.

Na zakończenie pozostaje ważna uwaga dotycząca wszystkich rozgłośni. Otóż mile zadziwia dobra polszczyzna ich autorów i lektorów. W zasadzie wszystkich bez wyjątku, i tych ze starej, i tych z najnowszej emigracji.

Jan MARCIN

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

STEFAN HEYM

„COLLIN”

Str. ca. 260

ca. 25,— DM

Jedna z najświetniejszych powieści odsłaniających kulisy życia nomenklatury Niemiec Wschodnich. Do dziś na indeksie w krajach bloku wschodniego. Pierwsze wydanie w języku polskim.

Do nabycia w księgarniach polskich na Zachodzie, lub bezpośrednio u wydawcy:

Veto Verlag Berlin, Richard-Wagner-Str. 39,

D-1000 Berlin 100



Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Sowieccy przywódcy, pisarze, muzycy, reżyserzy filmowi i przodujący kołchoźnicy obowiązkowo wspominają w swych wystąpieniach (rzadziej — raz, częściej — kilkakrotnie) „kwietniowe plenum”. Mają na myśli plenum KC KPZS sprzed dokładnie roku, z kwietnia 1985, na którym nowy generalny sekretarz wyłożył swój program. „Kwietniowe plenum” stało się historyczną datą, początkiem nowej rachuby dziejów. Zakończony w marcu 1986 Zjazd partii podsumował pierwszy rok nowej władzy oraz uchwalił, jak obecnie się mówi, „decyzje strategiczne”.

Lektura dzisiejszej prasy sowieckiej powinna ludziom w średnim wieku sprawiać wielką przyjemność: gazety, czasopisma, radio i telewizja przenoszą ich trzydzieści lat wstecz. Można by bez żadnych zmian przedrukowywać teksty z 1956 roku. Niektóre wystąpienia zjazdowe sprawiały wrażenie, jakby ich autorzy dosłownie cytowali przemówienia swych poprzedników sprzed trzydziestu lat. Pierwszy sekretarz moskiewskiego komitetu partii, Borys Jelcyn, który szczególnie ostro krytykował „błędne metody” poprzedniego kierownictwa, zadał sam sobie pytanie: „Delegaci gotowi mnie spytać, dlaczego nie mówiłem o tym na XXVI Zjeździe. No cóż. Odpowiem, że widać nie starczyło mi wtedy odwagi i doświadczenia politycznego”. Dokładnie taki dialog ze sobą i delegatami na Zjazd prowadził Chruszczow w 1956 roku.

Dwa pytania, które przewijały się przez literaturę rosyjską XIX wieku, powracają dziś bezustannie: kto winien? Co robić? Trzydzieści lat temu też o to pytano, tyle że wówczas odpowiedź była łatwa: winien był Stalin, który miał zły charakter, na co już zwrócił uwagę Lenin, tylko go nie wiedzieć czemu nie postuchano. Również na pytanie „co robić?” łatwo było odpowiedzieć: „przezwyciężyć skutki kultu jednostki” i wszystko będzie dobrze. Dziś winien jest Breżniew. Ambasador sowiecki w Paryżu tak właśnie powiedział dziennikarzom: straciliśmy piętnaście lat. Winien temu Breżniew i niektórzy jego towarzysze, winne „mi-

nisterstwa”. W jednym z najciekawszych wystąpień zjazdowych, mianowicie w przemówieniu pierwszego sekretarza omskiego obwodowego komitetu partii, Siergieja Maniakina, wina została napiętnowana bez litości: „Historia nie wybaczy ministerstwu, że dopuściły do opóźnienia tempa wzrostu rozwoju ekonomicznego kraju”. Po tym oskarżeniu, zadziwiającym w kraju, w którym totalną władzę sprawują nie ministerstwa a partia, nastąpił taki oto dialog.

M. Gorbaczow: — Siergieju Josifowiczu, historia może nie wybaczy, ale my wybaczymy.

S. Maniakin: — Długo się zastanawiałem, jak to powiedzieć, ale zdałem się na historię.

M. Gorbaczow: — Piętnaście lat się przypatrujemy.
(Oklaski).

Gorbaczow przez piętnaście lat przypatrywał się w milczeniu, z perspektywy najwyższych stanowisk partyjnych, aż wreszcie przemówił. Nazwał winnego: nie jest nim ani partia, ani on. Tak samo uważał Chruszczow w 1956 roku.

Sześćdziesiąt lat temu bohater doskonałej komedii Nikołaja Erdmana „Samobójca”, który postanowił skończyć ze sobą i natychmiast przestał się bać, prosi władzę: „...Pozwólcie nam mówić, że nam ciężko żyć. No choćby szeptem — nam ciężko żyć. Towarzysze, proszę Was w imieniu milionów: pozwólcie nam szeptać. Zajęci budownictwem nawet tego nie usłyszycie”.

Ludziom pozwolono szeptać. Pisarze, którzy skorzystali z tego prawa wyznają: „Nam ciężko żyć”. W czasopiśmie *Oktiabr* (nr 1/1986) ukazała się powieść Wiktora Astafiewa „Smutny detektyw”. Po „Pożarze” Walentina Rasputina, opublikowanym w ubiegłym roku, powieść Astafiewa można uważać za najostrejszy wizerunek dzisiejszego życia w ZSSR. Podobnie jak u Rasputina, akcja „Smutnego detektywa” toczy się na Syberii. Rasputin opisał życie mieszkańców małej osady. Astafiew opisuje mieszkańców niewielkiego miasta — Wiejska. Głównym bohaterem „Smutnego detektywa” jest milicjant, detektyw Leonid Somnin. Jego oczami oglądamy koszarne życie dzisiejszych sowieckich ludzi. Koszarne — trudno o inne określenie. Okropne jest nie to, że życie jest ciężkie, że nie można dostać tego i owego. Straszne jest co innego: że zatarła się granica między światem przestępczym a światem nie przestępczym. Rozpadły się wszelkie normy etyczne, moralne i ludzkie. Miasteczko, które prawie piętnaście lat temu opisał Orłowski w „Cudownej melinie” wydaje się rajskim zakątkiem w porównaniu z Wiejskiem. Co prawda i w Polsce wygląda dziś inaczej, nie ulega jednak wątpliwości, że Związek Sowiecki — jak przystało przodującemu państwu socjalistycznemu — wybił się na czoło, jeśli chodzi o odczłowieczenie.

Zestawienie polskiego socjalizmu z sowieckim narzuca się i przy lekturze innej, niedawno wydanej książki pióra sowieckiego autora. Tym razem żyjący w ZSSR pisarz wolał zachować incognito i podpisał się pseudonimem W. Sorokin. Książka nosi tytuł

„Kolejka” (wyd. Syntaxis, Paryż) i napisana została wyraźnie pod wpływem „Kompleksu polskiego” Tadeusza Konwickiego. W każdym razie w obu książkach miejscem, bohaterem i przedmiotem akcji jest kolejka do sklepu. Tyle że sowiecka kolejka jest o trzydzieści lat starsza od polskiej, i oto widzimy, że towarzysz Stalin miał rację, mówiąc, że ilość przechodzi w jakość. „Kolejka” Sorokina składa się z samych dialogów: stojący, opuszczający kolejkę i doszlusowujący do niej ludzie rozmawiają o życiu, o towarze, który sprzedają (aż do końca książki nikt nie wie, za czym stoi), o tym, jak długo przyjdzie postać. Sorokin wybrał idealną metaforę dla sowieckiego życia: kolejka jest doskonałym ucieleśnieniem sowieckiego kolektywu. Ludzie stoją, czekają, denerwują się kiedy ktoś się wciska poza kolejnością, znowu cierpliwie czekają, czekają, czekają... Kolejka wsuwa się w bramy, aby nie tamować ruchu ulicznego, wchodzi do stołówki, gdzie na stojąco pokrzepia się przed dalszym stanieniem, nocuje na ulicy, żeby nie stracić miejsca w kolejce przed otwarciem sklepu. Ludzie nawiązują znajomości, przyjaźnie, romanse. Mówiąc słowami innego klasyka, kolejka stanowi opium dla ludu: czekanie stało się sensem życia. Sorokin opisuje stado pokornych ludzi, czekających jak manny z nieba, aż cokolwiek „rzucą”. Drepcący w miejscu kolejkowicze pamiętają tylko jedno: za Stalina był porządek!

„Kolejka” i „Smutny detektyw” nawzajem się uzupełniają i potwierdzają, z tą tylko różnicą, że u Astafiewa rzeczywistość jest znacznie okrutniejsza, straszniejsza, bardziej nieludzka. Sorokin nie wspomina o nienawiści, która nieuchronnie rodzi się między ludźmi stojącymi w kolejce. Astafiew opisuje gotujące się w duszach ludzi sowieckich nienawiść i złość, które się wyrażają w niczym nieuzasadnionych mordach, w dzikich kłótniach, w niesłychanych gwałtach.

Astafiew też pyta, kto temu winien, i odpowiada: ludzie. Dlaczego ludzie doszli do tego stanu, nie chce powiedzieć. Zwróćmy uwagę, że zarówno w miasteczku Wiejsku jak w osiedlu opisanym przez Rasputina w „Pożarze” nie ma ani partii, ani jej przedstawicieli czy wyższych funkcjonariuszy. Podobnie jak Rasputin, Astafiew wiąże ostatnią nadzieję z istnieniem w strasznych sowieckich warunkach nielicznych sprawiedliwych. Sołżenicynowska Matriona powraca na stronie sowieckiej prozy rozliczeniowej jako promyk nadziei.

W tym być może tkwi najbardziej przekonywujący dowód wewnętrznej słabości, właściwej nawet najlepszym sowieckim książkom. „Pożar” i „Smutny detektyw” uderzają współczesnych sowieckich czytelników prawdziwością, wiernością szczegółów, brakiem nadziei. Jednak książki o wsi z lat 60-tych były niemniej straszne. Mowa w nich była nie tylko o katastrofalnym stanie rolnictwa, ale i o ludobójstwie chłopów w latach kolektywizacji. „Zagroda Matriony” powstała w 1960 roku, a opublikowana została w 1963. Pół wieku później sowieccy pisarze mogą za pozwoleniem partii tylko szeptać: „Nam ciężko żyć”. Najlepsi z nich dodają: żyć coraz trudniej.

Wewnętrzna słabość najlepszych sowieckich książek — a tylko o nich warto mówić — polega i na czym innym. Pisarz musi płacić za prawo do mówienia — choćby szeptem — że życie jest trudne. Wiktor Astafiew w styczniu tego roku — akurat w chwili kiedy ukazał się *Oktiabr* z jego powieścią — był w Polsce, uczestniczył w obradach „Światowego kongresu działaczy nauki i kultury na rzecz pokojowej przyszłości świata”, i w korespondencji na łamach *Literaturnoj gazety* (29 stycznia 1986) bezustannie przypominał o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad ludzkością: „Człowieczeństwo jest przyparte do muru... Nie uświadomiliśmy sobie jeszcze do końca... jakie nieszczęście zawisło nad ludzkością...” itd., itp. Nieszczęściem tym nie jest totalne zezwierżenie człowieka, które dostrzega we własnym kraju, ale „niebezpieczeństwo atomowe”. Dlatego też — kończy swój artykuł autor „Smutnego detektyna” — pragnę na zakończenie powiedzieć, że „z wszystkich wystąpień najbardziej ludzkie okazały się słowa M. Gorbaczowa z jego apelu do kongresu...”.

„Jak się to zaczęło? Skąd się wzięła ta podwójna moralność?” — pyta jedna z postaci najpopularniejszej dziś w Moskwie sztuki „Dyktatura sumienia”. Jej autor — Michaił Szatrow — jest mistrzem sowieckiego „teatru politycznego”, sowieckim Bertoldem Brechtem. W pół tuzinie swych sztuk Szatrow opisuje historię partii bolszewickiej od jej narodzin do śmierci Lenina. Głównym bohaterem jest wódz partii i rewolucji. Dramaturg przedstawia go jako wzór dla wszystkich sekretarzy generalnych. Przedostatnia sztuka Szatrowa — „Tak zwyciężymy!” — w której umierający Lenin uczy potomnych, jak wykorzystywać amerykańskich kapitalistów do budowy socjalizmu, bardzo się spodobała Breżniewowi, który przyprowadził na przedstawienie całe Biuro Polityczne. Ostatnia sztuka Szatrowa nosi w tytule nazwę nowej epoki: owszem, dyktatura, ale sumienia. Niemal dokładnie sto lat temu (w 1880 roku) politykę głównego doradcy Aleksandra II, hrabiego Łoris-Mielikowa, nazwano „dyktaturą serca”. Jak wiadomo, „dyktatura serca”, obiecująca reformy liberalne, przetrwała tylko jeden rok. Zmiotła ją zabójstwo Aleksandra II.

Michaił Szatrow pozwala bohaterom swych sztuk rozważać, dlaczego rewolucja się wynaturzyła. Na scenę wychodzi nawet Piotr Wierchowienki, czytający „projekt” Szigalewa. Dramaturg dostrzega dwa rodzaje rewolucji: w jednym, słusznym, rewolucji dokonują masy pod przewodnictwem wodzów, którzy jedyni znają prawa historii; w drugim, niesłusznym, rewolucję obejmują ludzie, chcący „przyspieszyć” bieg historii i zmusić ludzi do szczęścia. I w tej sztuce — której osi jest spór w redakcji gazety o to, czy można dziś przedrukować notatkę z *Prawdy* z 22 kwietnia 1920 roku — łatwo wykręć echa tematów, którymi zajmowała się literatura polska trzydzieści lat temu, na przykład „Obrona Grenady” Kazimierza Brandysa. W sztuce Szatrowa spór w redakcji kończy się tym, że redaktor postanawia nie przedrukować notatki. Autor recenzji (*Literaturnaja gazeta* z 2 kwietnia 1986) wyciąga z tego następujący wniosek: „Redaktor nie potrafi

się już zmienić. Notatkę wydrukujcie kto inny. Ten, który nadejdzie”.

W ten sposób wracamy do pytania, kto winien. Winny jest stary redaktor, winny stary generalny sekretarz. Piotr Stiepanowicz Wierchowienki, którego przywołuje na scenę Szatrow, przywiózł zza granicy wyrotowy wiersz pt. „Świetlana postać”. Między innymi mowa w nim o tym, że cały naród „od Smoleńska do Taszkienta niecierpliwie czeka na studenta”. Równie niecierpliwie czekali w Moskwie na „świetlaną postać” nowego generalnego sekretarza.

„Nowy” nadszedł i lud czeka wskazówek, co robić. Posunięcia nowej „świetlanej postaci” można podzielić na trzy grupy. Pierwszą z nich można by — posługując się tytułem artykułu z *Prawdy* (13 grudnia 1986) — nazwać oczyszczeniem. W przekładzie na polski powiedzielibyśmy — sanacja. Artykuł w *Prawdzie* był przeglądem listów czytelników, skarżących się na demoralizację członków partii. W jednym z nich stary bolszewik domagał się „przywroćenia w naszej partii zasady okresowych czystek”. Inny czytelnik stwierdzał, że „partyjni, państwowi, związkowi, gospodarczy i nawet komsomolscy przywódcy niekiedy obiektywnie pogłębiają nierówności społeczne, korzystając z rozmaitego typu specjalnych stołówek, specjalnych sklepów, specjalnych klinik itp.”.

„Odpowiedzialni towarzysze” powoływali się na Zjeździe partii na ten artykuł. Główny ideolog Jegor Ligaczow wyraził nawet niezadowolenie z artykułu, który wydał mu się zanadto krytyczny. Borys Jelcyń przyznał, że „szczególnie bolesne jest mówienie bez ogródek o specjalnych przywilejach przywódców”: „Uważam, że tam, gdzie przywileje przywódców wszelkich szczebli są nieuzasadnione, należy je znieść”. Pytanie tylko, kto ma oceniać, czy przywileje są uzasadnione, czy nie. Na ten temat sekretarz moskiewskiej organizacji partyjnej się nie wypowiedział. Zjazd postanowił także nie przeprowadzać czystki. Kierownictwo uznało, że dostatecznie nastraszyło tych, których autor jednego z listów do *Prawdy* nazwał „ospałą, nieruchawą i grząską warstwą partyjno-administracyjną”, „falującą między Komitetem Centralnym a klasą robotniczą”.

Podjęto środki administracyjne. Minister sprawiedliwości RFSSR Aleksander Suchariow oświadczył w wywiadzie dla *Newsweek* (24 marca 1986), że ZSSR będzie ostrzej walczył z korupcją, również w szeregach partyjnych. Dawniej za łapówki dawano osiem do dziesięciu lat łagrów, teraz będą dawać trzynaście. Przede wszystkim jednak, podkreślił Suchariow, powstał system „kontroli ludowej”! Dziesięć milionów „kontrolerów ludowych” ma za zadanie śledzić kierownictwo.

Druga grupa działań pierwszego roku ery Gorbaczowa dotyczy zwiększenia skuteczności propagandy. Cyrkownicy w takich wypadkach używają określenia „sprzedać numer”, tzn. nadać jak najefektywniejszą formę staremu, wyświechtanemu występowi. Do tej grupy działań należy zaliczyć zezwolenie na mówienie — szepsem — o problemach, których waga jest od dawna powszech-

nie znana, apele o „jawność”, „sanację” itp. Nowe kierownictwo przypisuje dużą wagę wykorzystywaniu zachodnich środków informacji. Sam Gorbaczow udziela wywiadów każdemu, kto go o to poprosi. Inni sprawdzeni obywatele sowieccy — od Jewtuszenki po Aleksandra Suchariowa — udzielają wywiadów zachodniej prasie, radio i telewizji. Zadaniem tych „nieskrępowanych” wypowiedzi jest nie tylko wpływanie na zachodnią opinię publiczną, ale i wpływanie na obywateli sowieckich za pośrednictwem „głósów” (tak nazywa się radio „Swoboda”, „Głos Ameryki” i inne zachodnie radiostacje). Dezinformacja wraca do Związku Sowieckiego jako informacja, skoro została zaaprobowana przez „wrogi głos”.

Przykładem obróbki zachodniej opinii publicznej może być wywiad z dyrektorem Instytutu Naukowego Ateizmu, ogłoszony w piśmie *Famiglia Cristiana* (nr 8/1986). Vincenzo Maddaloni, nazywający swego rozmówcę „Ratzingerem ateistycznej ortodoksji”, cytuje jako motto wywiadu słowa swego rozmówcy: „Owszem, w Rosji ludzie się modlą, i jest to nasza, komunistów, wina”; w ten sposób Czytelnicy z góry wiedzą, że przeczytają „szczerą rozmowę ateisty z katolickim dziennikarzem”. Lektura tekstu pozwala wyłowić techniczne szczegóły dezinformacji. Przede wszystkim włoski dziennikarz nazywa swego rozmówcę nie wiedzieć czemu Gorodash, choć tamten nazywa się Gardża. Prawdopodobnie wynika to nie z faktu, że ateista chce się ukryć za pseudonimem, a ze zwykłej niechlujności zachodnich dziennikarzy w pisowni obcych nazwisk. Po drugie — i tu już wyraźnie widać rękę ateisty — dziennikarz oznajmia, że rozmawia z profesorem Wiktorem Iwanowiczem Gardashem (czyli Gardżą), dyrektorem Instytutu Naukowego Ateizmu Akademii Nauk. To nieprawda. Gardża jest dyrektorem Instytutu Ateizmu Naukowego przy Akademii Nauk Społecznych KC KPZS. Różnica jest wielka — Akademia Nauk także jest sowiecką instytucją — ale przecież istnieje i należało ją podkreślić.

Główna dezinformacja polega na tym, że stwierdzenie naukowego ateisty, iż świadomość religijna nie została jeszcze w ZSSR wykorzeniona — co już dawno uznano w Związku Sowieckim za pewnik — przedstawione jest jak rewelacja, jak odkrycie dokonane w chwili olśnienia. Włoski dziennikarz podkreśla, że to, co jemu wydaje się dowodem siły religii, wiary w Boga, dyrektor instytutu ateizmu naukowego przedstawia jako strategię w wojnie z Cerkwią. Profesor Gardża jest przekonany, że za pięćdziesiąt czy za sto lat ateizm zwycięży. A na razie Cerkiew musi współpracować z socjalizmem. Na pytanie, czy Papież będzie mógł odwiedzić ZSSR w 1988 roku, na tysiącletnie urodzin Cyryla i Metodego, prof. Gardża wielkodusznie odpowiedział: decyzja należy do kierownictwa ZSSR, jednak z mojego punktu widzenia — czemużby nie? Tym bardziej, że w posłaniu Jana Pawła II naukowy ateista odkrył prawdziwie sowieckie hasła: walka o wolność człowieka, walka o pokój. Na pytanie o sytuację w Polsce prof. Gardża odpowiedział, że wydarzenia w Polsce pozwalają „naukowym ateistom” wyciągnąć wniosek, że Kościół

katolicki w państwie socjalistycznym musi współpracować z władzami. Władza płaci za współpracę pozwoleniem na budowę nowych kościołów, na zwiększenie nakładów prasy katolickiej. Kościół ze swej strony też powinien płacić.

Trzecia grupa działań nowego generalnego sekretarza dotyczy polityki rolnej. W marcu KC KPZS i Rada Ministrów podjęły uchwałę o ładnym i mało zrozumiałym tytule „O dalsze udoskonalanie gospodarczego mechanizmu zarządzania w kompleksie rolniczo-przemysłowym kraju”. Chodzi o surogat reformy polityki rolnej. Gazeta *Izwestia* (18 marca 1986) wspomina wręcz o „zastosowaniu we współczesnych warunkach leninowskiej idei podatku w naturze”. Artykuł redakcyjny *Prawdy* na ten sam temat (1 kwietnia 1986) o „leninowskiej idei” nie wspomina. W 1921 roku Lenin w ramach Nowej Polityki Ekonomicznej uznał, że trzeba koniecznie zamienić konfiskaty produktów rolnych na podatki: chłopom z góry ustalano wielkość dostaw, a resztę produkcji mogli zachować i sprzedawać na wolnym rynku. Marcowa uchwała wprowadza „leninowską zasadę” dla kołchozów i sowchozów. Zostaną im przedstawione „sztywne” roczne plany dostaw produktów. Plany te, obiecuje uchwała, „nie będą zmieniane”. Pozostałą produkcją kołchozy i sowchozy będą mogły dysponować „wedle swego uznania”, tzn. sprzedawać państwu po cenach państwowych, tyle tylko, że w zamian dostawać będą deficytowe towary, albo sprzedawać je na wolnym rynku.

Uchwała nie jest jasna, wielu rzeczy nie dopowiada. Nie zawiada niczego zasadniczo nowego w porównaniu z dawniejszymi uchwałami, poza obietnicą, że plany nie będą zmieniane. Fakt, że — jak podkreśla *Prawda* (1 kwietnia 1986) — „kontrolę (realizacji postanowienia) powierzono organom partii” dowodzi, że „reforma” jest złudna. W praktyce nic się nie zmieniło i nie zmieni. Jeden z mówców zadał na Zjeździe pytanie: „Ile razy można popełniać te same błędy, nie zważając na lekcje historii?”. Odpowiedź jest jasna: tyle razy, ile je można popełnić bez ryzyka utraty władzy. Dziś partia w ZSSR czuje się jeszcze całkiem bezpieczna.

Adam KRUCZEK

12 kwietnia 1986

Polski numer "Suczasnosti"

W coraz bardziej rozwijającej się wymianie myśli i opinii na emigracji polskiej i ukraińskiej na specjalne wyróżnienie zasługuje specjalny polskojęzyczny numer ukraińskiego miesięcznika, wychodzącego w Monachium pod tytułem *Suczasnist'* (Współczesność). Wypełniają go prace autorów polskich i ukraińskich, a także paru amerykańskich profesorów, interesujących się stosun-

kami polsko-ukraińskimi i w ogóle sprawami Europy Wschodniej. Zresztą ogromna większość piszących to profesorowie uniwersytetów amerykańskich i kanadyjskich, dwu narodowości słowiańskich. Jeden z nich wykłada ukrainistykę na uniwersytecie australijskim w Melbourne.

Zebrane prace można z grubsza podzielić na wypowiedzi zasadnicze i czysto sprawozdawcze. Z tych pierwszych wybija się na pierwszy plan otwierający numer artykuł Andrzeja Sulimy Kamińskiego. Jest on emigrantem stosunkowo świeżej daty, bo od roku 1969. Urodził się na kilka lat przed wojną, więc Polski Niepodległej pamiętać nie może. Wykłada na uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Już tytuł zaprezentowanego tekstu brzmi zaczepnie: „W kręgu moralnej i politycznej ślepoty: Ukraina i Ukraińcy w oczach Polaków”. „W ciągu ostatnich dziesięcioleci — brzmi początek artykułu — wzrasta na Emigracji zainteresowanie stosunkami polsko-ukraińskimi. Naukowe konferencje, organizowane przez uczonych obydwu narodów, rzucając światło na przeszłość, ułatwiają nam zrozumienie współcześnie wzajemnie poplątanych percepcji. Jednocześnie Ukraińcy i Polacy, badając swoją historię, starają się wydobywać momenty współpracy, które mogłyby być użyte w dniu dzisiejszym, jako symbole w obliczu wspólnego wroga. Istnienie tego wspólnego wroga wydaje się główną przyczyną skłaniającą obie strony do rozmów i wydobywania z przeszłości — nielicznych — kart braterstwa i skutecznego współdziałania. Choć większość starszego emigracyjnego pokolenia Ukraińców przeżyła nie sowiecki, lecz polski „raj” (Wołyń, Wschodnia Galicja) i reaguje emocjonalnie gorzej na Polaków, niż na Rosjan, to jednak, racjonalnie rzecz biorąc, nawet bardzo nacjonalistyczne ugrupowania rozumieją, że to nie Polska, lecz Związek Sowiecki jest teraz ich wrogiem numer jeden”.

W słusznym i mądrym artykule Kamińskiego nie brak jednak istotnych luk. Brak przede wszystkim wskazania na jedną z głównych przyczyn historycznej wrogości polsko-ukraińskiej: na różnicę religijną. Konflikt Bizancjum-Rzym odbił się fatalnym echem na stosunkach między dwoma narodami. Gdy hetman Wyhowskij dowiedział się od królewskiego posła, że na ziemiach ukraińskich ma być przywrócona unia religijna, zawołał w rozpacz: „Unię mi przywiozłeś, śmierć mi przynosisz!”. I tak było rzeczywiście. Wynikiem było barbarzyńskie zawołanie hajdamackie: „Żyd, Lach i sobaka — wira odinaka!”, czego znowu nie rozumiano w Warszawie ani w Krakowie. Śmierć w bitwie beresteckiej prawosławnego metropolity, zadana przez Polaków, stała się swoistym symbolem, także niezrozumianym. Gdy twórca Unii Hadziackiej, Niemiryca, zatłuczono na wiecu kijami, był to emocjonalny protest przeciw zawieraniu sojuszu z mocarstwem katolickim, „drugim rogiem rzymskiego diabła”, że przypomnę gratulacyjny list Olivera Cromwella do króla szwedzkiego.

„Zacznijmy od ważnego stwierdzenia — pisze Kamiński. — Nie odczuwam przyjemności z masochistycznego powtarzania *mea culpa*. Wprost przeciwnie, gdyż, porównując historię mej kultury, mego narodu i państwa do historii wielu innych narodów, od-

czuwać dumę, a nie wstyd, patrząc na pokolenia, które umiały bronić posiadanej, lub walczyć o straconą wolność. Co więcej, gdy dostrzegam w swojej historii błędy, słabości, czy zbrodnie, to nie znaczy, że nie widzę ich po drugiej stronie. Nim jednak z ukraińskiej przeszłości zacznę 'drzazgi' czy 'belki' wyjmować, chcę swą kulturę polityczną w miarę możliwości oczyścić".

Takie „oczyszczenie” powinno nastąpić po obu stronach. „W oczach Ukraińców — czytamy dalej — my, Polacy, jesteśmy zaborcą i okupantem”. Korzenie tego przeświadczenia sięgają daleko w głąb historii. Chwilą może najbardziej nadającą się do stałego porozumienia były lata bezpośrednie po pierwszej bitwie pod Chocimem, gdy armię turecką zmuszono do odwrotu wspólnymi, polsko-kozackimi siłami. Ale obietnice, złożone ówczesnie Konaszewiczowi-Sahajdacznemu nie zostały dotrzymane i po dwudziestu siedmiu latach nastąpiło wielkie powstanie Bohdana Chmielnickiego, które wstrząsnęło fundamentami Rzeczypospolitej, a w końcu wtrąciło Ukrainę w niewolę moskiewską, trwającą po dziś dzień. Wprawdzie doszło do Unii Hadziackiej, ale została ona zmarnowana przez obydwu kontrahentów. Wina była obopólna, a wszystkie inne późniejsze okazje także nie zostały wykorzystane.

Warto zastanowić się nad tym, co napisał Kamiński o przełomowym roku 1917. „Pamiętajmy, że pokolenia naszych Ojców i Dziadów przegapiły szansę zniszczenia wielowiekowego więzienia, daną im w momencie Wielkiej Październikowej zmiany warty więziennej. Wtedy to Zachodnia Ukraina (rząd Petruszewicza) musiała walczyć o prawo do samostanowienia z Polską i nie mogła rzucić swych armii na obronę Kijowa i Ukrainy Naddnieprzańskiej (rząd Petlury). Wtedy to byli współwięźniowie, mieszkający w Kijowie, Lwowie i Kownie, musieli podjąć walkę z polską racją stanu, polskimi prawami historycznymi czy też nawrotem niby do idei jagiellońskiej, zwącej się federalizmem”.

Otóż nie tylko my byliśmy „gapiami” w owej historycznej chwili. Główna przyczyna klęski znajdowała się nie we Lwowie, lecz gdzie indziej, mianowicie w naiwności socjalistów ukraińskich, którzy święcie wierzyli uroczystym zapewnieniom rewolucjonistów rosyjskich. Gdyby Kiereński, Milukow i Guczkow utrzymali się przy władzy, sytuacja być może uległaby zasadniczej zmianie. Ale gdy zaczęła się wojna o Lwów, rządu Kiereńskiego już dawno nie było. Bolszewickiego fałszu Ukraińcy nie rozgrzyśli i w tym tkwiła najważniejsza przyczyna zbliżającej się tragedii. Nawet gdyby wojna o Lwów skończyła się zwycięstwem Ukraińców, czerwona zaraza zmiotłaby tę niepodległość bez śladu. Nie próżno Trocki kazał swoim wysyłanym na Ukrainę agentom udawać zwolenników atamana Petlury.

Niestety, ma rację Kamiński, gdy w zakończeniu swego artykułu powiada: „Jakkolwiek nam trudno to przychodzi, jednak pamiętajmy, że dopóki nie rozliczymy się w naszej historii i w naszej kulturze ze stosunku do Ukrainy, dopóki nie przywrócimy ludności ukraińskiej zabranych im w czasie 'walk z bandami' wsi i cerkwi, dopóty nasza ręka, wyciągana do mieszkającego nad

Sanem i Dnieprem sąsiada, będzie zawisała w próżni”. Nieszczęście polega na tym, że na skutek wspomnień wojennych i kłamliwej propagandy reżymowej stosunek ludności polskiej do Ukraińców, wysiedlonych z ich odwiecznych sadyb na Ziemiach Odzyskane jest zdecydowanie nieprzychylny. Idzie to na karb polskość, a nie systemu komunistycznego. Obowiązek wyrównywania rachunków spada więc głównie na nasze emigracje.

Z kolei na uwagę zasługuje obszerny artykuł (27 stron) Józefa Darskiego pod tytułem „Kierunki polskiej polityki wschodniej”. O autorze dowiadujemy się z przypisów tylko tyle, że jest współpracownikiem nielegalnego czasopisma *Niepodległość*, więc zapewne pisze pod pseudonimem. Darskiemu chodziło, zgodnie z jego własnymi słowami, o „sprecyzowanie kierunków polityki zagranicznej, proponowanych przez ugrupowania lub ośrodki polityczne, działające w PRL po 13 grudnia. Publikacje wcześniejsze bądź materiały ogłoszone jedynie na Zachodzie nie zostały wzięte pod uwagę. Artykuł obejmuje okres do końca 1984 roku”. I dalej: „Zasadniczą linię podziału, wiodącą poprzez polskie ugrupowania opozycyjne, od lewicy do prawicy, wyznacza odpowiedź na pytanie o stosunek do ZSSR-Rosji. Nieprzypadkowo podział na zwolenników kompromisu w takiej lub innej formie, teraz z ZSSR lub z Rosją w przyszłości, oraz na organizacje, dążące do dezintegracji imperium, pokrywa się z podziałem na ugodowców i miłośników kompromisu oraz niepodległościowców. W takiej też kolejności zostaną przedstawione ich koncepcje”.

Ugodowcy stoją na stanowisku, że właściwymi naszymi sąsiadami od wschodu są Rosjanie, z którymi należy się dogadać i przekonać ich, że suwerenna Polska, przyjaźnie do Moskwy ustosunkowana, opłaci się o wiele bardziej, niż obecny stan kolonialnego uzależnienia. Jest to stare, wielokrotnie skompromitowane złudzenie: nikt nigdy nie dogadał się z żadną Rosją, ani z białą, carską, ani tym bardziej z sowiecką. Oportunistów i ugodowców nigdy w Polsce nie brakowało i nigdy niczego nie wskórali, oprócz — w poszczególnych wypadkach — pewnych korzyści osobistych. W stosunkach międzynarodowych do Rosji przemawia jedynie i wyłącznie siła, nigdy żadne uczucia. Darski cytuje swoje własne opinie, wyłożone w różnych okresach we wspomnianej *Niepodległości*. „Przed Rosją nie da się uciec — pisał Darski w styczniu 1983 roku — trzeba więc ją pokonać, ale jest to niewykonalne, dopóki Moskwa ma przeciw sobie poszczególne narody, nie zaś ich polityczną koalicję”. A pod adresem ugodowców w wakacyjnym numerze tejże *Niepodległości* (rok 1983): „Ograniczenie suwerenności w ramach bloku należy do pomysłów nierealistycznych i szkodliwych, natomiast stawianie takiego celu przed opozycją staje się przyczyną jej ideowej słabości, punktem wyjścia do błędnych ustępów do manowców ugody”.

Znamienne, że w przeciwieństwie do starej emigracji politycznej, która *nota bene* jest na wymarciu, w kraju nie dochodzą do głosu żadne dążenia rewindykacyjne w stosunku do granic wschodnich, Lwowa i Wilna. „Zasada trwałości obecnych granic uznana przez naród polski, białoruski i ukraiński, powinna stać

się platformą porozumienia dla całej Europy środkowo-wschodniej i dać początek nowemu etapowi walki o wolność i niepodległość naszego regionu". Wszyscy przyjeżdżający z kraju na Zachód potwierdzają bez żadnych zastrzeżeń tę opinię, zwalczaną przez niejedną ośrodek starej emigracji politycznej. Natomiast kraj uważa za nienaruszalną naszą granicę zachodnią. Ponadto Darski uważa, że okręg królewiecki w dawnych Prusach Wschodnich, przemianowany przez Moskwę na kaliningradzki, powinien zostać podzielony między Polskę i Litwę po uprzednim wysiedleńiu napływowej ludności rosyjskiej.

Wywiad Bohdana Strumińskiego z Romanem Łabą, Ukraińcem, posiadającym obywatelstwo amerykańskie, który zwiedził Polskę przed sześciu laty, przynosi wiele interesujących wiadomości o stosunku PRL do mniejszości narodowych, z ukraińską na czele, w okresie „Solidarności”. Na Zachodzie nic nie wiadano o tym, że reżym, zwalczając przed 13 grudnia „Solidarność”, rozpętał kampanię antysemicką. „Historia ta — mówi Roman Łaba — jest mało znana poza Polską. Syjonizm w tej propagandzie jawił się jako główny wróg Polski, a jego gniazdem miały być 'elementy żydowskie' w 'Solidarności'. Wiemy, że materiały instruktażowe dla partii i policji były nasycone treściami antysemickimi. Była to cicha kampania, niewidoczna dla przeciętnych ludzi. Tylko czasopisma były widoczne. Inną cichą robotą było zalewanie 'Solidarności' broszurami antysemickimi". Rewelacyjnie brzmiała informacja Łaby, że w policji znajdują się elementy przestępcze, między innymi także Ukraińcy.

Ostatnie słowa tego wywiadu tchną optymizmem: „Okres 'Solidarności' i stan wojenny zaktywizował pokolenie najmłodsze do trzylatków włącznie. Gdy 'Solidarność' już w okresie stanu wojennego nawoływała do strajków, w szkole tylko o tym się mówiło. Układało się wierszyki o Wronie, biło się dzieci milicjantów i partyjnych działaczy. Nauczyciele mówili, że najłżejsza wzmianka o sytuacji politycznej w Polsce powodowała, że dzieci stawały na ławkach i krzyczały: 'Solidarność! Wałęsa! Precz z Wroną!'. Gdy te najmłodsze pokolenia staną się zawodowo czynne, dyktatura w Polsce będzie miała bardzo twarde orzechy do zgryzienia. Dla młodych nie ma innego celu moralnego w Polsce, jak tylko opór przeciw władzy. Wspaniałą cechą Polaków jest to, że nie zapominają. Ludzie w Polsce czekają na następny moment”.

W przełożonym z angielskiego artykule Romana Solchanyka, pracującego w Dziale Badań i Analiz Radia Liberty w Monachium, czytelnik znajduje wiele ciekawych uwag na temat wpływu polskiej „Solidarności” w zachodniej części Związku Sowieckiego, a więc na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Autor zaleca ostrożność w podchodzeniu do tego tematu. „Należy przyznać, że w większości wypadków jest całkowitą niemożliwością ustalenie, czy i do jakiego stopnia konkretne wydarzenia w ZSSR są wynikiem łańcucha przyczynowo-skutkowego, zapoczątkowanego w Polsce. Dotyczy to w szczególności wydarzeń 'oddolnych', takich, jak strajki i demonstracje... Reakcja 'odgórna' — to jest środki, podejmo-

wane przez kierownictwo sowieckie dla rozładowania niepożądaných konsekwencji kryzysu polskiego — była tu o wiele bardziej widoczna. Przy różnych okazjach czynnikowie sowieckie dawały wyraz zaniepokojenia sytuacją w Polsce, w sposób wiążący ją bezpośrednio z problemami społecznymi, gospodarczymi i politycznymi w ZSSR”.

„Wymowny wyraz — pisze w zakończeniu swego artykułu autor — dylematowi, stojącemu przed narodami sowieckiego zachodu dał ukraiński poeta i więzień polityczny, Wasyl Stus (zmarł w łagrze na skutek braku opieki lekarskiej), w dokumencie pod tytułem 'Z dziennika obozowego'. Stus pisze o swym podziwieniu dla polskiego oporu przeciw despotyzmowi sowieckiemu i proponuje Polskę jako wzór dla Ukrainy. „My, Ukraińcy — pisze — jesteśmy psychologicznie bliscy, może najbliżsi charakteru polskiego, ale brak nam najważniejszej rzeczy — gorącego patriotyzmu, który konsoliduje Polaków”. Według Stusa położenie Ukrainy na wschodnich krańcach Zachodu i wynikające stąd wystawienie na wpływ Moskwy i prawosławia jest źródłem jej niedoli. I wyjaśnia swoją postawę: „Myśli moje kierują się ku rocznicy tysiąclecia chrześcijaństwa na Ukrainie. Myślę, że to wtedy popełniony został pierwszy błąd — wybór obrządku bizantyjsko-moskiewskiego, który połączył nas, najbardziej wschodnią część Zachodu ze Wschodem. Nasz zachodni duch indywidualistyczny, osłabiony despotycznym prawosławiem bizantyjskim, nie mógł się w końcu uwolnić od tego rozdwójnienia ducha, które z czasem wytworzyło kompleks obłądy”. (Z archiwum Samizdatu, nr 5062).

Kilka artykułów (Armstronga, wykładającego na uniwersytecie w Wisconsin, Johna Miegela z Columbia University oraz Jewhena Sztendery i Mykoły Łebedia) omawia walkę Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz próby nawiązania porozumienia z polskim podziemiem. Próby te po pierwsze zaczęły się zbyt późno, a następnie wskazywały na całkowitą dezorientację strony polskiej. Ostatecznie doszło do wzajemnej rzezi, z tym, że na Wołyniu i w Galicji Wschodniej przewagę mieli Ukraińcy, zaś na Chełmszczyźnie i już po wojnie na Łemkowszczyźnie przewaga była polska. Do wspólnej walki najpierw z okupantem niemieckim, a następnie z sowieckim nie doszło. Natomiast doszło do przesiedlenia na Zachód ludności ukraińskiej z Zasania i z Zachodniego Beskidu. Po dziś dzień społeczeństwo polskie w kraju karmione jest kłamliwą propagandą reżymową wyraźnie antyukraińskiego typu.

Iwan Hvat' omawia stosunek Watykanu do Ukraińskiego Kościoła Katolickiego za pontyfikatu Jana Pawła II. Artykuł ten ukazał się jeszcze w roku 1983 w czasopiśmie *Religion in Communist Lands* i został przełożony z angielskiego przez Grzegorza Leszczyńskiego. „Jakkolwiek — podsumowuje autor swoje rozważania — ukraińscy katolicy na Zachodzie, obawiając się wchłonięcia przez Kościół obrządku łacińskiego, krytykowali Jana Pawła II, to jednak przekonali się do jego szczerego zaangażowania po stronie ukraińskiego Kościoła katolickiego w ZSSR i na Zachodzie. Katolicy na Ukrainie zostali podniesieni na duchu w

walce o swoje prawa, dzięki akcjom Papieża, który zwrócił uwagę opinii światowej na ich położenie. Jan Paweł II dowiedział władzom sowieckim i Patriarchatowi moskiewskiemu, że Rzym nigdy nie pogodzi się z brakiem wolności sumienia i wyznania na Ukrainie”.

Autor zwrócił też uwagę na wielkie zaniepokojenie, jakie w Moskwie wywołał wybór polskiego kardynała na Papieża. Zwłaszcza gwałtowna była reakcja Moskwy na zwołanie w Rzymie synodu hierarchii ukraińskiego Kościoła katolickiego, co zostało przez prasę sowiecką określone jako „niestychane posunięcie”. Najbardziej zdenerwowało Moskwę uchwalenie rezolucji, uznającej decyzję Synodu lwowskiego z roku 1946, „podjęte pod presją i pod nieobecność biskupów ukraińskiego Kościoła katolickiego, za nielegalne”. Wtedy to Patriarcha rosyjskiej cerkwi prawosławnej, Pimen, napisał do Papieża list, w którym wyrażał „głębokie poczucie trwogi i bólu, że pozytywne wyniki w sferze zbliżenia i braterskich relacji pomiędzy naszymi Kościołami, osiągnięte poprzez nasze wzajemne starania w czasie Drugiego Soboru Watykańskiego, mogą być zaprzepaszczone przez Deklarację, ogłoszoną na synodzie biskupów ukraińskich. Tekst i duch Deklaracji są obce atmosferze braterskiego ekumenizmu, który za triumfował między nami”.

Jednocześnie autor artykułu podał szereg informacji o wzmożonej walce, podjętej przez partię i organy bezpieczeństwa z Kościołem katolickim, od przeszło czterdziestu lat działającym w podziemiu. Przywódca grupy katolików ukraińskich, zabiegający o uznanie praw ich Kościoła zgodnie z sowiecką konstytucją, Józef Terela, został aresztowany, osądzony i skazany. Ale według zwyczaju, powszechnie stosowanego w sądownictwie w Sowietach, oskarżony został o „pasożytnictwo”, po uprzedniej utracie pracy. Walka z religią nasiliła się w ostatnich latach, co na ogół jest uważane za reakcję na nowy kurs Watykanu, podjęty przez obecnego Papieża. W tym też należy szukać przyczyn niedudanego zamachu na Jana Pawła II, dla niepoznaki dokonanego przez terrorystę tureckiego.

Polski numer *Suczasnosti* jest znacznym krokiem naprzód w rozwijającym się dialogu polsko-ukraińskim, który w kraju w takiej formie w czasopismach legalnych jest absolutnie niemożliwy, a już tym bardziej na Ukrainie. Oficjalne kontakty między Warszawą i Kijowem wydają się wskazywać na prawdziwą i szczerą przyjaźń między oboma narodami. Są to jednak tylko pozory, ograniczające się do najwyższych szczebli rządowych i partyjnych. Prawdziwego kontaktu między społeczeństwami nigdy nie było i być nie może, gdyż widmo porozumienia polsko-ukraińskiego nie przestaje straszyć kremlowskich satrapów. Jedynie między ugrupowaniami emigracyjnymi możliwy jest szczerzy i nieprzymuszony dialog. Jego najdoskonalszym dotychczas wyrazem jest zrecenzowany powyżej polski numer monachijskiego czasopisma ukraińskiego.

Józef ŁOBODOWSKI

Kronika niemiecka

Na zaproszenie frakcji SPD w Bundestagu w Republice Federalnej przebywał przewodniczący parlamentu NRD, Horst Sindermann. Była to pierwsza tak wysokiej rangi wizyta parlamentarzystów NRD w Bonn. ■ Od 1966 roku w Alma-Ata ukazuje się dziennik w języku niemieckim pt. *Freundschaft (Przyjaźń)*. W rejonie Ałtajskim, w Azji Środkowej, wychodzi tygodnik *Rote Fahne (Czerwony Sztandar)*, w Moskwie zaś od 1957 roku tygodnik *Neues Leben (Nowe Życie)*. Tych spraw (łącznie z audycjami radiowymi i telewizyjnymi w języku niemieckim) pilnują ambasady NRD i RFN. Jaruzelski natomiast zamiast starać się o polską gazetę w Kazachstanie pojechał do Wilna odwiedzić redakcję wychodzącego tam *Czerwonego Sztandaru*. Niemcy opiekują się swymi rodakami żyjącymi w Sowietach. W PRL, na temat Polaków żyjących na wschód od Bugu, nie wolno głośno mówić i pisać. Niemców nadwołżańskich Stalin deportował, byli wrogami, Polacy „przyjaciółmi”. Teraz jest odwrotnie. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* drukowała w odcinkach opowiadanie amerykańskiej pisarki Joyce Carol Oates pt. *Warszawa 1980* (tłumaczenie Ewy Bornemann). Pasjonujące opowiadanie, efekt podróży autorki do Polski, ukazało się również w formie książkowej nakładem *Deutsche-Verlags-Anstalt* w Sztutgarcie. ■ Liczba członków *Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP)* wzrosła ostatnio z 50 do 60 tysięcy. ■ Proreżymowe *Towarzystwo Niemiecko-Polskie* „boryka się z trudnościami finansowymi; nie ma miejsca na iluzje o prowadzeniu atrakcyjnej działalności” (przewodn. prof. Helmut Ridder). Od 1983 roku z *Towarzystwa* wystąpiło 157 osób; obecnie czynnych jest zaledwie 431 członków. ■ Polski lekkoatleta, Władysław Kozakiewicz, który w trybie przyspieszonym otrzymał obywatelstwo Republiki Federalnej zamierza reprezentować barwy RFN na olimpiadzie w Seulu. ■ Po raz pierwszy utworzono na Węgrzech przedsiębiorstwo węgiersko-zagraniczne, w którym znana firma kosmetyczna z RFN (*Schwarzkopf*) dysponuje 51% kapitału zakładowego. ■ Na zachodniobrzeźskim lotnisku Tempelhof wylądował polski samolot sanitarny *Jak-12A*, uprowadzony tam solo z Zielonej Góry przez Edwarda Kruka. ■ *Ambasada RFN* w Warszawie przyjmuje wnioski wizowe składane we wszystkich biurach podróży *ORBIS* i *WAGON-LITS*. Obywatele polscy, którzy do czasu zakończenia swego pobytu w RFN nie ukończą jeszcze 16 roku życia, mogą wjechać bez wizy. ■ W Warszawie odbyło się okresowe spotkanie grupy roboczej *PZPR — SPD* „do spraw budowy zaufania”. Grupa ta zbiera się regularnie od końca 1984 roku. Delegacji *SPD* przewodniczył Horst Ehmke (zastępca przewodniczącego frakcji *SPD* w Bundestagu); na czele delegacji *PZPR* stał Ryszard Wojna (*Klub Poselski PZPR w Sejmie*). Jego doradcami byli: prof. Marian Dobrosielski i Elżbieta Michałowska. Uczestnicy spotkania jednomyślnie podkreślili „znaczenie bezpieczeństwa europejskiego, zwłaszcza w świetle najnowszej inicjatywy sekretarza generalnego KC KPZS — Michała Gorbaczowa”... ■ Nacjonalistyczne *Stowarzyszenie „Wisła-Odra” (SWO)*, kierowane przez ponad 50-osobowy *Zarząd Główny* (m.in. Edmund Męclewski, bezp. poseł na Sejm; Wacław Piątkowski, b. amb. PRL w RFN; Józef Dubiel, publicysta; prof. Kazimierz Secowski, ekonomista), podjęło następujące przedsięwzięcia: budowa „*Szkoły-Pomnika RODŁA*” w Dąbrowce Wlkp.; utworzenie w Malborku muzeum „polskiej myśli zachodniej i orientacji piastowskiej, skiero-

wanych ku Odrze"; rozbudowanie dyskusyjno-edukacyjnej instytucji pn. *Wszelchnica Piastowska*; założenie *Muzeum Odry*; popularyzowanie okresu wyzwoleniecko-pionierskiego „ziem odzyskanych”, w tym poprzez radiowy magazyn „*Wista-Odra*”, który będzie emitowany przez koszalińską *Rozgłośnie Polskiego Radia i TV*. Ziomkostwo „*Wista-Odra*” postarało się już o wydanie znaczków pocztowych z podobiznami Bolesława Krzywoustego i Władysława Gomułki, z wybitym hasłem: *Byliśmy, jesteśmy, będziemy*. Wszystko z okazji 40-lecia „ziem odzyskanych”. Przy tej okazji *Frankfurter Allgemeine* przypomina esej J. J. Lipskiego *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy* (*Kultura* nr 10/1981). ■ W zachodniobierlińskim *Reichstagu* odbyła się sesja naukowa pn. *Kwestia niemiecka w opinii zagranicy*. Z ciekawszych wystąpień prasa niemiecka (*Die Welt*) odnotowała wypowiedzi dr Alexandra Uschakowa, kierownika *Instytutu Prawa Wschodniego* (Kolonii): „Sprawa zjednoczenia Niemiec budzi żywe zainteresowanie Polaków, ale nie można mówić o jednomyślnym postawie. Na przykład młoda generacja, nieufna wobec oficjalnie prezentowanego obrazu RFN, pod wyraźnym wpływem okresu *Solidarności*, kiedy można było względnie swobodnie dyskutować na tematy dotąd zakazane, nie kwapi się wcale do współudziału w propagandowych kampaniach władz partyjnych i rządowych przeciwko tzw. „niebezpieczeństwu” zagrażającemu ze strony „rewanżystów”. Krytycznie myślący Polacy nie mogą się natomiast pozbyć kompleksu *Rapallo*, który pokutuje w umysłach na skutek niemiecko-rosyjskich zbliżeń w przeszłości, odbywających się poza plecami Polaków, i — zawsze na ich szkodę”. ■ Polska żegluga śródlądowa transportuje węgiel, kruszce, stal, miedź, cement itd. do Berlina Zachodniego, Duisburga, Hildesheimu, Rotterdamu i Amsterdamu. Przewozy odbywają się kilkudziesięcioma wysłużonymi jednostkami *Żegluga Bydgoskiej*, obsługiwanych przez trzyosobowe załogi i dostarczającymi do kasy PRL zaledwie 3,5 mln dolarów rocznie. Spośród krajów wschodnioeuropejskich tylko PRL jest sygnatariuszem specjalnej umowy z RFN o współpracy w dziedzinie żegluga śródlądowej (1971 r.). ■ W *Akademii Ewangelickiej* w Mülheim nad Ruhrą odbyło się seminarium pod hasłem — *Nie ma pojednania bez pamięci o przeszłości*. Kazimierz Kąkol z *Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce*, wystąpił podczas konferencji z roszczeniami o odszkodowania dla polskich robotników przymusowych. ■ Tłumacz polskiej literatury, Henryk Bereska (NRD), stwierdził, że najbardziej się natrudził przy Witkacym: „Przełożyłem sześć jego sztuk, m.in. *Młot*, *W małym dworku*, *Matkę*, ale najmocniej napociłem się przy pracy nad *Szewcami*. Trudno znaleźć odpowiedniki Witkacowskich neologizmów, aby wydobyć z gry słów i zabawę, i satyrę, i podteksty”. ■ W ambasadzie PRL w Kolonii wręczono odznaki *Zastużony dla kultury polskiej* obywatelom RFN. Odznaczeni zostali: Alexander książę zu Hohenlohe-Oehringen, dyr. teatru w Fürth (Bawaria), Günther Fleckenstein, dyr. *Deutsches Theater* w Getyndze i szef dramaturgii tegoż teatru Norbert Baensch. Teatr w Getyndze od 20 lat systematycznie wystawia sztuki polskich autorów. ■ Nakładem *Suhrkamp Verlag* we Frankfurcie n/Menem ukazała się minipowieść Antoniego Słonimskiego pt. *Dwa końce świata* w przekładzie Eddy Werfel. Słowo wstępne napisał Stanisław Lem. Utwór ten ukazał się w 1936 roku w odcinkach na łamach *Wiadomości Literackich*. ■ Po koncercie w Warszawie orkiestra *Filharmonii* z Monachium przeznaczyła honorarium w całości na otwarcie książeczek mieszkaniowych dla wychowanków domów dziecka. Bawarscy muzycy ponadto przekazali 250 tys. złotych na potrzeby *Domu Małych Dzieci im. Gabriela Baudouina* w Warszawie. ■ Z wyjaśnienia złożonego przez posła do *Bundestagu* — Helmuta Sauera (*CDU*): aktualnie 2.700 b. polskich robotników przymusowych otrzymuje zapomogi i renty o łącznej wartości 23 mln marek w skali rocznej; dotąd rząd RFN wypłacił osobom należącym do tej grupy poszkodowanych blisko 600 mln marek. Władze bońskie przekazały ponadto do dyspozycji *Wysokiego Komisarza*

szarza d/s Uchodźców ONZ — 8,5 mln marek z przeznaczeniem na zapomogi dla polskich uchodźców, którzy byli przesładowani w okresie hitlerowskim. Władze PRL otrzymały od rządu RFN w 1972 roku kwotę 100 mln marek na pomoc dla ofiar hitlerowskich eksperymentów medycznych (druga wielka kwota to 1,3 mld marek na zabezpieczenia rentowe). Tylko część wypłacono ofiarom w dewizach, część „zaginęła” (z tego powodu miał mieć proces Piotr Jaroszewicz!), część przeliczono po śmiesznie niskim kursie na złotówki. Były też i inne drobniejsze odszkodowania, te „ulotniły” się bezpowrotnie. Tymczasem *Trybuna Ludu* pisze: „W RFN zabrakło woli politycznej do pozytywnego załatwienia odszkodowań cywilnych dla obywateli polskich”*. Warto przypomnieć dodatkowo, że — wcześniej — w latach 60-tych rząd RFN wypłacił polskim ofiarom KZ-owskich eksperymentów pseudomedycznych 40 mln marek. Z wyżej wymienionych sum władze PRL nigdy się nie rozliczyły przed społeczeństwem. *Gazeta Krakowska* pisała w lutym 1981 roku — gdyby pieniądze otrzymane z RFN wypłacono poszkodowanym, to każdy z b. więźniów otrzymałby ok. 40 tys. marek zachodniemieckich. Ale państwo położyło rękę na markach. Do tej sprawy będziemy stale wracać! Kacetowcom winni odpowiedź: Cyrankiewicz, Jaroszewicz, gen. Moczar, gen. Książczyk i minister Grudziń. ■ Sukces PRL na odcinku stosunków finansowych z zagranicą: wicepremier Zbigniew Szajda uzyskał w Bonn kredyt inwestycyjny w wysokości 100 mln marek. Wymiana handlowa PRL-RFN była w ub. roku wyższa niż w najlepszym, 1979 roku. Nowy kredyt, gwarantowany przez rząd RFN, zostanie uruchomiony pod warunkiem uregulowania zaległości w wysokości 330 mln marek wynikających jeszcze z miliardowego długu zaciągniętego w Republice Federalnej aż 11 lat temu. ■ W budkach telefonicznych w Berlinie Zachodnim odkryto nadjanki radiowe umożliwiające przekazywanie do NRD treści rozmów, jak i numeru wykreconego przed rozmową telefonu. W ten sposób wywiad NRD-owski mógł sprawdzać pod jakie numery telefonują i co mają do zakomunikowania osoby, które właśnie przeszły do zachodnich sektorów. ■ W 1984 roku na 100 ha użytków rolnych przypadło w Polsce 59 sztuk bydła i 88 sztuk trzody chlewnej; odpowiednio w NRD: 92 i 209 sztuk. ■ Szkoleniowe kursy i seminaria dla „interesujących się szeroko pojętą problematyką niemiecką i historią stosunków polsko-niemieckich” będą organizowane od maja bież. roku przez ZG ZSMP i redakcje tygodników *Rzeczywistość*, *Sprawy i Ludzie* oraz *Walkę Młodych* w Śródborowie. ■ Eduard Mühle opublikował we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* półstronicowy artykuł z okazji 200 rocznicy urodzin Joachima Lelewela (Loelhoffela). Autor wspomnienia zajął się szczególnie działalnością naukową Lelewela w Wilnie i Warszawie i rolę jaką odegrał polski historyk i bibliograf podczas *Powstania Listopadowego*. ■ W marcu bież. roku zarejestrowano w obozach przejściowych w RFN 1.491 obywateli PRL narodowości niemieckiej. ■ Otto Heike wydał własnym sumptem w Leverkusen ciekawą publikację pt. *Die deutsche Minderheit in Polen bis 1939 (Niemiecka mniejszość w Polsce do 1939 roku)*. *Selbstverlag des Verfassers*, Leverkusen 1985. Str. 480. Autor był do chwili rozpoczęcia wojny obywatelem polskim, walczył w *Wojnie Polskiej* w 1920 roku i należał do czołowych działaczy *Niemieckiej Partii Socjalistycznej w Polsce*, rozwiązanej przez hitlerowców w 1939 roku. ■ W zachodniobierlińskiej *DAAD-Galerie* odbył się wieczór autorski Marii Kureckiej, polskiej poetki, tłumaczki literatury niemieckiej i krytyka literackiego. Swoją wykład Maria Kurecka-Wirpsza poświęciła trudnościom literackiego przekładu; chodziło o translatorskie zmagania nad tłumaczeniem na język

* Na temat *otrzymanych z RFN odszkodowań*, kulis pertraktacji itd. znajdujemy sporo w wypowiedziach m.in. Gierka, Szlachetca, Łukaszewicza i Szydłaka — ogłoszonych w *Protokołach* tzw. *Komisji Grabskiego* (*Instytut Literacki*, Paryż 1986).

polski *Doktora Faustusa* Tomasa Manna: „Prawie trzy lata, a więc niemal tyle, co autorowi dzieła zajęło jego napisanie, pracowaliśmy z mężem, Witoldem, nad przekładem”. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zamieściła obszerny artykuł o zachodniobermberskim *Towarzystwie Solidarność* (wydaje dwutygodnik *Pogląd*). Ciekawa relacja Ralfa Geoga Reutha została napisana na podstawie rozmów przeprowadzonych z przewodniczącym *Towarzystwa* Edwardem Klimczakiem, który jednocześnie jest docentem rusycystyki na *Wolnym Uniwersytecie* w Berlinie. ■ Prasa niemiecka poświęciła wiele miejsca prezentując czytelnikom sylwetkę Stefana Kisielewskiego z okazji jego 75 urodzin. ■ W wydawnictwie *Hansera* w Monachium wychodzą regularnie po niemiecku *Dzieła zebrane* Witolda Gombrowicza — i wyjdą wcześniej niż w Polsce po polsku. ■ *Polski Instytut Spraw Międzynarodowych* opublikował w *Agencji INTERPRESS* publikację pt. *Układ PRL-RFN z grudnia 1970 roku a proces normalizacji. Aspekty prawne i polityczne*. Autorzy poszczególnych rozdziałów pozostają anonimowi (w obawie przed nieuzyskaniem kolejnego stypendium w RFN?). Wydrukowano ponadto teksty przemówień w sprawach niemieckich: Olszowskiego (3), Jaruzelskiego (5), Urbana (2), Jabłońskiego (1), Barcikowskiego (1) i Rakowskiego (1). W zupełnie niepotrzebnej publikacji funkcjonariusze niemieckich ziomkostw urastają do roli polityków pierwszej rangi. ■ W Bonn zmarła Angela Nacken, dziennikarka, długoletnia korespondentka *Frankfurter Allgemeine Zeitung* w Warszawie. Msza święta w jej intencji odbyła się w warszawskim kościele św. Marcina. Angela Nacken zaskarbiła sobie zaufanie licznych Polaków i Niemców rzetelną obsługą informacyjną jako długoletnia korespondentka *FAZ* (1962-1969). Piękne wspomnienie o tej prawdziwej przyjaciółce Polaków, pióra Tadeusza Nowakowskiego, nadane zostało w programie polskim rozgłośni *Radio Free Europe* („Kto będzie w przyszłości pisał o historii powojennych stosunków między Polakami a Niemcami, nie będzie mógł pominąć nazwiska, które stało się symbolem zbliżenia: Angela Nacken”).

Andrzej J. CHILECKI

LITUANISTYKA W OXFORDZIE

25 marca 1986 roku Michał Giedroyc, od niedawna członek Senior Common Room Oriol College w Oxfordzie, zaprezentował na posiedzeniu Studium Spraw Średniowiecznych Europy Słowiańskiej i Wschodniej (Slavonic and East European Medieval Studies Group) referat pod tytułem „The Arrival of Christianity in Lithuania: Prospects for Orthodoxy in the Period 1264-1285”. Studium gromadzi niemal wszystkich mediewistów zajmujących się Europą Środkową i Wschodnią w Wielkiej Brytanii, jak też wielu badaczy z USA i Europy. Giedroyc specjalizuje się w historii Litwy przed unią z Polską. Poważny rocznik akademicki *Oxford Slavonic Papers* opublikował do tej pory jego dwa obszernie artykuły: „The Rulers of Thirteenth-Century Lithuania: a Search for the Origins of Grand Duke Traidenis and his Kin” w numerze 17-tym, i w numerze 18-tym „The Arrival of Christianity in Lithuania: Early Contacts (Thirteenth Century)”. Następny, pod tytułem „Between Rome and Bizantium (1281-1341)”, ukazuje się w numerze 22-gim. Giedroyc poproszony został o przygotowanie wykładu na temat „Krevo: Lithuanian Options in the Period 1384-1386” i zamierza uzupełnić swój cykl artykułami „Baptism and Survival 1341-1387”, tak aby zbiór złożył się na historię Litwy do końca XIV wieku. Autor ma nadzieję ukończyć pracę w ciągu dwóch do trzech lat.

Kronika kulturalna

o Kisielu*

Mamy dziś mówić o jednym z najosobliwszych zjawisk polskiego życia umysłowego, fenomenie naszej kultury, obyczajów publicznych i praktyki politycznej, a mianowicie o Kisielu.

Myślę, że byłoby nietaktem prawić Kisielowi dusery. Za fatalną pomyłkę uważałbym także uczone wywody na temat jego wszechstronnej twórczości. Z mojej strony to nie grozi, bo nie jestem człowiekiem wykształconym, należę po prostu do tej ogromnej rzeszy czytelników Kisiele, którzy kochają go i są mu wierni od lat.

Nie ulega kwestii, że Kisiel — jak każdy pisarz — jest próżny i łasy na pochwały. Uczynimy zadość jego oczekiwaniom, ale bez namaszczenia i przesady. Kisiel ma swoje lata, lecz nie aż tyle, aby go traktować wedle recepty Boya na jubileusz.

Więc należałoby zacząć od tego, że Kisiel jest wielkim publicystą. Na to zgadzają się wszyscy. Jest jednak coś niepokojącego w tej tak długiej i jednocześnie olśniewającej karierze. Proszę zauważyć, że nie ma w niej potknięć, upadków i porażek. Jest wyjątkowo stabilna i pewna, a dotyczy przecież człowieka, który walczy, prowokuje i obraża. Przez całe życie programowo wbija kij w mrowisko, rzuca grochem o ścianę, woła na puszczy i wali głową w mur. Same prowokacje!

Był w naszych czasach, obok Kisiele, drugi wielki publicysta polityczny, Stanisław Cat-Mackiewicz. Ale on stokroć częściej wywoływał protesty, wściekłość, sądy honorowe, nawet pojedyn-

* Jest to tekst przemówienia wygłoszonego 28 lutego br. na Uniwersytecie Warszawskim na jubileuszu 75-lecia Stefana Kisielewskiego zorganizowanym staraniem *Towarzystwa im. Adama Mickiewicza*.

ki. Miał oddanych wielbicieli, ale miał także wielu wrogów, którzy go żywiołowo nienawidzili. Kisiel — temu zaprzeczyć się nie da — też ma wrogów, ale wśród hołoty. Przed laty został napadnięty w ciemnej uliczce. Któż jednak słyszał o gwałtownej, intelektualnej polemice z Kisiem, jakich wiele miał w swej karierze Cat-Mackiewicz?

W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z paradoksem. Kisiel wymyśla — a jest oklaskiwany. Obraża — i wywołuje sympatię. Nawet bluźnić usiłuje na łamach katolickiego tygodnika — a uchodzi w oczach opinii za czołowego publicystę katolickiego — a jako rzecznik katolików zasiadał w ławach sejmowych.

Proszę zwrócić uwagę na to przedziwne zjawisko naszego obyczaju i życia umysłowego. Kisiel powtarza katolikom, że nie dostrzegają diabła, że zapatrzeni w niebiosy nie potrafią docenić niebezpieczeństwa czeluści piekielnych — a katolicy odczuwają błogość i wołają „jeszcze, koteczku”. Kisiel powtarza marksistom, że są anachroniczni, nie rozumieją świata, wprowadzają w życie ludzkie więcej absurdu i bałaganu niż ktokolwiek inny w przeszłości, a oni odnajdują w jego felietonach *sui generis* nobilitację, co się marksistom coraz rzadziej na świecie przytrafia... Kisiel chce wywoływać awantury, polemiki, ferment — a tymczasem działa kojąco i wszyscy, albo niemal wszyscy, przyznają mu rację. I właśnie dlatego sędzę, że Kisiel jest postacią tragiczną, a jego wielka felietonistyka stanowi świadectwo klęski. Czterdzieści lat jego pisarstwa to niekończące się pasmo porażek.

Jest to publicysta samotny, smutny i przegrany. Ale nie może być inaczej, bo w gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z anachronizmem. Donkiszoci w każdej epoce są samotni, smutni i przegrani.

Rozpowszechniony jest pogląd, że prawda zawsze zwycięża. Trudno jednak odpowiedzieć na pytanie, gdzie i kiedy? Może nie tu i nie teraz? A może nigdy tu i nigdy teraz? Historia nie daje przekonujących dowodów, że życie godziwe — jeśli w ogóle jest ono możliwe — przynosi nagrodę w naszych doczesnych losach. Księga Hioba jest optymistyczna dzięki swemu zakończeniu. Ale niemal z reguły przeżywa się tę księgę bez ostatniego rozdziału.

A jednak warto pamiętać, że nawet bez tego ostatniego rozdziału jest w postawie Hioba coś, co czyni jego los pięknym i patetycznym — wierność i wiara!

Mówimy dzisiaj o Hiobie polskiej publicystyki politycznej ostatniego półwiecza. Na pisarstwo Kisielego spadają same klęski. Jest to pasmo rozczarowań, udręk i cierpienia. Dlaczego? Bo Kisiel dochowuje wierności i wciąż jeszcze wierzy.

Kisiel mianowicie wierzy w rozum i jest wierny rozumowi. Głosi, że można żyć rozumnie, postępować rozumnie, rządzić ro-

zumnie, pracować rozumnie i tak dalej... W tym jest zapewne późnym dziecięciem epoki Oświecenia, ma w sobie coś z wolterańskiego złośliwca i szyderycy, który tajemnym zrządzeniem losu zawieruszył się w czasach programowo absurdalnych i bezrozumnych.

To wyjaśnia klęski Kisielego i paradoks jego pisarstwa. Jest on rzecznikiem rozumu, a ktoś z nas oznajmi głośno, że rozumem pogardza? Nie uczyni tego żaden marksista, bo fundamentem jego światopoglądu jest podobno myślenie racjonalne, a słowo „rozum” należy do rytualnego języka marksizmu. Jak wiadomo — partia to zbiorowy rozum mas. Nie liczą się tam żadne woluntarystyczne zachcianki, nie ma mowy o irracjonalnych skłonnościach do magii i szamaństwa.

A czyż jakikolwiek katolik oświadczy bez wstydu i lęku, że rozum znaczy tyle, co nic? Nie ma takich katolików, bo — jak wiadomo — rozum jest darem Boga, dziełem Ducha Świętego, winien być zatem przedmiotem czci i nabożeństwa.

Rzecz w tym, że co innego rozum szanować, a co innego nim się posługiwać. Dochodzimy tutaj do sedna problemu.

Krytyka rzeczywistości z pozycji zdrowego rozsądku nikogo nie może obrażać, ponieważ wszyscy, jak jeden mąż, są entuzjastami zdrowego rozsądku. Kisielego zadowala więc zdrowe odruchy czytelników, sanuje atmosferę umysłową, pozwala mniemać tysiącom ludzi, że należą do wielkiej, wspólnej rodziny rozsądnych Polaków, a jak wiadomo — wszyscy Polacy są rozsądni, z wyjątkiem tych, których nie znosimy i z którymi się nie zgadzamy...

Proszę państwa! Nie jest żadnym odkryciem twierdzenie, że od bardzo dawna zanurzeni jesteśmy w aurze absurdów, irracjonalnych urojeń i bezrozumności, do tego stopnia, że próba obiektywnego spojrzenia na nasz świat już w ogóle nie wydaje się możliwa. Otacza nas nierzeczywistość. Polityczna, gospodarcza, kulturalna, obyczajowa. Koń jaki jest — każdy widzi! Można to ująć bardziej patetycznie, przywołując inny, klasyczny cytat — gdy rozum śpi, budzą się upiory...

Podejrzewam, że Kisielego ma pewien brak, czy może raczej nadmiar. Otóż jest w nim zbyt wiele przywiązania do rozumu i za dużo pokornej, czystej wiary w Pana Boga, aby mógł uwierzyć w istnienie upiorów. A przecież one istnieją. I chyba gdzieś tutaj czai się w ukryciu ta klęska, która nieustannie dopada Kisielego.

Myślę, że świat Kisielego jest stosunkowo prosty. Bóg, diabeł, człowiek. W człowieku zaś rozum, dany od Boga, i stale kuszony przez diabła. U Cata-Mackiewicza występowała jeszcze dodatkowo kobieta, jako tajemniczy czynnik polityki i historii. Była to najczęściej blondynka... Nie jestem ani historykiem, ani publicystą politycznym. Lecz należę do pokolenia młodszego niżeli

Kisiel, a Cat był rówieśnikiem mego ojca. Może to pokoleniowe doświadczenie, wolne od pewnych złudzeń sprzed drugiej wojny światowej, skłania mnie do poglądu, że obok Boga, diabła, człowieka i damy w neglizju istnieją jednak jeszcze demony historii. Nie mam tu na myśli heglowskiego Ducha Dziejów, bo Hegel — choć mętny — wywodził jego naturę z dialektyki, a zatem przypisywał owemu duchowi jakieś znamiona logicznego działania. Tymczasem demony, o których mówię, nie kierują się logiką. Oddziałują na życie jednostek i na losy ludzkości w sposób przypadkowy, niekiedy złośliwy, niekiedy błogosławiony, ale zawsze pozostają niezidentyfikowane i nie można ich ani opisać, ani tym bardziej złapać za rękę... Oświecenie, z którego umysłowej formacji wywodzi się także Kisiel, położyło kres jawnie demonstrowanej wierze w krasnoludki, trolle, upiory, koboldy i smoki. Od tego czasu ludzie usiłują w sposób racjonalny interpretować własny los oraz historię. Marksieści doszli nawet do tego, że chcą sterować rozwojem wydarzeń dziejowych. A przecież wiemy doskonale, że mleko kwaśnieje wtedy, gdy złośliwy skrzat napluje do skopka. Wiemy, że trzeba zarznąć czarnego koguta na rozstajnych drogach w noc bezksiężycową, aby się uchronić przed pożarem. Snobistyczne zawstydzenie nakazuje nam spełniać takie czynności w ukryciu, o tym się nie mówi w towarzystwie, o tym się nie pisze w gazetach... Ale wszyscy dobrze wiemy, jak naprawdę jest...

Demony istnieją. W XX wieku napluły do skopka Europy i wszystko skwaśniało. Przecież zdajemy sobie sprawę, że istnieje coś takiego jak zbiorowe szaleństwo albo zbiorowy kretyzm. Uczni różnych dyscyplin opisują takie zjawiska. Ale nic z tego nie wynika, bo usiłują je interpretować racjonalnie.

Więc proszę mi racjonalnie zinterpretować taki oto fakt. W połowie lat 70-tych Kisiel podjął batalię w obronie ginących, małych miasteczek polskich. Pisał wtedy, że likwiduje się u nas te swojskie Gostyniny, Śremy, Łapy i Szydłowce. Na ich miejscu powstają jakieś potworki z wielkiej płyty. Nie było w Polsce człowieka, który nie przyznawałby Kisielowi racji. Dostojna *Trybuna Ludu* chwaliła go za życzliwy stosunek do problemu, który jest stałą troską władzy ludowej, ważnym czynnikiem działań w ramach dynamicznego rozwoju, aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej... Rzecz jasna czytelnicy *TP* także pogląd Kisielowi oklaskiwali. Po czym wszyscy rażno wzięli się do roboty. Kamień na kamieniu nie został z tych miasteczek. Mamy Polskę wielkiej płyty!

Można tak tydzień po tygodniu, przez całe czterdzieści lat, cytować felietony Kisiel, w których walczy on z absurdem, tępotą, idiotyzmem i brakiem wyobraźni. I można następnie wyjść przez okno. Wszystko jasne.

Jeszcze jeden przykład na okoliczność oddziaływania demonów historii. Nie tak dawno Kisiel wrócił do swojej *idée fixe*, do kwestii wolnego rynku. Pisał z właściwym mu słodkim rozmarzeniem o bankierach, giełdzie, akcjach i kapitalistycznych rekinach. Czytelnicy byli oczarowani. Ludzie w Polsce patrzą z zazdrością na tych, którzy wzięli wiatr reformy gospodarczej w swoje żagle i handlują zapiekаныmi bułkami na rogu ulicy. Kisiel nakłaniał czytelników do ekonomicznej zaradności, wyczarowywał miraż Onassisa w Łebie i Morgana w Siedlcach. Krew szybciej poczęła płynąć w żyłach narodu. Ostatecznie w Polsce wystarczy znać tabliczkę mnożenia, żeby zapędzić w kozie róg centrale państwowego handlu. Ale byli tacy, co we właściwym czasie zarznęli czarnego koguta na rozstajnych drogach, aby uniknąć pożaru. I nie będzie pożaru...

Bo kto w Polsce naprawdę chce wziąć w swoje ręce własny los ekonomiczny? Garstka awanturników, spadkobierców pionierów z Kompanii Zachodnio-Indyjskiej, którzy robili interesy z dzikimi, za koraliki otrzymywali kosztowne futra, umierali w królewskim przepychu albo na więziennym barłogu.

Wolny rynek, zawsze i wszędzie, jest walką. Między armatorami w rodzaju Onassisa i wśród przekupek na ulicy Polnej. Na nowojorskiej giełdzie i w urzędzie skarbowym na Lindleya. Podczas konferencji OPEC-u i w czasie szarpaniny z małym łapsem na bazarze Różyckiego. To zawsze jest walka, która wymaga ryzyka, inicjatywy, śmiałości...

Ale ten zarżnięty, czarny kogut ma swoje znaczenie. Model ekonomicznej bierności zakodował się w naszych genach. Ktoś musi nas zatrudnić, pokierować, zdecydować, brać odpowiedzialność za nasz los. I niech się nikt nie łudzi, że to jest kwestia systemu, że w innych warunkach aktywność polska wybuchnie strzelistym płomieniem zaradności gospodarczej. Kogut!! Już zarżnięty!! Nic nie wybuchnie. Żaden Polak z PRL-u nie stał się na Zachodzie wielkim nafiarczkiem. Nasza ekonomiczna zaradność rozwija się tylko na grząskiej miedzy półlegalności, w symbiozie z panującym ustrojem. Poza systemem PRL-u kończy się przemyt kremu Nivea i handel tureckimi kozuchami, a zaczyna szary dzień pracy najemnej. Polak na Zachodzie nie jest żadnym przykładem prężności. W najlepszym razie może się stać doskonałym, wydajnym pracownikiem najemnym. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę. Polacy oduczyli się dźwigać ciężary odpowiedzialności i już ich dźwigać nie potrafią. Dlatego olbrzymia większość jest tak żałośnie rozczarowana życiem poza Polską.

I znowu Kisiel ma rację. Powiada on, że Solidarność była prawym dziecięciem systemu, bliźniaczą siostrą PZPR. Nie tylko dlatego, że reprezentowała olbrzymią większość świata pracy i

chciała po prostu egzekwować to, co partia głosiła i zapowiadała przez lata, a czemu się sprzeniewierzyła. Także dlatego, że Solidarność kładła olbrzymi nacisk na opiekuńczy charakter państwa, czy — jak kto woli — społeczeństwa. Z ekonomiczną zaradnością jednostki nie miało to literalnie nic wspólnego. Dotykam tutaj sprawy delikatnej, niezabliźnionej rany, a nawet więcej — bo narodowego mitu. Ale przecież mówimy o Kisielu, a on mity zawsze zwalcza...

Nie zmienia to faktu, że one z nim wygrywają. Bo w mitach są demony. Złe i dobre, ale zawsze demony. Muszą wygrać z każdym...

Samo życie świadczy najlepiej o porażce publicystyki Kisielu. Wbrew jego wysiłkom powstała nowa jakość historyczna. Pewne procesy dziejowe zostały zakończone, nie tylko w sferze struktur życia zbiorowego, ale także w sposobie myślenia i odczuwania. Publicystyka Kisielu, która stawia na rozum — jest dzisiaj anachroniczna. Świat nierzeczywistości rządzi się innymi prawami.

I Kisiel o tym dobrze wie. Groch o ścianę. Wołanie na puszczy. Głowę w mur. On o tym dobrze wie. Na tym polega jego tragiczna, samotna mądrość. No, dobrze. Ale skoro jest anachroniczny, to dlaczego tak go czytamy? I dlaczego jesteśmy mu wdzięczni?

Proszę państwa! W świecie absurdu i utraconych nadziei zdrowy rozsądek przywraca poczucie godności. Ocalenie godności jest jedynym zadaniem do wykonania, jakie nam jeszcze zostało — jeśli Polacy mają w ogóle przetrwać. I nie jest wcale ważne, że przestrogi, namowy, recepty, czy zgoła programy Kisielu — giną niemal bez śladu w oceanie naszych urojeń, bezmyślności i nudy. Nie jest też ważne, czy wszystkie jego namowy i recepty byłyby słuszne w świecie rzeczywistym. Ważne jest, że Kisiel przywołuje pamięć o tym, iż rzeczywistość jednak istnieje!

Wierzmy mu na słowo honoru, bo innych dowodów brak. Ale to ma swoją wagę. Bo w gruncie rzeczy Kisielowi właśnie o honor chodzi. O zachowanie godności ludzkiego rozumu.

I to z niego przetrwa. Jako legenda o zamierzczłych czasach, kiedy ludzie jeszcze myśleli, a wobec tego byli jakoś przyzwoici.

Kisielowi zawdzięczamy wielką rzecz. Jego tragiczna, nieskuteczna publicystyka czyni z rozsądku i rozumnego myślenia kategorię moralną. Kisiel naucza rozsądku, a zatem uczciwości i prawości. Naucza rozsądku, a zatem ocala godność i wolność osoby ludzkiej. W ten sposób spełnia obowiązek katolicki. Walczy o nasze zbawienie!

Andrzej SZCZYPIORSKI

Nagroda im. Gutenberga

Amerykańskie „oskary” sztuki filmowej były pierwszą (już w 1918 roku!) nagrodą artystyczną, o której nie decydują kilkuniosobowe jury lub akademie, lecz — teoretycznie przynajmniej — drogą głosowania przedstawiciele całego środowiska kinematograficznego. Przed dziesięcioma z górą laty francuscy filmowcy, pierwsi w Europie, wprowadzili ten sam system nagradzania „cezarami” (od rzeźbiarza César, twórcy wręczanych laureatom statuetek) najlepszych reżyserów, aktorów, scenarzystów itd. Wielkie powodzenie tej manifestacji, której poświęca cały wieczór jeden z kanałów francuskiej telewizji, skłoniło inne środowiska twórcze do ustanowienia podobnych nagród: „Victories” dla muzyków, „7 d'Or” (w kształcie połączanej siódemki) dla telewizji, „oskarów” dla projektantów mody. W tym roku ulegli po raz pierwszy tej pokusie francuscy wydawcy, ustanawiając nagrody imienia Gutenberga w piętnastu dziedzinach literatury i wydawnictwa.

Cytuję regulamin nagrody: „W pierwszej kolejności stu krytyków i kierowników działów literackich z różnych środków przekazu (dzienników, czasopism, radia i telewizji) dokonało selekcji trzech kandydatów do każdej z piętnastu nagród. Spośród tych czterdziestu pięciu kandydatów laureatów wybrało ciało wyborcze złożone z 1.500 czołowych osobistości środowiska (wydawcy, pisarze, krytycy, drukarze)”.

W kategorii „*Le meilleur témoignage vécu de l'année*” (najlepsza książka roku oparta na osobistych przeżyciach) laureatem został Gustaw Herling-Grudziński za francuskie wydanie *Innego świata*. Jego dwoma konkurentami byli: Michel Déon, członek Akademii Francuskiej, jeden z najgłośniejszych powojennych powieściopisarzy, za szkice z podróży pt. *Bagages pour Vancouver*, oraz Jean Cau, były sekretarz Sartre'a, dziś czołowy polemista prawicy, za *Croquis de mémoire* (Szkice z pamięci) — wspomnienia o ludziach bliskich mu w różnych okresach życia, jak Sartre, François Mitterrand, Orson Welles, Jean Genet...

W innych kategoriach laureaci byli mniej niespodziewani: dwaj nagrodzeni już w zeszłym roku powieściopisarze, Yann Queffelec (Prix Goncourt) i Hector Bianciotti (Prix Femina); wydawca Jérôme Lindon, który w swych Editions de Minuit odkrył Becketta i Claude Simona wówczas, gdy nikt nie mógł jeszcze przypuścić, że otrzymają kiedyś nagrodę Nobla; w dziale krytyki Bernard Pivot, czołowa gwiazda francuskiej telewizji, za swój program literacki „Apostrophes”; mediewista Georges Duby i zmarły przed rokiem Philippe Ariès za najlepszą książkę z dzie-

dziny historii — *Histoire de la vie privé* (Editions du Seuil). Po zostali laureaci (reportaż, biografia, sztuka, książka dla młodzieży, przekład, adaptacja filmowa, grafika, *science fiction*) mniej zainteresują polskiego czytelnika, choć głośno tu było o nich w zeszłym roku.

Francuski wydawca Herlinga, Denoël, zaprosił mnie na uroczystość wręczenia nagród 20 marca 1986 w ramach dorocznego kiermaszu książki w namiocie zaimprovizowanym pod olbrzymią kopułą Grand Palais. Siedziałem obok Gustawa i obaj obserwowaliśmy z zaciekawieniem skomplikowany ceremoniał przed kamerami telewizji i tłumem wdrapujących się na krzesła fotografów. Na estradzie ustawiono trofea — owe „Gutenbergi” w kształcie marmurowego obelisku ozdobionego staroświecką prasą drukarską z brązu (sprawdziliśmy później w pocie czoła, że waży ponad dziesięć kilo). Mistrzem ceremonii był Jean-Pierre Elkabbach, wytrawny prezentator francuskiej telewizji, usunięty po zwycięstwie socjalistów w roku 1981 za rzekomo zbyt prawicowe zaangażowanie podczas kampanii wyborczej. W pierwszym rzędzie siedział Jack Lang, który zabawnie oświadczył, że jest tu osobą prywatną („wszedłem tu jeszcze jako minister kultury, ale w tej chwili właśnie formuje się nowy rząd, tak że zapewne jeszcze na tym krześle być nim przestanę”). Elkabbach powitał go elegancko i przyjaźnie: „Abstrahując od opinii politycznych, każdy z nas chyba przyzna, że był Pan rzutkim i twórczym ministrem naszego środowiska”.

Laureaci wchodzili kolejno na estradę, przedstawiani przez „ojców chrzestnych”. Herlinga chciał przedstawić znany lewicowy reżyser filmowy Costa-Gavras, ale musiał niespodziewanie opuścić Paryż i zastąpić go miał Armando Valadares, poeta kubański, więziony przez dwa dziesiątki lat w łagrach Fidela Castro. Wracał właśnie samolotem z Madrytu i spóźnił się o pół godziny, obyło się więc bez „laudacji”, a kilka słów po angielsku wygłoszonego podziękowania Gustawa przetłumaczyła na ochotnika, wstępując obok niego na estradę, piękna i uroczą angielska aktorka filmowa Charlotte Rampling. Przy zbiorowym zdjęciu wszystkich laureatów ze swymi „Gutenbergami” w ramionach, w rzeczywistości swych „ojców chrzestnych”, obelisk Gustawa wysnął się ze swego okazałego pudła i upadł na nogę Henri Troyat, członka Akademii Francuskiej rosyjskiego pochodzenia, autora głośnych powieści historycznych, zwykle na rosyjskim tle. Zdrętwiałem z przerażenia, ale widąc Troyat nosi za duże trzewiki, bo uśmiechnął się grzecznie, pomagając Gustawowi podnieść nieporęczne trofeum.

Podczas obiadu dla laureatów i zaproszonych gości obecni na nim dziennikarze zrywali się ciągle do telefonu, żeby dowiedzieć się jaki jest skład nowego rządu. W pewnej chwili wpadł na salę jowialny krytyk literacki z prawicowego *Quotidien de Paris* z okrzykiem: „Mamy ministra kultury. *C'est le petit Léotard!*”.

Konstanty A. JELEŃSKI

Książki

Wymyślenie

Coraz częstszy przypadek Polaków — wymyślanie siebie. Stwarzanie fałszywego obrazu w przekonaniu, że nikt go nie zakwestionuje, że zostanie przyjęty jako równoważący temu, co jest ważne, co prawdziwe. Żonglowanie wymiennością pojęć sztuki, piękna. Ukrywanie się za frazesem patriotycznym czy kościelnym. Za mistyką słów i gestów, spirytualizacją i angelologią, polską scholastyką rodem z piękła niedokończonego istnienia, z niechęci do wzięcia odpowiedzialności za innych, za własne życie, z unikania wszystkiego, co wymaga twardości, konsekwencji. Tego wynikiem dziejący się na oczach dramat polskości na rozstajach, kłamającej innym, ale i skłamanej wobec siebie samej, niezdolnej do poniesienia w przyszłość, oklapłej i potulnej, której szyderczym znamięm słowa: jakoś to będzie, trzeba przecześć, nie warto nic robić, bo i tak musi zakończyć się klęską. Bezsens i beznadziejność płyną z poddania polskiego, z przykrojenia marzeń na wzór dawno spróchniałych ideologii, z zaniku woli i z atrofii życiowej siły, które zatracają się w bajdurzeniu, w nakładaniu cudzych kostiumów, w graniu ról napisanych przez innych.

Pełno tych wymyślonych postaci porusza się po krajowej scenie, a niektórym z nich przydano nawet społeczno-politycznych znaczeń, chociaż sami z siebie nie potrafią wypowiedzieć żadnych życzeń i tylko udają polityczne działanie. I pełno jest wymyślonej literatury, pokrętnych stylistyk, minoderii i łkań. Zapychania jej wnętrza wszystkimi odpadkami, które wypluwają codziennie świat, kultura, życie — budowania z tych resztek pozorów nowości i udawania, że to możliwe, że się uda, że próchno zaświeci.

Najczęściej ten cudaczny wysiłek wykrzesania światła i odnalezienia zasady, która ma spajać połączone ze sobą na chybił trafił kawałki jest próżny i odwrotnie niż w układance zwanej

puzzle, każda z części na co innego wskazuje, w inną stronę odsyła, a może i donikąd prowadzi...

Takie też wrażenie towarzyszy lekturze debiutu prozatorskiego Ewy Bieńkowskiej „Dane odebrane”¹. Książki, którą dałoby się skwitować kilkoma negatywnymi przymiotnikami i gwoli szacunku dla kobiet pominąć milczeniem. Kłopot w tym, że zdając się z jakim zostały napisane trzy pomieszczone w niej opowiadania obnaża istotne wady dzisiejszej polskiej literatury — a może i polskiego życia? — wręcz zmuszając do głębszej analizy. Tym bardziej, że Bieńkowska powiela schematy wielokrotnie używane, którym warto się przyjrzeć, by wpaść na ślad znacznie sławniejszych postaci naszej literatury. Szczególnie przeestetyzowanych piewców czystego piękna, wolnego od wszelkich związków z przyziemną rzeczywistością, którzy z wdziękiem pomijają milczeniem zgrzyty historii, ludzkich losów, cierpienia i społeczne nieprawości i po raz kolejny w swoim życiu — jak na wszystkich poprzednich etapach — idą tą samą drogą półprawd, niedomówień, znaczących chrząknięć. A chociaż trudno im zmusić innych do zamykania oczu na rzeczywistość, to przecież skutecznie bronią jej przed właściwym rozpoznaniem, przed odczytaniem tych znaczeń, które w następstwie pomogłyby ją zmienić. Czyż zresztą w takiej płaszczyźnie mitycznego myślenia nie należałoby rozpatrywać klęski „Solidarności”, klęski nie tyle nawet milionów robotników czy chłopów (tych także) ile całej pokornej grupy intelektualistów, różnej maści doradców i ekspertów, którzy w jednym byli sobie podobni: w całkowitym niezrozumieniu komunizmu, w ślepcie na rzeczywistą istotę systemu?

Toteż recepta pisarska zaproponowana w zgodzie z tym myśleniem przez Bieńkowską składa się z zaledwie kilku składników, znanych już, ale wciąż wartych obserwacji i przypominania.

Pierwszym jest olśnienie inną kulturą, najlepiej odpowiednio starożytną i pokrytą patyną, co winno działać dobrze na polskich czytelników i sprawiać wrażenie, że autor osadzony w tradycji ma wiele do zaproponowania, że stoją za nim wartości nieśmiertelne. Wielokrotnie ten chwyt stosował Iwaszkiewicz, którego nie zrażały nawet wynurzające się spod szlachetnych kostiumów, w jakie ubierał swoją twórczość, tandetne odwołania do współczesności komunistycznej i w którym miłość do Włoch rywalizowała o lepsze ze strachem przed Związkiem Sowieckim.

Drugim jest stylistyczna łatwość i rozlewność, czyli styl pięknego rezonerstwa, płynące bezustannie i bez umiaru słowa. Słowotok, który ma uniemożliwić dojrzenie sensów i znaczeń opowiadanych, nadbudowane jedna nad drugą metafory, sugerujące, że mowa jest o czymś ważnym i artystycznie dojrzałym — mistrzem takiego pisania jest Żukrowski. Przypomina to szantaż słowami, ich masą nie do udźwignięcia przez żadnego z czytających. Książka sprawia wówczas wrażenie, że wyszła z odpowiednio zaprogramowanego komputera, który połączył kilkadziesiąt słowników i zaczyna je teraz w porządku linearnym wydalać na

1. Ewa Bieńkowska, *Dane odebrane. Tryptyk włoski*. Puls, Londyn 1985, str. 179.

zewnątrz. Jedno zdanie pociąga za sobą następne, a to znowu kolejne.

Wreszcie niechęć do opowiadania czegokolwiek, co ma wyraźny kontur, rozmycie intrygi opowieści, jej dramatycznych wątków do czkawki krajobrazów i zabytków, do minoderii westchnień słujących niczym wata zapychaniu całości. Jak to wyjęte z opowiadania „Rzymianin”:

„Pejzaż miasta rysował się bladą kreską, która zaznacza kontur i rozpyloną aurę. Konkret rozmył się w nieokreślone *sfumato* z puszystego od zwietrzenia tynku domów. Nie widział przechodzących ludzi. Podnosił oczy, żeby się upewnić: jest jeszcze, stoi w miejscu ta poszarpana forma z rozchwypanych bloków gigantycznych budowli, ozdobiona w górze grzywą zieleni. Kopuły wynurzają się w tych samych punktach z parującego morza dachów. Wchodząc do pewnych kościołów wciąż można zobaczyć te same obrazy. I nic więcej — gdzie indziej przebiegała teraz jego rozprawa z miastem. Próbował się pocieszać: wraca do istoty. Znow odzyskuje czucie substancji, rozniesionej przez szczegółowe spostrzeżenia. Wchodzi w kontakt z pierwotną materią miasta i odkrywa w niej coś dramatycznego. Jest dramatyczna — jeśli tak określić przytłoczenie, które objawia się czymś paraliżującym, a co śmieszne byłoby nazywać nudą, bo ta nazwa niczego nie załatwia”.

W podobny sposób można nieskończenie, przesycając narrację poetyzmami, których rola jest tym mniejsza, im bardziej podkreślają sztuczność konstrukcji literackiej, monologów i dialogów postaci, chrzęst papieru. Są wybiegiem, który ma sugerować nieistniejącą głębię, dotyczyć spraw złożonych i tajemniczych. Te ostatnie po rozsypłaniu okazują się prostodusznym unizieniem wobec Zachodu polskiej intelektualistki.

I może to byłby ostatni i najgroźniejszy składnik prozatorskiego debiutu Bieńkowskiej: połączenie niedojrzałości ze zblazowaniem, zepsutego smaku, kogoś kto wszystkiego już spróbował, z naiwnym pragnieniem podziwu, biorącego się z poczucia niższości i z frustracji. Jej książka jest właściwie rozpisana na kilka głosów litanią do urody, do piękności rzeczy i zjawisk, do smaku, do wartości. Do tego wszystkiego, czego brakuje pisarce w jej życiu, do czego tęskni i co zdaje się ją zmuszać do wysilonego wymyślania innej siebie i do wymyślania sobie innej rzeczywistości, innego czasu. Zapełniania własnej pustki albo tego, co za pustkę uznaje, odbitym, księżycowym obrazem Zachodu, jego wartości, jego wykwintu, jego znużenia, jego muzeów, jego senilnego piękna i jego utracjuszostwa.

„Dane odebrane” Bieńkowskiej są wyznaniem barbarzyńcy, któremu przypadł w udziale nie taki los, jakiego pragnął. Urodził się pod innym niebem, pod złą gwiazdą i niezdolny jest do wyprostowania, nie potrafi stanąć na własnych nogach. Nie umie oprzeć się na tym, co ma, co go otacza, więc czym prędzej się pozbywa swojej tożsamości, by już odtąd na zawsze, niczym żebrak, żyć z jałmużny. Wieczny sługa, pochylony w pokornym zgarbieniu lokaj innych, łykający z podziwem wmawiane, a cza-

sami i realne cudowności. Barbarzyńca, który pragnie włączenia do kultury nie poprzez przemianę siebie, nie twórczą pracą, ale na zasadzie przeniesienia gdzie indziej. Zapomnienia o własnym złym pochodzeniu, o niepewności siebie, poddaniem, upodobnieniem do innych. Do tych, co patrzą z góry, do tych, którym się udało. Jest barbarzyńcą pełnym zachwytu, który nie widzi własnej śmieszności, który ma wrażenie, że życie, że kultura są przywilejem, że są dane bez wysiłku, są wyrazem podziału na tych u góry i tych z dołu. I zapomina o pogardzie płynącej z takich nadań, o słabości, którą przypieczętowała zgodą na taki podział świata — słabości, którą potwierdza swoim oczekiwaniem na cud. Gdyż zmiana sytuacji ma być cudem, innej bohaterowie Bienkowskiej nie znają i nie pragną.

Opowiadania Bienkowskiej są esencją polskiego spirytualizmu. Autorka — zdając sobie z tego sprawę czy nie, o to mniejsza — włączyła się swoim sposobem myślenia i swoją książką w ten sam krąg niemożności, niepodejmowania wysiłku, niewiary w siebie samych i liczenia na innych. Nadzieję pokłada w rozwiązaniu, które przyjdzie z zewnątrz, modli się do cudu, który zostanie dany.

Wpatrzona w Zachód, olśniona jego kulturą, jego pięknem, jego wartościami, przecież w większym stopniu niż sądzi bliższa jest Wschodowi, bliższa jest z niego wypływającej fatalistycznej bierności, która tak wyjąława polskie działania społeczne i która kładzie się cieniem na wszystko co podejmowane, na każdy czyn, na każdą myśl. Polska jest w jej oczach niczym wielka dziura, którą napełnić można tylko z zewnątrz. Polska jest pustynią, po której wiecznie hulają przeciągi, bez konkretnych cech, niewyraźna, pozbawiona konturów, skazaną na niewolę. A wtedy już tylko krok od wymyślenia siebie i kłamania innym jacy jesteśmy i jakimi byśmy mogli być, gdyby... Gdyby inni za nas wykonali co trzeba i dali to, co odebrane, całą normalną egzystencję, normalne życie.

Wymyślona proza Ewy Bienkowskiej wywodzi się wprost z tego piekła niewoli, z polskich dusz, które nie śmiały już sięgać po możliwość życia na własny rachunek, które chciałyby się pozbyć wszystkiego, co trudne, co wymaga wysiłku, czego rezultaty przychodzą po latach, co czasem niewymierne, wychodzące poza dożałość, poza zapobiegliwe jutro.

I może dlatego „Dane odebrane” są książką o niczym, są książką-frazesem, który ma zastąpić myślenie, zestawem zdań odbijających próżnię nieodpowiedzialnego istnienia, życia na koszt innych, żywienia się pozorami traktowanymi z nabożeństwem niczym prawdy wcielone. Są książką smutną, napisaną w smutnym czasie przez kogoś, kto niezdolny jest wyjść poza ograniczenia, bo odebrano mu wiarę w to, że może dokonać zmiany w sobie i w świecie otaczającym, w kulturze i w polityce. Są książką zgody na wszystko, jakby w przekonaniu, że ani pojedynczy człowiek, ani zbiorowość, ani świat otaczający nie mają żadnego znaczenia.

Opowiadania z tomu „Dane odebrane” zostały wypreparowane

ze wszystkiego, co po ludzku mężne, i wypuszczone by błąkały się straszak sobą. Wymyślone i niczym przestroga stojące przed każdym czytelnikiem, któremu mówią, że i tacy jesteśmy, że i do tego stanu można sprowadzić własną kulturę i własne życie, gdy brakuje odwagi, jeżeli nie odrzuci się wszystkich więzów, którymi oplątują polską rzeczywistość kościoły świeckie i religijne, mistycy dialektyki i eschatologii. Czy wreszcie najgroźniejsi z nich mistycy bajdurzenia od rzeczy.

„Piszesz?” — ośmielam się wreszcie zapytać. — Nieważne. Uświadomiłem sobie — to może zabrzmie zbyt uroczyście — co to znaczy, że jestem poetą. To znaczy, że stoję jednocześnie wobec przeszłości i teraźniejszości, wobec wierności i naiwności, wizji i strachu, wobec natury i wobec ludzi. To prosta i oczywista wiedza, możesz powiedzieć. To nie oddaje wszystkiego czego się nauczyłem, na przykład od mojego widzenia i od mojego strachu. Moje historie powinny być teraz inne, rozumiesz, historie człowieka, który przestał prowadzić rachunki, co traci i co zyskuje, czego się boi, czego pragnie, historie człowieka, który rozluźnił chwyt. Wszystkie historie opowiada się z pamięci, ale moja pamięć jest cała taką opowieścią, jest zrobiona z materii opowieści, prawdziwa i wymyślona, możliwa i niemożliwa. Wiem, że żyję nią trochę jak na cudzy koszt — jest ona moją i nie moją pamięcią, tak jakby została mi tylko dana do użytkowania”.

Mistycy eleganckiego zapomnienia o świecie, estetyzującym tonem omijający każdą ułomność i każdy ból. Gdy tymczasem może wszystko w końcu sprowadza się tylko do tego jednego: odzyskania własnej pamięci i zrobienia użytku z prawdziwej wiedzy o życiu i świecie, jakimi są i jakimi być mogą, gdy tego zaprzagniemy?

Marek ZIELIŃSKI

Książki na papierze

Wydawanie książek w PRL-u przypomina ciężką, beznadziejną pracę, której skutki niewiele są lepsze od wysiłków mitycznego Syzyfa. Mitologiczne skojarzenia są też jak najbardziej na miejscu, kiedy czytać po raz kolejny składane obietnice przeróżnych administratorów kultury — ostatnio wiceminister Zachariasiewicz w wywiadzie dla *Argumentów* z 2 marca — którzy z nonszalancką wobec faktów usiłują dowieść, że będzie dużo lepiej niż było, bo pisarzom podwyższono stawki honorariów. Zapewne też ta ostatnia przyczyna przesunęła polskie edytorstwo z ostat-

niego na przedostatnie miejsce w ilości wydawanych książek na głowę statystycznego Polaka.

Toteż pomimo szumnych zapowiedzi o rekordowym roku ubiegłym, w którym jakoby ukazało się 232,3 mln egzemplarzy książek, sytuacja wydawnicza jest tragiczna. I to w każdym wymiarze. Zarówno, gdy chodzi o podręczniki szkolne, jak i literaturę piękną czy też naukową (tej ostatniej wydano w 1970 roku 5.434 tytułów, a w 1984 — 5.330). Do tego smutnego obrazu dodajmy rosnące ceny książek, których zakup przekracza coraz częściej możliwości kieszeni poszczególnego, pracującego etatowo czyli na tzw. państwowej posadzie, rodaka. Paradoksalne jest zresztą, że zyski uzyskane z tych horrendalnych i prohibicyjnych w swojej wysokości opłat, nie wpływają w niczym na poprawę rzeczywistości poligrafii krajowej, czy na opłacalność przedsięwzięć wydawniczych. Może dlatego, że jak i w przypadku innych towarów rynkowych o mniej „duchowym” charakterze, ceny i książek i usług drukarskich i papieru wreszcie zostały zupełnie oderwane od faktycznych kosztów i wzięte z sufitu. I co najwyżej służą ograniczaniu na nie popytu.

Tym chyba można tylko wytłumaczyć, że jedna z największych oficyn — krakowskie Wydawnictwo Literackie — dopłaca wielosetysięczne sumy do książek wypuszczanych w nakładach rządu 30-40 tysięcy egzemplarzy. (Pytanie, co prawda, czy w zmistyfikowanym świecie liczb i statystyk realnego socjalizmu wydanie książki równoznaczne jest jej sprzedaży i czy ów deficyt wydawnictw nie bierze się z pokrywania przez nie zawyżanych kosztów ledwo zipiącej poligrafii?) Jaka by na to nie była odpowiedź, nie zmienia ona faktu, że dopiero wydania Rodziewiczówny i Lema przysparzają dochodu i pozwalają sfinansować wydanie zalegających następnie tysiącami w księgarniach cegieł edytorskich. Gdy cechą charakterystyczną tej sytuacji jest z jednej strony brak wielu cennych książek, które znikają od razu po ukazaniu się, dostępne co najwyżej na spekulacyjnym czarnym rynku i z drugiej strony księgarnie pełne „dzieł”, których nikt nie kupuje i nigdy nie kupi.

Jednym ze skutków niewydolności rachitycznych drukarni zajętych produkcją wydawniczych bubli jest podział piszących na tych, co drukują swoje książki w miarę szybko i tych, którzy czekają latami. I tak na wydanie pojedynczego, skromnego objętością tomu można czekać pięć i dłużej lat. Za to ci pierwsi „równiejsi” od pozostałych dostępują zaszczytu wejścia na tzw. ścieżkę szybkiego druku.

Według niepełnych danych opublikowanych w lutym numerze *Przeglądu Tygodniowego* (niepełnych, bo cała sprawa jest utajniona przez Ministerstwo Kultury, jak i przez samych wydawców, że już o autorach nie wspomnieć) tego rodzaju przywilej uzyskało w roku ubiegłym około 78 tytułów, z czego 62 to pierwsze wydania beletrystyki bądź esejów. Najsmieszniejsze w tym wszystkim, że do tego rodzaju przyspieszonego wydania zalicza się zarówno książki, które wyszły jak na warunki PRL-ow-

skie nader szybko (np. dziełko publicystyczno-agitacyjne Andrzeja Wasilewskiego, dyrektora PIW-u w tymże PIW-ie ukazało się w 4 miesiące), jak i te, które doczekały się druku w ciągu ponad dwóch lat (książka Osmańczyka „Był rok 1945” czekała dokładnie 31 miesięcy). Jest zresztą świadectwem złej sytuacji wydawniczo-poligraficznej, że dwu i półletnie oczekiwanie może być uznane za błyskawiczne i warte odwoływania się autorów i wydawców do przeróżnych prywatno-politycznych koneksji.

Mniej śmieszy zestaw nazwisk, które są promowane przyspieszonym wydaniem. Na tej liście „nagrodzonych” mamy zarówno pisarzy-aktywistów czy to partyjnych czy podporządkowanych partii nowych związków twórczych (Auderska et consortes), jak i grafomanów z nieśmiertelnym Machejkiem na czele, bądź wreszcie użytkowych propagandystów w rodzaju eks-zakonnika, a dziś urzędowego ateisty Jana Wierusza-Kowalskiego czy Romana Bratnego, specjalisty od mokrej roboty literackiej.

Najtragiczniejsze wydaje się jednak to, że w czterdzieści lat po swoim powstaniu, PRL, państwo, które publicznie głosi własną niezależność i twierdzi, że cały rozwój zawdzięcza komunistycznemu systemowi, zaczyna drukować książki w sowieckich firmach wydawniczych. Rąbka tajemnicy w tej materii uchyliło marcowe *Słowo Powszechne*, w którym sowiecki urzędnik oznajmił z dumą, że łączny nakład wydanych w Sowietach w zeszłym roku po polsku i z przeznaczeniem dla Polaków książek wyniósł już około 3,5 miliona egzemplarzy.

Być może zresztą jest to dopiero początek. I niedługo doczekamy się, że wydawaniem książek dla PRL-u będą się zajmowały wyspecjalizowane oficyny sowieckie, a Polakom w ramach podziału pracy przypadną w udziale inne zaszczytne zajęcia umacniające potęgę imperium. Od których to własna kultura, bądź własne książki mogłyby ich odciągnąć. Sprowadzenie Polski do rządu surowcowej kolonii było zresztą niegdysiejszym, nieudanym zamiarem innego okupanta — niemieckiej III Rzeszy. Trwający już tyle lat skandal poligraficzno-wydawniczy niesie w sobie i taką możliwość, nie mówiąc już o tym, że ukazuje jak w soczewce istotę komunistycznych rządów Polską.

Od 1945 roku komuniści propagują własne rządy jako obronę kultury, oświaty, wolności i demokracji (ludowej), i wszystkie te hasła po tysiąc razy zapisali na papierze. PRL ma na papierze najlepszą konstytucję, gospodarkę i postęp. Nic więc dziwnego, że na papierze pozostały też miliony książek, do których w rzeczywistości nie mają Polacy od lat dostępu, sprowadzeni na poziom wydawniczego pariasa. I może dlatego, że wszystko co dobre i udane istnieje w PRL-u tylko na papierze, papieru zabrakło na drukowanie czasopism i na wydawanie nowych książek.

Spoleczność polska w Kanadzie

Polska grupa etniczna w Kanadzie może się poszczycić największą w tym kraju ilością prac na swój temat. Prace te ukazały się po wojnie i obejmują szeroki zakres tematyczny. Obok prac ściśle naukowych sporo jest relacji pamiętnikarskich, opracowań działalności różnych organizacji i instytucji polonijnych. W tych badaniach i publikacjach bardzo poważną rolę odegrał Benedykt Heydenkorn. Zaraz po przybyciu do Kanady w 1948 roku zajął się tą problematyką. Jego badania zapoczątkowało studium o powojennych imigrantach, opublikowane w 1952 roku w *Kulturze*. Wieloletni redaktor naczelny *Związkowca* nie tylko sam przeprowadzał te badania, ale także zachęcał, a nawet wręcz namawiał innych do zajęcia się poszczególnymi zagadnieniami dotyczącymi grupy polskiej. Włożył wiele wysiłku w uzyskanie pamiętników imigrantów. Zorganizował kolejno cztery konkursy, opracował ten materiał i wydał cztery tomy w języku polskim oraz obszerny wybór w języku angielskim.

Nowa praca pod redakcją Benedykta Heydenkorna, *A Community in Transition*¹, poświęcona jest różnym zagadnieniom Polonii kanadyjskiej. Niektóre prace są prekursorskie, inne dotyczą problemów mało znanych. Do tych należą rola kobiety-imigrantki w życiu polonijnym oraz stosunki pomiędzy organizacjami społecznymi a konsulatami w latach przedwojennych. Zwłaszcza ten ostatni temat jest wysoce kontrowersyjny, specjalnie w konkretnym wypadku Polski. Heydenkorn ograniczył się do naświetlenia kilku wydarzeń z lat 1934-1936. Ingerencja konsulów w Winnipeg i Montrealu zmierzała do podporządkowania sobie dwóch tygodników: *Czasu* w Winnipegu oraz *Słowa Polskiego* (później *Polonii*) w Montrealu. Niezależnie od tego konsulowie starali się konsolidować organizacje pod hasłami solidarności z polityką rządu R.P. i zwalczali nastawienia opozycyjne wobec Warszawy. Heydenkorn odnotowuje zatargi na tym tle z katolickim Stowarzyszeniem Polaków w Manitobie i Związkiem Polaków w Ontario, relacjonuje stosunek Kongresu Polonii Kanadyjskiej do PRL w okresie Gomułki i Gierka i rozbieżności ze Związkiem Polaków, który doprowadził do wystąpienia tej organizacji z Kongresu na okres 10 lat.

Do „pionierskich” należą dwie prace p. Apolonii Kojder, w szczególności *Women and the Polish Alliance of Canada*. Jest to pierwsza tego typu praca o kobietach-imigrantkach, nie tylko Pol-

1. *A Community in Transition: The Polish Group in Canada* — Edited by Benedykt Heydenkorn, Canadian Polish Research Institute, Toronto 1985, str. 388.

kach. Druga, *Polish Schools in Toronto*, to obraz i dzieje szkolnictwa polskiego od początków po dzień dzisiejszy, z charakterystyką każdego okresu, szkół, programów itp., opatrzona interesującymi tabelami statystycznymi i dokumentacją. Brak jednak w tej cennej pracy wniosków autorki.

Andrew Pawłowski po raz pierwszy obszernie przedstawił kilkunastu malarzy i rzeźbiarzy, charakteryzując ich twórczość. Wskazał na znaczenie środowiska z którego wyszli, tj. polskich szkół artystycznych, dla aktualnej ich twórczości w nowym kraju.

Andrew Wołodkowicz podkreślił wkład polskich pracowników naukowych z Ottawy w kanadyjskie instytucje badawcze i uczenie. Jest to szkic biograficzny z uwzględnieniem danych o osiągnięciach naukowych 70 osób.

Frank Głogowski określił rolę, jaką odgrywał w Polonii Związek Polaków w Kanadzie. Należał do wybitnych działaczy polonijnych i przez wiele lat był redaktorem pisma ZPwK *Związkowiec* — więc pisze również o znaczeniu tego pisma.

Rudolf Kogler jest demografem. Jego praca *The Poles in Canada. Present and Future* analizuje dane spisu powszechnego ludności z 1981 roku. Podkreśla, że w tym spisie została po raz pierwszy zróżnicowana przynależność etniczna ludności Kanady. Podzielono ją na jednorodnych i wielorodnych (*single origin, multiple origin*). Pierwsza kategoria obejmuje te osoby, których rodzice i ewentualnie dziadkowie pochodzą z tej samej grupy etnicznej, a druga tych, których rodzice i dziadkowie pochodzą z różnych grup. Jeśli idzie o Polaków, to grupa pierwsza liczyła w 1981 roku 254.485 osób, podczas gdy spis z 1971 roku rejestrował w grupie polskiej 316.430 osób. Zmiany w stanie liczbowym świadczą wyraźnie o wzroście małżeństw mieszanych. Jeśli nie nastąpią zmiany — co jest bardzo wątpliwe — to na dłuższą metę utrzymanie „polskości” czy też „odrębności polskiej” w tym kraju jest wysoce problematyczne.

Heydenkorn analizując ten stan i strukturę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów wskazuje na konieczność zrewidowania pewnych programowych zadań i celów organizacji, gdyż obecne warunki są inne. Proces starzenia się SPK i innych organizacji (o tych ostatnich brak danych statystycznych) powinien przyspieszyć tę akcję. Heydenkorn w oddzielnym artykule omawia wspomnienia pamiętnikarzy ostatniego okresu, ich sytuację w Kanadzie i przyczyny opuszczenia Polski.

W omawianym tomie, z racji XXX-lecia Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego znajduje się także krótki zarys jego działalności.

Wysoce interesująca jest wypowiedź przedstawiciela pokolenia urodzonego już w tym kraju. Władysław Perchal, psycholog, zdecydowanie oskarża rodziców Polaków o błędne i wręcz szkodliwe wychowanie dzieci już tutaj urodzonych. Wprowadzano je w polonijne życie organizacyjne, utrudniając i hamując normalne współżycie z rówieśnikami, rdzennymi Kanadyjczykami. Zdaniem Perchala przynależność do szerokiego grona rówieśników wytworzyła by równocześnie świadomość polskiej tożsamości.

Prace nie są równe: w niektórych brak przypisów, bibliografii lub źródeł. Całość jednak stanowi wartościowy dodatek do wiedzy o Polonii Kanadyjskiej. *A Community in Transition* na pewno nie służy pokrzepieniu serc, ale za to przedstawia dokładnie i bez emfazy zarówno zagadnienia minione jak i aktualne.

Wnioski na przyszłość? Dobrze byłoby, gdyby Heydenkorn pokusił się o przedstawienie ich w następnej pracy.

Henry RADECKI

NOTA BIOGRAFICZNA

HENRY RADECKI — urodzony w Polsce, studia ukończył w Kanadzie w York University, profesor socjologii Laurentian University w Sudbury, autor wielu prac, w tym kilku zasadniczych: o polonijnych organizacjach społecznych (*Ethnic Organizational Dynamic*), o rodzinie (*Family*), o zachowaniu języka (*Language Maintenance*) oraz wespół z B. Heydenkornem monografii *A Member of a Distinguished Family*. Radecki jest również autorem innych prac socjologicznych: „Studium o strajku w przemyśle niklowym w Sudbury” i o strajku nauczycieli w tymże mieście.

Nadesłane nowości wydawnicze

ZENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Samotny bój Warszawy*. Str. 196 i 10 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

GIEŁŻYŃSKI (Wojciech). *Edward Abramowski, zwiastun „Solidarności”*. Str. 156 i 4 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1986).

ORŁOŚ (Kazimierz). *Przechowalnia*. Powieść. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1986).

Raport Polska 5 lat po Sierpniu. Str. 365 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986).

Jalta wczoraj i dziś. Wybór publicystyki 1944-1985. Wyd. miniaturowe. Str. 231 i 1 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1986).

PĘTKOWSKA (Maria z Tomaków). *Ojczyźnie. Wybór wierszy*. Str. 37 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986, cena £ 2.40).

PESZKOWSKI (Zdzisław J., ks.). *ABC Polonii świata*. Str. 229 i 7 nlb. (Opr. Zakłady naukowe seminarium polskiego, Orchard Lake Mich., USA, wyd. Veritas, Londyn 1986, cena £ 4.80).

Polska 1985. Spojrzenie na gospodarkę. Str. 81 i 7 nlb. (Wyd. Biblioteka Libertas, Editions Spotkania, Paryż 1986).

IRANEK-OSMECKI (Kazimierz). *Emisariusz Antoni*. Str. 206 i 10 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).

KORWIN-SOKOŁOWSKI (Adam Ludwik). *Fragmenty wspomnień 1910-1945*. Str. 205 i 11 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).

CYWIŃSKI (Bohdan). *Rodowody niepokornych*. Str. 396 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

KUCZYŃSKI (Józef, ks.). *Między parafią a łagami*. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

ADAMCZYK (Rudolf). *Czyścić*. Str. 53 i 9 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

GRABSKI (Ryszard Czesław, o.). *Gdyby nie Opatrzność Boża... Wspomnienia zesańca 1940-1955*. Str. 116 i 8 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1985).

Spotkania. Niezależne pismo młodych katolików. Nr 26-27/28. Str. 254 i 10 nlb. (Przedruk staraniem Editions Spotkania, Paryż, krajowego pisma podziemnego. Wyd. 1986).

KUKIEŁKA (B. J.). *Materiały do dziejów 1 Pułku Ułanów Krechowickich*. Seria 5, teka nr 3, marzec 1986. Str. 100. (Wyd. nakładem autora, Londyn 1986).

ZAGAJEWSKI (Adam). *Solidarité, solitude*. Str. 200 i 8 nlb. Przeł. z polskiego przeł. Laurence Dyèvre. (Wyd. Fayard, Paryż 1986, cena F. 75).

STOMMA (Ludwik). *Campagnes insolites. Paysannerie polonaise et mythes européens*. Str. 186 i 10 nlb. Z polskiego przeł. Jacek Gąsiorowski i Philippe Sagant. (Wyd. Verdier, Lagrasse 1986).

Polish-Americans Reflect on „Shoah”. Str. 24. (Wyd. Polish-American Congress, Chicago 1986).

ŚWIĘTOCHOWSKI (Tadeusz). *Russian Azerbaijan 1905-1920. The Shaping of National Identity in a Muslim Community*. Str. 256 i 2 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge - Londyn - Nowy Jork - New Rochelle - Melbourne - Sydney 1985).

SYSYN (Frank E.). *Between Poland and the Ukraine. The Dilemma of Adam Kysil. 1600-1653*. Str. 406 i 4 nlb. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge Mass., 1985).

DEDECIUS (Karl). *Vom Überetzen*. Str. 204 i 2 nlb. (Wyd. Suhrkamp, Frankfurt/M 1986).

GÓRSKI (Bohdan). *Verfolgung in Polen. Repressionsmechanismen im realen Sozialismus*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Verlag SOI, Schwyzcaria 1985).

LAMMICH (Siegfried). *Der Popielusko-Prozess. Sicherheitspolizei und katholische Kirche in Polen*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Verlag Wissenschaft und Politik na zamówienie Międzynarodowego Towarzystwa Obrony Praw Człowieka, Kolonia 1985).

I musicisti di Richard Demel. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Piovani Editore, Abano Terme, Włochy 1986).

DEMEL (Riccardo). *Soggettività ed oggettività nell'arte. L' arte del fanciullo*. Str. 27 i 3 nlb. (Wyd. Associazione Artisti Aponensi, Abano Terme 1985).

POPIELUSZKO (Jerzy). *El camino de mi cruz. Misas en Varsovia*. Przeł. Luis Justo. Str. 260. (Wyd. Editorial Atlantida, Buenos Aires 1986).

LUBOMIRSKIJ (Stepan). *Slidamy Zapowitu. Politycznyj roman-wizja. 2. Kajdany porwite!* Str. 260. 361 i 7 nlb. (Wyd. Ukrainian Publishers, Londyn, i „Homin Ukrainy”, Toronto 1985).

ANDRZEJEWSKI (Ježi). *Zdrugotina*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 603 i 5 nlb. (Wyd. Sour „Svjetlost”, Oour Izdavačka Djelatnost, Sarajewo 1986).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-2-86

Zmarł w Warszawie w wieku 56 lat Jerzy Mycielski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wybitny fizyk-teoretyk, jeden z twórców fizyki półprzewodników w Polsce, członek Polskiej Akademii Nauk. Ponadto był aktywnym działaczem Klubu Inteligencji Katolickiej.

3-3-86

Zmarł w Łodzi Antoni Chyliński, jeden z założycieli NSZZ „Solidarność” w Łodzi, założyciel i redaktor klubu „Propozycje i dyskusje”, redaktor i założyciel pism *Rozmaitości*, *Gotowość „S”*. Poprzednio był on żołnierzem AK, uczestnikiem Powstania Warszawskiego i wieloletnim więźniem PRL. Był także internowany w czasie stanu wojennego.

11-3-86

Według informacji radia watykańskiego w krajach misyjnych pracuje 1.444 misjonarzy i misjonek z Polski, w tym 817 kapłanów zakonnych i 60 braci, 389 siostr zakonnych, 136 księży diecezjalnych, 26 kleryków i 16 osób świeckich. Najwięcej polskich misjonarzy udało się w ub. roku do krajów Afryki (41 osób) i Ameryki Południowej — 39.

1-4-86

Tymon Terlecki otrzymał nagrodę im. Stanisława Vincenza, przyznaną w Krakowie. Drugim laureatem tej nagrody był krytyk krajowy, Ryszard Przybylski.

6-4-86

Na zaproszenie rosyjskiego Kościoła prawosławnego przebywała w Moskwie delegacja Stowarzyszenia PAX. Zostało podpisane porozumienie o współpracy między Kościołem prawosławnym a PAX-em, przewidujące współdziałanie na rzecz umocnienia pokoju i zbliżenia między narodami.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-8-85

Zmarł nagle w Rzymie Jan Głowacki, malarz, witrażysta i eseista. W Ośrodku Studiów Kościelnych w Rzymie zorganizowano wystawę jego prac.

19-2-86

Seweryn Blumsztajn otrzymał francuską nagrodę rządową Obrony Praw Człowieka.

16-3-86

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 80 lat prof. Ludwik Krzyżanowski, założyciel i redaktor naukowego kwartalnika *The Polish Review*. Był również jednym z założycieli Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku.

18-3-86

Tegoroczną nagrodę Prix de la Liberté francuski PEN-Club przyznał po połowie Gustawowi Herling-Grudzińskiemu za książkę „Inny świat” i pisarzowi rumuńskiemu Bujorowi Nedelcovici.

21-3-86

P. Stanisław Jordanowski został po raz czwarty wybrany prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Dyrektorem Instytutu został dr Czesław Karkowski. ■ Norweskie władze imigracyjne uchyliły wprowadzony po 13 grudnia 1981 roku przepis umożliwiający każdemu Polakowi pozostanie w Norwegii. Obecnie prawo do pozostania przysługuje tylko osobom, które mogą się wykazać prześladowaniami za działalność polityczną. Urząd Imigracyjny uzasadnił swą decyzję „normalizacją” w PRL-u. ■ Solidaritet Norge-Polen ogłosił więźniem miesiąca stycznia Leszka Moczulskiego, przywódcę Konfederacji Polski Niepodległej. Podobnie jak w przypadku Władysława Frasyniuka i Stanisława Kotowskiego, którzy poprzednio byli wybrani więźniami miesiąca, ukazały się informacje o Leszku Moczulskim w wielu czołowych gazetach norweskich.

25-3-86

Zmarł w osiedlu polskim w Penrhos (Anglia) w wieku 86 lat Stanisław Kudlicki, znawca problemów polsko-niemieckich, długoletni korespondent akredytowany w Berlinie Zachodnim i we Francji.

31-3-86

Zmarł w Londynie w wieku 81 lat Adam Kossowski, artysta malarz.

5-4-86

Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie przyznało nagrodę w wysokości £ 500.00 prof. Janowi Karskiemu za jego pracę historyczną „The Great Powers and Poland, 1919 to 1945 (From Versailles to Jalta)”. Prof. Karski połowę tej nagrody przekazał Skarbowi Narodowemu na ręce p. Ludwika Łubińskiego, a drugą połowę na Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej na ręce Mirosława Chojeckiego.

8-4-86

W Londynie odbyła się uroczystość przekazania urzędu Prezydenta R.P. przez Edwarda Raczyńskiego, po zakończeniu jego 7-letniej kadencji, następcy — p. Kazimierzowi Sabbatowi, dotychczasowemu premierowi Rządu R.P. Funkcję premiera objął tymczasowo prof. E. Szczepanik.

9-4-86

Amerykański PEN-Club dokooptował Czesława Bieleckiego jako członka honorowego.

12-4-86

Zmarł w Monachium w wieku 78 lat Mamert Miż-Miszyn, *attaché* prasowy poselstwa R.P. w Rydze przed wojną, a w czasie wojny żołnierz I dywizji grenadierów we Francji, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych oraz *Croix de Guerre*. Przez szereg lat był on pracownikiem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz członkiem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

17-4-86

Zmarła w Berkeley, po wieloletniej ciężkiej chorobie, Janina z Dłuskich Miłosz, żona Czesława. Po ukończeniu wydziału prawa na Uniwersytecie Warszawskim pracowała w Radio Polskim w Warszawie i współpracowała z „Redutą” Osterwy. W czasie okupacji współpracowała z wydawnictwami z podziemnymi, m.in. przy wydaniu w 1940 roku poezji Jana Syrucia (Czesława Miłosza). ■ W Galerie Plexus w Lozannie miał miejsce wernisaż Józefa Czapskiego. Wystawa będzie trwała do 19 maja br.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W dniu 13 marca dwa amerykańskie statki — krążownik „Yorktown” i mniejsza jednostka „Caron” — przekroczyły granice sowieckich wód terytorialnych w rejonie Krymu. Przez dwie godziny obydwa statki, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt namiarowy, przeprowadzały operacje wywiadowcze w odległości 7 mil morskich od wybrzeży Krymu. Jednostki amerykańskie nie zostały ani zatrzymane, ani zaatakowane przez Sowiety. Jeśli się zważy, że nie tak dawno sowieckie samoloty zestrzeliły na rozkaz marszałka Ogarkowa, ówczesnego szefa lotnictwa, pasażerski samolot południowokoreański z ponad dwustoma pasażerami, tylko dlatego, że znajdował się przez pół godziny w sowieckiej strefie powietrznej, to niesłychana wstrząsliwość Sowietów, które ograniczyły się jedynie do noty protestacyjnej, jest trudna do zrozumienia. Rzecznik Białego Domu, Edward P. Djerejian oświadczył w odpowiedzi na notę sowiecką, że obecność dwóch amerykańskich jednostek na wodach terytorialnych ZSSR nie była ze strony Ameryki żadną prowokacją. ■ W czwartek 20 marca Izba Reprezentantów odrzuciła wniosek prezydenta Reagana o przyznanie partyzantom, operującym w Nikaragui pomocy w wysokości 100 milionów dolarów. Wniosek motywowany był tym, że ostatnio sandynistom udało się zadać partyzantom ciężkie ciosy dzięki ponad półmiliardowej pomocy sowieckiej. Pomoc ta — a w szczególności helikoptery pilotowane przez Kubańczyków — przyczyniła się do tego, że partyzanci — nazywani tu *contras* — znaleźli się w krytycznym położeniu. Broń sowiecka płynie szerokim strumieniem do Nikaragui a wraz z nią Kubańczycy i północni Koreańczycy, których liczba dochodzi do 3 tysięcy. Zanim doszło do odrzucenia wniosku prezydenta, amerykańskie *mass media* przeprowadziły gwałtowną kampanię przeciwko przyznaniu *contras* jakiegokolwiek pomocy. Do nich dołączyli się duchowni kilku wyznań chrześcijańskich i pokazała liczba intelektualistów związanych z uniwersytetami. Deklaracje, które wychodziły spod piór duchownych i wielu profesorów, czyniły odpowiedzialnymi za wszystkie klęski, które dotknęły Nikaragui wyłącznie partyzantów, dowodziły, że ich autorzy opowiadają się po stronie Daniela Ortegi i jego rządu. Odrzucenie wniosku Reagana zostało zrozumiane przez sandynistów jako zachęta, by skończyć ostatecznie ze zbrojną opozycją w Nikaragui. W dwa dni po debacie w Izbie Reprezentantów rząd Daniela Ortegi wysłał korpus liczący 1.500 żołnierzy do sąsiadującego z Nikaragui Hondurasu. Celem inwazji miało być zniszczenie obozów partyzanckich. Inwazja zakończyła się klęską sandynistów, których siły zostały rozbite. Ta nieudana inwazja Hondurasu wpłynęła na zmianę poglądów wielu polityków amerykańskich. Wniosek Reagana — ten sam, który został odrzucony w Izbie Reprezentantów — przeszedł w Senacie dość dużą liczbą głosów. Administracja zamierza przedłożyć go powtórnie w Izbie licząc, że tym razem przejdzie. Nie wydaje mi się jednak, aby przyznanie partyzantom 100 milionów dolarów mogło mieć decydujące znaczenie dla wyzwolenia Nikaragui. W czasie debaty w Izbie Reprezentantów sekretarz Obrony Weinberger przestrzegł, że o ile obecnie nie wzmocni się partyzantów, w przyszłości Stany Zjednoczone będą zmuszone interweniować zbrojnie, ponieważ na terytorium Nikaragui zostanie stworzona nowa baza sowiecka na wzór Kuby. Sądząc, że 100 milionów dolarów ewentualnie przyznane *contras* i tak nie uchroni Nikaragui od losu Kuby. Jest to pomoc absolutnie niewystarczająca. W operacjach partyzanckich uczestniczyć musi personel amerykański. To i znacznie większa pomoc finansowa mogłyby zrównoważyć interwencję sowiecką. Ale tego prezydent Reagan nie odważy się zdecydować, albowiem śmierć nawet kilkunastu Amerykanów w ciągu kilku dni zmiecie jego popularność

w Stanach. ■ Misja Sowiecka w ONZ liczy 275 osób. W sumie liczebnie przekracza misje ChRL i Stanów Zjednoczonych razem. W związku z żądaniem Departamentu Stanu, aby Sowiety zredukowały swój personel do 175 osób, wystąpił w amerykańskiej TV ambasador Wasyl Sofronczuk, pełniący obowiązki szefa misji. Oświadczył, że liczebność misji należy mierzyć jej aktywnością, którą odzwierciedla liczba wniosków na porządku dziennym obrad w dniu, w którym zbierają się komisje lub Zgromadzenie Ogólne. Ambasador Sofronczuk dodał, że żądanie Ameryki, aby Sowiety zmniejszyły liczbę funkcjonariuszy jest w ogóle bezprawne, gdyż ONZ nie podlega jurysdykcji Stanów. Tutaj jednak okazało się, że kierownik sowieckiej misji nie ma racji, bo choć ONZ nie podlega Stanom, tym niemniej Ameryka zastrzegła się, że działalność tej organizacji nie może w niczym naruszać bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Sowiety nie chcą zredukować liczby członków swej misji, gdyż ich znakomita część zajmuje się szpiegostwem. Zresztą 275 członków misji — to nie wszystko. Oprócz nich jest jeszcze bliżej nieokreślona liczba tzw. personelu technicznego, który nie korzysta z immunitetu dyplomatycznego, ale jest przydzielany do misji. Stany Zjednoczone nie występują jednak o zmniejszenie liczby członków tego personelu. ■ Generalny sekretarz KC KPZS Michaił Gorbaczow w przemówieniu wygłoszonym w dniu 29 marca br. i transmitowanym w ZSSR przez radio i TV domagał się, by prezydent Reagan spotkał się z nim jak najspieszniej w jakiegokolwiek stolicy europejskiej celem przedyskutowania sprawy prób nuklearnych pod powierzchnią ziemi. Umowa zakazująca prób nuklearnych w atmosferze, ale zezwalająca na nie pod ziemią, wygasa 30 kwietnia br. Żadne z państw sygnatariuszy tego paktu nie zamierza robić prób nuklearnych w atmosferze, niemniej Ameryka zamierza je kontynuować pod ziemią. Gorbaczow oświadczył ponadto, że Związek Sowiecki zaprzestął prób nuklearnych już w lipcu ubiegłego roku i że nie zamierza ich kontynuować pod ziemią, jeśli Stany Zjednoczone zobowiążą się do tego samego — i dodał, że dalsze amerykańskie próby nuklearne będą wyzwaniem rzuconym nie tylko Sowietom, ale i innym społeczeństwom — w ich liczbie i Amerykanom — które są przeciwnie wszelkim doświadczeniom nuklearnym. W ten sposób Gorbaczow dał do zrozumienia, że przemawia nie tylko w imieniu obywateli sowieckich, ale w imieniu obywateli całego świata. Reakcja ze strony Białego Domu na apel Gorbaczowa nastąpiła natychmiast. Rzecznik prezydenta oświadczył, że przerwanie prób nuklearnych pod ziemią nie leży w interesie Stanów. Co się zaś tyczy propozycji Gorbaczowa, by spotkać się jak najszybciej z prezydentem w celu omówienia spraw nuklearnych, to spotkanie takie miałyby sens tylko wówczas, jeżeli obydwie strony mogłyby przedyskutować wszystkie problemy dzielące obydwa państwa. ■ Dokument przedłożony do podpisu Edwinowi Meese, który pełni w Stanach funkcję zbliżoną do ministra Sprawiedliwości, głosi: wszyscy, którzy pochodzą z krajów komunistycznych i którzy przebywają w Stanach Zjednoczonych mają prawo uzyskania statusu uchodźców, o ile zwracają się do władz amerykańskich z prośbą o azyl polityczny. W praktyce oznacza to, że wszyscy Polacy przebywający w Stanach otrzymają bez trudu prawo stałego pobytu, o ile zwrócą się do urzędu imigracyjnego z odpowiednim podaniem. Dotyczy to nie tylko obywateli państw komunistycznych, ale również innych krajów rządzonych po dyktatorsku. Zmiana to zasadniczo praktykę stosowaną wobec Polaków i innych obywateli KDL-ów. Od roku 1980 każdą prośbę o azyl polityczny badano skrupulatnie, domagając się od petenta, by przedstawił dowody, że był ofiarą prześladowań politycznych albo udowodnił, że jest nimi zagrożony. Urzędnicy imigracyjni, często nieżyczliwi w stosunku do Polaków, odrzucali wiele podań o azyl. Tak np. w roku 1985 tylko 451 Polaków otrzymało azyl, a podania 737 osób zostały odrzucone. W wielu wypadkach funkcjonariusze imigracyjni zakładali, że przybyli do Stanów Polacy, czy osoby pochodzące z innych krajów, podają polityczne motywy jako

pretekst, a w istocie szukają lepszych warunków ekonomicznych. Niewątpliwie w wielu wypadkach tak było. Obecny dekret stwarza sytuację, w której każdy proszący o azyl polityczny w pewnym sensie otrzymuje go „automatycznie”. Projekt dekretu, który w chwili pisania tej kroniki nie wszedł jeszcze w życie, został przygotowany między innymi dzięki staraniom środowisk polskich, spośród nich *New York Times* wymienia prof. Zbigniewa Brzezińskiego.

Zbigniew BYRSKI

KRONIKA FRANCUSKA

Dwudziestu jeden dyrektorów i właścicieli największych wydawnictw francuskich ogłosiło na łamach dziennika *Le Monde* petycję w obronie Czesława Bieleckiego. ■ W salach francuskiego Instytutu Architektury w Paryżu miała miejsce na przełomie marca i kwietnia wystawa prac Czesława Bieleckiego. W latach siedemdziesiątych Bielecki pracował we Francji, gdzie zostało zrealizowanych kilka jego projektów architektonicznych i urbanistycznych. ■ Główną nagrodę ósmego Festiwalu Filmów Kobiet w Creteil pod Paryżem zdobyła polska reżyserka Magdalena Łazarkiewicz za film pt. „Przez dotyk”. ■ Profesor Jerzy Kłoczowski wygłosił w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odczyt o zagadnieniach reformy kościołów wschodnich na Ukrainie w XVI i na początku XVII stulecia. Spotkanie zorganizowali członkowie Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego. ■ 22 lutego osiemnastu wybitnych polityków i związkowców francuskich, zarówno lewicowych, jak i prawicowych skierowało do generała Jaruzelskiego list wyrażający zaniepokojenie sytuacją w Polsce. Sygnatariusze listu zwracali uwagę, że postawa władz warszawskich wobec własnego narodu może zaważyć na przyszłości stosunków francusko-polskich. Tekst podpisali między innymi — Jacques Chirac, Raymond Barre, Lionel Jospin, Pierre Mauroy, Michel Rocard, Simone Veil. Inicjatywa francuskiej osobistości była przeprowadzona w całkowitej dyskrecji, list nie był nigdzie opublikowany, a informacje o nim podała dopiero w połowie kwietnia dziennik *Le Monde*. Jerzy Urban oświadczył na konferencji prasowej, że nie mu na ten temat nie wiadomo. ■ W związku z niepewnymi losami polskiej Fundacji Rolniczej Parlament Europejski w Strasburgu postanowił zablokować zatwierdzoną wcześniej subwencję w wysokości trzech milionów sześciuset tysięcy dolarów jaką Europejska Wspólnota Gospodarcza miała przekazać na pomoc polskiemu rolnictwu prywatnemu. ■ W dniach od 11 do 21 kwietnia przebywał we Francji Prymas Polski kardynał Józef Glemp. Poza licznymi spotkaniami związanymi z jubileuszem 150-lecia Polskiej Misji Katolickiej we Francji kardynał Glemp spotkał się także z francuskimi politykami, m.in. z prezydentem Mitterrandem, premierem Chirac'em i ministrem spraw zagranicznych Raimondem. Zaskoczeniem były niektóre wypowiedzi Prymasa, szczególnie te w wieczornym dzienniku telewizyjnym (Antenne 2) w dniu jego przyjazdu do Paryża. Zapytany w związku z alarmującymi wieściami z Polski o stan zdrowia Władysława Frasyniuka — Prymas odpowiedział, że informacje o chorobie wrocławskiego przywódcy były przesadzone, i że według jego informacji Frasyniuk cieszy się dobrym zdrowiem. O „Solidarności” Prymas powiedział, że istnieje jako idea, która głęboko zapadła w serca, ale nie jako związek. Natomiast na konferencji prasowej, zapytany przez dziennikarzy o głodujących w więzieniach w Polsce, Prymas oświadczył, że głodowały cztery osoby i że Kościół zaapelował do nich o przerwanie głodówki, która jest szkodliwa dla zdrowia. Trzech głodujących katolików zastosowało się do życzenia Kościoła, ale — dodał Prymas — czwarty, który nie jest chrześcijaninem, głodówki nie przerwał. Więcej w tej sprawie Kościół nie mógł zrobić. ■ 25 kwietnia

Centre du Dialogue zorganizował w sali przy kościele Saint-Pierre-du-Gros-Cailou wieczór Haliny Mikołajskiej. W programie „Tryptyk maryjny” — montaż staropolskiej poezji maryjnej w opracowaniu Anny Kamińskiej. ■ 26 kwietnia Stowarzyszenie Francuzów polskiego pochodzenia zorganizowało pod patronatem ministra Kultury, François Leotard popołudnie literackie „La Pologne et les Polonais par ces livres”, na którym dwudziestu kilku pisarzy i tłumaczy prezentowało i podpisywało swoje książki wydane w języku francuskim. ■ 2 maja w sali Centre du Dialogue odbył się pokaz zarejestrowanej na video-kasie sztuki Ernesta Brylla „Wieczernik”, reżyserowanej przez Andrzeja Wajdę. ■ 3 maja w Bibliotece Polskiej Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało spotkanie dla uczczenia rocznicy Konstytucji 3 Maja. Po zagajeniu Prezesa, prof. Eugeniusza Zaleskiego Władysław Bartoszewski mówił o „Tradycjach tajnych wydawnictw w Polsce, a Leszek Talko o „Konstytucji 3 Maja wczoraj i dziś. W programie był koncert chopinowski Aleksandra Woronieckiego i wystawa Zdzisława Cyankiewiczza. ■ Od 17 kwietnia do 11 maja trwa w Galerii Lambert w Paryżu wystawa prac Jana Lebensteina.

Wojciech SIKORA

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris,
Telefon: 43-26-04-42.

JANUSZ RAKOWSKI

„Z PIÓREM W MUNDURZE”
Francja-Szwajcaria 1940-1946.
Dzieje 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Autentyczny pamiętnik pisany w miejscach postoju
w czasie wojny i na internowaniu.

Stron 240. — Liczne fotografie. — Cena 70 FF.

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
-- Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki
w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Monachium, 17 marca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Bardzo Pana proszę o zamieszczenie mego listu dotyczącego przebiegu mojej współpracy z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa. *Kultura* jest pismem ogólnopolskim, a ja chciałbym poinformować moich kolegów ze Stoczni Gdańskiej i z „Solidarności”, co się właściwie stało i dlaczego nie prowadzi już audycji robotniczych w RWE.

Swego czasu dyrektor Rozgłośni Polskiej, Zdzisław Najder, wyraził takie oto zdanie:

„Jest rzeczą jasną, że najlepiej żeby do robotników mówili ludzie ze środowiska robotniczego, do chłopów ze środowiska chłopskiego. To jest postulat, któremu staramy się sprostać, ale nie zawsze to nam wychodzi po prostu z powodu braku ludzi”. (*Puls* nr 21/84.)

Zapewne w tej intencji zaprosił mnie do współpracy z Rozgłośnią.

Jak Pan Redaktor wie, przez 11 lat pracowałem w Stoczni Gdańskiej, w tym przez 6 lat jako robotnik. Brałem czynny udział w strajkach w roku 1976 i 1980. W okresie legalnej działalności NSZZ „Solidarności” pełniłem funkcję przewodniczącego Stoczniewego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Zostałem aresztowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 i 7 miesięcy spędziłem w obozach dla internowanych. Po emigracji do RFN pisałem wspomnienia (III nagroda w konkursie *Kultury* i RWE) i artykuły, które zamieszczało RWE, a także londyński *Dziennik Polski*. Coraz więcej moich tekstów szło na antenę, aż wreszcie zostałem zaproszony do Monachium na dwutygodniową próbę. 1 września 1984 zawarło ze mną półroczny kontrakt. Przydzielono mi stałą audycję „Robotnicze Sprawy”, a następnie stały program „Problemy i Troski Świata Pracy”. Obok tego zająłem się stałą audycją Biura „Solidarności” w Brukseli, edytowałem program „Problemy Zachodniego Świata Pracy”, prowadziłem tak jak wszyscy inni redaktorzy audycję „Fakty Wydarzenia Opinii”, pisywałem komentarze na aktualne tematy także do „Panoramy Dnia” i do innych audycji. Do moich programów nie było zasadniczych zastrzeżeń, wręcz przeciwnie — kilkakrotnie zostały one przez Dyрекcję ocenione pozytywnie. Robiłem chyba postępy skoro przedłużono ze mną kontrakt o dalsze 3 miesiące, a dyr. Najder wielokrotnie dawał mi do zrozumienia, że zatrudnił mnie na stałe, gdy tylko będzie miał wolny etat. W oczekiwaniu na to od 1 czerwca 1985 rozpocząłem działalność jako stały współpracownik. W dalszym ciągu miałem stałą audycję, do mnie należała krajowa tematyka robotnicza i sytuacja w zakładach pracy. Potwierdzeniem, że w dalszym ciągu mogę liczyć na etat była rozmowa dyrektora z jednym z członków Tajnej Komisji Zakładowej „Solidarności”, który czasowo przebywał w RFN i poinformował dyrektora Rozgłośni, że moje audycje są bardzo dobrze odbierane przez środowisko robotnicze Wybrzeża. Rozmowa odbyła się na przełomie czerwca i lipca 1985. Dyrektor Najder stwierdził w niej, że „Zurek jest przewidziany jako stały pracownik Radia”.

Kilka słów o współpracy ze „starymi” pracownikami:

Otóż od samego początku układała się ona jak najbardziej pomyślnie. Pomagali mi koledzy z Redakcji, z Działu Realizacji, z Archiwum i z Administracji. Szybko zaaklimatyzowałem się w Zespole. Nie było między nami żadnych podziałów. Ja — robotnik z Polski i oni — dziennikarze przebywający od wielu lat na emigracji od razu znaleźliśmy wspólny język. Natomiast widziałem, że coraz gorsze są stosunki pomiędzy Dyрекcją, a znaczną — przeważającą — częścią Zespołu.

W połowie roku 1985 rozpoczęto tworzenie w Radio tzw. „Klubu Solidarności”, do którego w myśl regulaminu żaden starszy pracownik nie miał prawa należeć. Miało to być „elitarnie ciało” zrzeszające byłych członków „Solidarności”, a obecnie nowych, przyjętych przez dyr. Najdera pracowni-

Listy do Redakcji

Paryż, 24 marca 1986.

Szanowny i Drogi Panie,

Przeglądając nowy numer nowego pisma *Znaki czasu*, wydawanego przez Centre du Dialogue w Montmorency (nr 1/1986), natrafiłem w artykule Andrzeja Micewskiego „Tradycje historyczne katolicyzmu polskiego” na następujący fragment:

„Hitler wymordował dokładnie taką samą ilość Polaków i Żydów, obywateli państwa polskiego. Dokładnie po trzy miliony” (str. 81).

Jak wiadomo, w ostatniej wojnie zginęło sześć milionów obywateli polskich. Jeśli 3+3 to dzieło Hitlera — gdzie mieszczą się ofiary okupanta sowieckiego? Różne są szacunki, ale cyfra waha się około 0,8-1 miliona. Nie mam pod ręką monografii Kerstenowej, są tam chyba jakieś cyfry. Chyba czas już odejść od tak długo włączanej propagandy PRL-u, że w nią uwierzyliśmy (obok wiedzy o ofiarach prześladowani sowieckich!). Schizofreniczne rozszczepienie świadomości! Przypominam je sobie w tym obrachunku strat także niegdyś u siebie.

Rzeczywista prawda w tej „rachunkowości” zagłady nie osłabiłaby wywodu p. Micewskiego. Ja osobiście nie obruszyłem się na niedawny oficjalny protest Republiki Federalnej Niemiec w sprawie propagandowej wersji PRL daty mordu katyńskiego.

Szacunek dla ofiar ostatniej wojny w Polsce wymaga pamięci o obu okupantach.

Łączę wyrazy poważania

Jacek TRZNADEL

Winterthur, 31 marca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Notatka o śmierci mego brata, Jana Zumbacha (*Kultura* nr 3/462, str. 151) jest niecisła i niepełna. Prosiłbym zatem o następujące uzupełnienie: „W Paryżu zmarł w wieku 70-ciu lat pilot, ppłk dypl. Jan Zumbach, były dowódca Dywizjonu 303, kawaler orderu Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyża Walecznych oraz najwyższych brytyjskich odznaczeń bojowych. Absolwent dęblińskiej szkoły „Orląt”, uczestnik kampanii wrześniowej 1939, kampanii francusko-niemieckiej 1940, Bitwy o Anglię, od 1942 dowódca Dywizjonu 303, zaś po ukończeniu Wyższej Szkoły Lotniczej w Szkocji dowódca polskiego 133-go Skrzydła Myśliwskiego w Wielkiej Brytanii”.

Z poważaniem

Witold ZUMBACH

ków RWE. Próbowano mnie przekonać, że utworzenie „Klubu” pomoże dyrektorowi w kierowaniu Rozgłośnia, rozbijając jednocześnie — jak to określono — „kliki starych pracowników”, rzucających rzekomo kłody pod nogi dyr. Najdera. Zdania tego nie podzielałem. Uważałem, że utworzenie tego „towarzystwa wzajemnej adoracji” tylko pogorszy atmosferę w Zespole. W tej sprawie udałem się do dyrektora oświadczając, że jako były działacz „Solidarności” jestem przeciwny powołaniu tego „Klubu” na terenie Radia i że wręcz — jestem oburzony używaniem nazwy „Solidarność” do rozbijających celów. Od tego momentu nastąpił przełom w traktowaniu mnie przez dyrekcję. Dyrektor jeszcze raz wezwał mnie do siebie pytając, czy podtrzymuję moją krytyczną opinię o inicjatywie powstania „Klubu Solidarność”. Potwierdziłem. Podziękował i zakończył rozmowę. Wkrótce potem w Rozgłośni zwolnił się etat. Dyrektor jednak zatrudnił na nim swego znajomego (jednego z głównych inicjatorów powstania „Klubu”), który niedawno pojawił się z Polski. Następnie na początku października 1985 odebrano mi stały program robotniczy. Z prośbą o zmianę tej decyzji do dyrektora udała się delegacja złożona tak z wieloletnich pracowników Radia, jak i przedstawicieli najnowszej emigracji (nie było tylko nikogo z „Klubu Solidarność” mimo, że byli proszeni o udział). Dyrektor zastaniał się brakiem etatów, pieniędzy i... moją niezajomością języka angielskiego. Czy nie wiedział ściągając mnie do Monachium, że robotnicy w Stoczni nie mówią po angielsku? Poza tym ów znajomy dyrektora Najdera, przyjęty na wolny etat, nie znał po angielsku ani słowa. W jego przypadku nie stanowiło to przeszkody i został dodatkowym korespondentem Radia w... Stanach Zjednoczonych. Gdyby bowiem w Monachium ogłoszono, że jest wolny etat, ja miałbym do niego pierwszeństwo w myśl przepisów prawa niemieckiego.

Dyrektor Najder utracił także petycję Zespołu w mojej obronie, oraz propozycję ustanowienia z godzin nadliczbowych „funduszu Żurka” na okres przejściowy, do chwili otrzymania etatu. Rada Zakładowa i Związki Zawodowe uzyskały zgodę dyrekcji amerykańskiej bym uczestniczył w prowadzonych w Radio kursach angielskiego (sam też uczyłem się prywatnie). Ale już następowała wobec mnie eskalacja szyskan. Pozbawiono mnie biurka, potem zdjęto tabliczkę z nazwiskiem, pominięto w spisie telefonów, a po Nowym Roku pozbawiono przepustki do gmachu radia. Dyrekcja amerykańska zgodziła się wtedy wydać przepustkę w związku z kursem językowym. Dyrektor Najder wyraził jednak kategorię przeciwny. Nie wolno mi też było uczestniczyć w konferencjach redakcyjnych ani pisać tekstów. Na początku bieżącego roku dyr. Najder poprosił mnie do swego gabinetu, by mi udzielił rady. Brzmiała ona: najlepiej będzie jeżeli pójdę do pracy w przemyśle niemieckim, bo dla Radia mogę napisać coś najwyższej raz na dwa tygodnie i nie ma mowy ani o stałym etacie, ani o stałych audycjach.

Z takiej propozycji współpracy nie skorzystałem. Już naprawdę miałem dość wykrętów i obłudy. „Robola” znów wykiwano... nie po raz pierwszy.

Z poważaniem

Bogdan ŻUREK

WYJAŚNIENIE

B. Redakcja *Tygodnika wojennego* wyjaśnia, że *Samorządna Rzeczpospolita* nie jest bezpośrednią kontynuacją *Tygodnika wojennego*, ale jedną z inicjatyw powstałych po rozwiązaniu tygodnika.

Dokumenty

LIST CZESŁAWA BIELECKIEGO DO MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI

Czesław Bielecki s. Franciszka
Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów
ul. Rakowiecka 37
02-521 Warszawa

Warszawa, 1986-02-03

Szanowny Pan
Minister Sprawiedliwości
Lech Domeracki

Motto: *W krajach, których obywatele nie czują się pewni w więzieniach, nie czują się również pewni na wolności.*

Szanowny Panie Ministrze,

List ten jest spłaceniem mojego długu wdzięczności wobec resortu sprawiedliwości. W areszcie, z którego piszę, pobieram — acz niesystematycznie, ale już od dwudziestego roku życia — edukację, która pozwoliła mi zbliżyć się trochę do mojego ideału człowieczeństwa. Nie wiem, gdzie i czy służył Pan Temidzie, gdy przywieziono mnie po raz pierwszy do Mokotowskiej Szkoły Życia, ale pozwoli Pan, że na Pana ręce złożę podziękowania także i Pana poprzednikom na stanowisku ministra sprawiedliwości. Kiedy sobie uświadomiłem ten dług? Nie tak dawno, 5 stycznia 1986 roku. Krążąc po zaśmieconej betonowej klatce mokotowskiego spacerniaka musiałem zemdleć — był to osiemdziesiąty piąty dzień mojej głodówki — bo nagle poczułem trącający mnie czubek buta, zobaczyłem czapkę kapitana służby więziennej i usłyszałem pełen kpiny głos: „Nie udawaj, Bielecki! To historia. Masz na pewno normalne ciśnienie!”. Gdy otrząpiałem się już ze śniegu i uświadomiłem sobie, że nic mi się nie stało, pomyślałem, że jeżeli Pan, Panie Ministrze, przy tym — doprawdy dalekim jeszcze od europejskich standardów — ciśnieniu społecznych żądań uprawia politykę bez hysterii, to powinien Pan choćby na chwilę,

jak ja czubek buta Pana pracownika, zobaczyć czubek lodowej góry niesprawiedliwości. Nawet po prawie czterech miesiącach głodówki nie czuję się na tyle skrzywdzonym i poniżonym, by kierować do Pana zażalenie lub protest. Zamiast skarżyć się na drobną część zła, które wypadło mi znieść, wolę wyrazić Panu wdzięczność za to, o ile większą jego część, niewidoczną na powierzchni, zobaczyłem. Śladem autora motta i ja myślę, że najsprawiedliwiej i najprościej wydać sąd o jakimś państwie na podstawie jego sądownictwa. A jeśli moja wdzięczność wyrażona w socjograficznych obserwacjach zainspiruje Pana Ministra do bardziej profesjonalnych rozważań w trójkącie: władza — sprawiedliwość — społeczeństwo, być może nie trzeba już będzie kierować do Pana kolejnego aforyzmu Leca: „Oto stróż prawa — chroni je tak doskonale, by nikt nie mógł zeń skorzystać”.

Od Pana, Panie Ministrze, zależy, czy ten list będzie fragmentem trudnego dialogu, czy paroma kartami Białej Księgi Bezprawia. Dialog ten, choćby był nie wiadomo jak trudny — siłą rzeczy prowadzony w podziemiu i na powierzchni, a nieraz przez kraty — musi odbywać się publicznie. Skoro partia mówi o rządzeniu przy odsłoniętej kurtynie, pora też pokazać kulisy sprawiedliwości. Zależność: dekoracja — zaplecze ma zresztą ściśle prawny aspekt. Ponad Konstytucją, ustawami Sejmu i zarządzeniami ministrów Polską rządzi prawo powielaczowe — to sznurowania partyjnego teatru. Prawo powielaczowe wydaje się większym zagrożeniem kultury prawnej, nad którą Pan Minister tak boleje, niż używanie przez obywateli powielaczy bez zezwolenia władz. Choćby to Pana bardzo drażniło, społeczeństwo nie przypadkowo zarzuciło etykę dwustronną, prawno-społeczną, na rzecz etyki bezroszczeniowej i wybiera — jak to określiła Maria Dąbrowska u progu wchodzenia w nowe — nieważkie bodźce moralne: miłość ojczyzny, idei, honoru, sumienia. Po czterdziestu latach prób i błędów przyczyna takiego stanu rzeczy jest jasna. Ustawodawstwo nie oznacza jeszcze prawodawstwa, gdy działanie prawa nie broni rozumiałej dla wszystkich skonwencjonalizowanej moralności, lecz powielaczowej interpretacji interesów rządzących. Zasada wzajemności w relacjach władza — społeczeństwo jest nieustannie gwałcona. Tylko tak rozumieć mogę fakt, że Prokuratura Rejonowa Dzielnicy Warszawa-Śródmieście w 1980 roku nie wszczęła śledztwa przeciwko zwykłemu funkcjonariuszowi SB, który pobił mnie pałką w moim własnym mieszkaniu, na co przedstawiłem oczywiste dowody, a w 1985 nie odpowiedziała nawet na prywatne oskarżenie o oszczerstwo dokonane w Sejmie przez pierwszego funkcjonariusza tego samego resortu, ob. Czesława Kiszczaka, który pomówił mnie o agenturalną działalność. Gdy prawo okazuje się tylko grubą instrumentacją doraźnych decyzji politycznych, nic dziwnego, że społeczeństwo okopuje się we własnym świecie wartości i broni go nawet za cenę wolności. Ostatnie lata pokazały, że inne są prawa człowieka i obywatela, gdy jest on ministrem czy I sekretarzem — i to obojętne: w sytuacji ferującego wyroki czy sądownego — a inne, gdy jest po prostu człowiekiem i obywatelem. Sądząc z decyzji wymiaru spra-

wiedliwości PRL to kraj, w którym za rządów jednych niewinnych olbrzymów liliputy spowodowały paroma strajkami największy krach gospodarczy w powojennej Europie, a dziś kolejne (czasem te same) olbrzymy muszą się trudzić, aby zeń wyprowadzić niewdzięcznych liliputów.

Będąc zawodowo wyczulonym na problem skali, i to ludzkiej skali, zaznaczam już na początku, że dla mnie prawa człowieka zaczynają się od jednostki i dopiero wtedy mogą być miarą sprawiedliwości, gdy sprawdzą się na pojedynczym przypadku. Odwracanie sensu praw człowieka, ocenianie ich w ujęciu globalnym — sprawiedliwości społecznej dzielonej *per capita* — jest tylko na pierwszy rzut oka zręcznym chwytym propagandowym. Mur berliński zbudowano z powodu ucieczek na Zachód, nie na Wschód. Skoro Pana kolega, minister spraw zagranicznych, mówił w Sejmie o bezpieczeństwie socjalnym w PRL, chciałbym zapytać: dlaczego wielomilionowa zachodnia armia bezrobotnych pozbawiona posiadanych przez nas praw nie przybywa zlikwidować naszego deficytu rąk do pracy? Co więcej, nie przyjeżdżają do nas skrajnie wykorzystywani kolorowi *Gastarbeiter*'zy, nie są jakoś zaślepieni, że strawestują gen. Jaruzelskiego, internacjonalistycznym wschodnim blichtrzem! Dopóki życie nie odpowie mi na te wątpliwości, nawet w mokotowskim areszcie nie martwię się o logikę mojego ujęcia praw człowieka. Idąc dalej, muszę zaznaczyć, że wolność, którą te prawa gwarantują, nie może być wprowadzona — jak to się dzieje w PRL — do czterech ścian mieszkania lub celi: fakt, że piszę te słowa, jest przykładem tylko mojej wewnętrznej wolności, choć dla niektórych to, że wysyłam z więzienia służbowy list lub przemycam polityczny esej, jest już dowodem liberalizmu naszej peerelowskiej sprawiedliwości. Ale ja, który co parę linijek zerkam na judasz, znając rewizje osobiste z rozbieraniem do naga przy niejednym spacerze, wiem, że dopiero gdy Pan, Panie Ministrze, wydrukuje ten list otwarty i publicznie nań odpowie, będzie to dowodem swobód w kraju. I co nie mniej ważne, także Pana osobistej wolności.

Gdy 13 października 1985 roku rozpocząłem głodówkę, płk Czesław Zbroja, szef V Oddziału Naczelnej Prokuratury Wojskowej, poinformował mnie na piśmie, że stosuję — cytuję — niedozwolone naciski, i dodawszy cudzysłów do protestu, w którym formułowałem jej przyczyny, zatrzymał wszystkie jego kopie. Pora więc przyjrzeć się, jakie bez cudzysłowu naciski na obywatela władza uznaje za dozwolone i jakie bez cudzysłowu protesty są w ogóle możliwe. We własnej sprawie będę tylko medium, a jeśli jest w niej coś nietypowego, to jedynie fakt, że do *mass-medium* (w dodatku nawet niezależnych) dociera. Tym chętniej zapraszam więc Pana, Panie Ministrze, do lustracji przedziałów w pociągu krajowej relacji Sprawiedliwość — Sprawy Wewnętrzne, stojące na stacji Warszawa-Mokotów. Nie będzie to, sprzedam, salonka ani wagon restauracyjny. Niedawno odmówiłem właśnie odbioru kolejnej paczki żywnościowej, jaką mnie kuszono: zawierała cytrusy, orzechy, rodzynki i migdały. Dla naszej lustracji istotniejszą jest jednak fakt, że gdy osiemnaście lat temu bawiłem tu

krótko jako rzekomy przedstawiciel „bananowej młodzieży”, na areztancką „wypiskę” można było dostać kielbasę zwyczajną po 44 zł/kg i świeże jaja a dziś każdy więzień wie, że to *se ne vrati*, jak mówią bracia-Czesi. Kreślę ten przypis, gdyż na podstawie oficjalnych informacji o głodówkach może Pan Minister sądzić, że z powodu objadania się cytrusami przez „niekryminalnych” zabrakło „wsadu dewizowego” i zwyczajna na wolności musi być na kartki.

Proponuję najpierw dokonać *in situ* krótkiego przeglądu bezprawia oznaczonego sygnaturą akt V Pn. Śl. 17/85. Sprawa moja i nieznaney mi liczby osadzonych tu współpodejrzanych nie pozostawia wątpliwości co do tego, że jesteśmy zakładnikami, jednymi z wielu zakładników w rozłożonym na etapy — to już etap czwarty — procesie normalizowania społeczeństwa. Pozostawiając na później interpretację norm, które władza uważa za usprawiedliwienie tego szantażu, zajmę się wpierw właściwymi jego celami. Otóż aparat terroru — zgoda, głównie psychicznego, ale gdyby tylko Komitet Helsiński w Polsce nie wydał już paru Raportów z wciąż zwiększającą się liczbą śmiertelnych ofiar i bestialskich pobić — więzi nas po to, aby władza uzyskała kredyt zaufania: kredyt w twardej walucie od obcych rządów oraz banków i w miękkiej uległości od własnego społeczeństwa. Sytuacja patowa przedłuża się, bo jak na razie nikt nie ma ochoty wystawić niewiarogodnemu wierzycielowi czeków *in blanco*. Nie mogąc od 13 grudnia uzyskać liczącego się kredytu władza dba o to, aby mieć zawsze w ręku jakiś zastaw. Tymi żywymi fantami jesteśmy my: dla aparatczyków — więźniowie niekryminalni, dla potencjalnych kredytodawców — polityczni. Znamy obaj, Panie Ministrze, to abecadło. Piszę o nim, aby zrozumiał Pan, dłaczego, kontynuując moją głodówkę nie będę z nikim i na żaden temat pertraktował. Zakładnik może walczyć o szanse normalnego życia, choćby ryzykując, i póki walczy żyje naprawdę, gdy zaczyna rozmawiać — staje się już tylko niewolnikiem.

W sprawie tej jednym z najpoważniejszych stawianych mi zarzutów jest współpraca z Jerzym Giedroyciem. Nie ukrywam, że to potrójny dla mnie zaszczyt. Za pierwszy starałem się zrewanżować dedykując redaktorowi *Kultury* mój więzienny esej „Polska polityka”. Drugim zaszczytem jest postawienie mnie w długim szeregu bezinteresownych i szlachetnych ludzi, którzy w ciągu dziesiątków lat z większym niż ja poczuciem osamotnienia i zagrożenia robili wszystko, żeby polska kultura była jednością w różnorodności, a nie zsovietyzowanym zaściankiem odciętych kordonem od Zachodu. Listę ofiar procesów politycznych (po Październiku...) za kontakty z paryskim Instytutem Literackim otwiera Hanna Rewska, łączniczka AK w zamachu na Kutscherę. Dalej wyrasta szereg ludzi takich, jak Jakub Karpiński i inni „taternicy”, założyciel i szef Nowej — Mirosław Chojecki, czy Grzegorz Boguta, który w jej imieniu podpisał oficjalną umowę międzywydawniczą z redaktorem Giedroyciem na Targach

Książki we Frankfurcie — symbol normalności roku 1981 w naszej kulturze. Nie sposób wprost wymienić wszystkich, lecz ponieważ to sami przyzwoi ci ludzie, więc w części figurują z pewnością w dostępnych Panu *dossiers*. Po trzecie wreszcie, zarzut współpracy z Jerzym Giedroyciem pozwala mi czuć się pozytywnistą, do czego zawsze pretendowałem. Dzięki cierpliwym wysiłkom wielu anonimowych często do dziś wydawców, drukarzy, kolporterów i czytelników stojących za fenomenem bibuły mają się w tym roku ukazać w PRL legalnie dzieła zebrane Gombrowicza, których pierwszym wydawcą — i to wydawcą, bez którego wiele z nich, choćby „Dzienniki”, w ogóle by nie powstało — był Instytut Literacki. A już w ubiegłym roku *Polityka* — bez podejrzeń o rewizjonizm choćby własnej linii — wykorzystwała m.in. tekst Jana Nowaka, byłego dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE opublikowany w *Zeszytach Historycznych*, wydawanych także przez Jerzego Giedroycia. Drugi obieg wymusza bowiem pierwszy. Paryska *Kultura* i polska kultura, polska polityka i warszawska *Polityka* są tego przykładami. Przykładami zjawiska znanego wszystkim so-wietologom: realny socjalizm to wynik mieszania się wyczyszczonego do białości z towarów rynku oficjalnego z czarnym rynkiem, bez którego ten pierwszy nie może już istnieć.

Gdy wezwany przez płk. Zbigniewa Szawłowskiego z Naczelnej Prokuratury Wojskowej usłyszałem nowy zarzut: nie jestem już podejrzany tylko o przestępstwo, za które grozi mi wyrok do 5 lat więzienia, ale o kolejne, zagrożone wyrokiem do 10 lat — także nie podjąłem rozmowy. Jestem zakładnikiem przetrzymywanym w pociągu krajowej relacji Sprawy Wewnętrzne — Sprawiedliwość: człowieka mają, a artykuł zawsze się znajdzie. Nie prawo kontroluje polityków, nie Sąd Najwyższy jest jego niezawisłym stróżem. To politycy są prawodawcami i egzekutorami prawa, politycy ubrani w togi, mundury lub szare garnitury. Szukają takich winnych, takich zamykają, takie przedstawiają im zarzuty, jakich wymaga bieżąca koniunktura. Ciesząc się, że życie ofiarowało mi rolę zakładnika, nie porywacza, dopisuję dziś do moich „21 uwag o dialogu z terrorystą” kolejne zastrzeżenie. O ile terrorizm indywidualny można uprawiać zawsze i wszędzie, to terrorizm państwowy tylko wobec obywateli poddanych własnej jurysdykcji. Niejeden nonsens napisano już dla rządowego chleba, lecz jeśli sam rezygnuję nawet z więziennego, pragnę tylko zaznaczyć, że podlegam — cóż, że wyrafinowanemu, ale jednak — terrorowi państwowemu PRL, nie zaś sankcjom jakiegokolwiek innego kraju. Państwowym terroryzmem nie jest bowiem walka ekonomiczna ani militarna z innym państwem albo wprowadzenie ustawodawstwa wyjątkowego w warunkach przewidywanych przez konstytucję (nie było tak, jak wiemy, 13 grudnia 1981 roku). Natomiast gdy państwo przez dziesięciolecia jest *de facto*, a czasami i *de iure* w stanie wojny z własnym społeczeństwem, wojny, w której główną bronią pozostaje strach — to jest państwowy terrorizm. Ekipy komunistyczne zmieniają się u władzy kosztem tysięcy ofiar w Jemenie Południowym, a setek — w Polsce, ale nie wynika to z różnicy zasady, lecz z różnic

między Środkowym Wschodem a Europą środkowo-wschodnią. Generałowie rządzący PRL-em i szczytujący się swoim liberalnym terrorem pomijają *ethos* drugiej strony konfliktu: „Solidarność” w niczym nie przypominała lewicowej kolumbijskiej organizacji partyzanckiej M-19, która zdobywszy szturmem Pałac Sprawiedliwości uwięziła w nim sędziów sądu najwyższego jako zakładników i zabiła jego prezesa. Zgodzi się więc Pan chyba ze mną, Panie Ministrze, że jeśli w Europie środkowo-wschodniej mjr Matcz z Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego drze zażalenie na swoją decyzję, aby do Sądu Najwyższego nie dotarła wiadomość o moim proteście głodowym, w języku prawniczym mówi mi dokładnie: „Pod ścianę i ręce do góry!”.

Po dotychczasowym przebiegu śledztwa nie zdziwiłbym się zresztą, gdyby o zarzucie przygotowywania do obalenia ustroju PRL powiedział mi funkcjonariusz Służby Więziennej w drzwiach celi krótkim: „Od dziś — do 10 lat łącznie”. Nie inaczej informują mnie o zatrzymaniu moich listów lub konfiskują ich bruliony, choćbym — jak ten do Pana — jeszcze ich nie wysłał. Znana to łągierna tradycja — zekowi po pięciu latach pokazywano kartkę: „Przedłużenie. Jeszcze pięć”. A czyż na podobnej zasadzie nie aresztowano internowanej jedenastki z Komisji Krajowej „Solidarności” i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”? Po co gubić się w analogiach, skoro już w parę dni po zgłoszeniu mi dodatkowych zarzutów mogłem odczuć ciężar tej tradycji. Z zakrwawioną twarzą — właśnie zemdlałem po raz drugi i upadając rozbiłem sobie nos i usta o posadzkę celi — wspiąłem się znów trzy pietra na górę, aby zorientować się, że dwóch esbeków będzie mi na zmianę czytać akta sprawy. Wobec mojego upartego milczenia przygotowali się do konwejera, ażeby praworządności stało się zadość, na biurku leżał już zeszyt podpisany moim nazwiskiem: chcesz to notuj. Po skonfiskowaniu wszystkich odpisów oficjalnej korespondencji i dziennika SB najwyraźniej postanowiła nauczyć mnie słuchać i pisać. Z przyczyn obiektywnych, których nie musiałem nawet wyjaśniać — waży już niemal trzydzieści kilogramów mniej niż w momencie aresztowania i list ten piszę na raty, głównie leżąc — zażądałem puszczenia mnie do celi. Edukacyjny konwejer okazał się w końcu tylko kolejną próbą nerwów.

Nazajutrz prawem kontrastu zaproponowano mi możliwość widzenia z moimi synami (mają 7 i 10 lat), którym nie pozwalano na to — dla dobra śledztwa oczywiście — przez dziewięć miesięcy. I tej oferty połączonej z uprzejmym warunkiem odpasienia się przed widzeniem nie przyjąłem. Panie Ministrze, po cóż sięgać do statusu więźnia politycznego? Ładnie wyglądałyby prawa tymczasowo aresztowanego, jeśli musiałyby trzy miesiące głodować tylko po to, żeby dzieci mogły go przez pół godziny zobaczyć!* Myślę przy tym o sprawie dwóch innych chłopców. Bracia

* Proszę się nie niepokoić. Po kolejnej nieudanej próbie wymuszenia przerwania głodówki, właśnie dziś, 3 lutego, moim synom zezwolono na pierwsze widzenie.

Zielińscy wbrew woli PRL, natomiast bez sprzeciwu rodziców „wybrali wolność”, jak to lapidarnie ujmuje popularne określenie. Głównie chcieli pomóc stanąć na nogi swojej ciężko harującej rodzinie, która uporem i uczciwością nie mogła jakoś w PRL osiągnąć minimum godnego ludzi pracy. I oto nasze nadopiekuńcze państwo wraz z Towarzystwem Przyjaciół Dzieci zażądało, aby oszczędzić braciom Zielińskim widoku Szwecji tak, jak Naczelną Prokuraturę Wojskową chciała oszczędzić braciom Bieleckim widoku polskiego aresztu. Ciekawe, jak długo ci dzielni uciekinierzy, którzy zeszli na ląd z promu jakby z kart „Serca” Amicisa, będą musieli czekać na spotkanie ze swoją rodziną w kraju?

Rozpoczynając 13 października głodówkę oddawałem w dniu wyborów mój głos na rzecz statusu więźnia politycznego w przekonaniu, że dzisiejszy status „niekryminalnych”, faktycznie różny od statusu zwykłych więźniów, jest przywilejem, którego można zawsze na podstawie prawa powielaczowego nas pozbawić — sprawiedliwość oparta o nieformalny przywilej to sprzeczność w przypadku. Użytkownicy dwóch najwyższych pięter pawilonu MSW mogą zasugerować, co należy zrobić z opornym w śledztwie podopiecznym, siedzącym na jednym z trzech niższych pięter podległych Pana resortowi, i jak w moim przypadku „Tymczasowy regulamin wykonywania tymczasowego aresztowania” przestanie tymczasem obowiązywać. Wśród natłoku wydarzeń decydujących o mojej wdzięczności socjografa nie mogę pominąć tego, gdy w przekonaniu, że to mnie złamie, zostałem po pięciu dniach głodówki przeniesiony „na sianko”, czyli na podłogę w celi głodujących kryminalistów. Siedząc tam w sześciu na 9 m² mogłem wreszcie wypełnić parę białych plam w moim obrazie systemu penitencjarnego PRL. *Nota bene* trzeba naiwności SB, żeby wierzyć w odtworzenie łągiernych konfliktów między „urkami” a „wrogami ludu”, gdy to właśnie „Solidarność” po raz pierwszy upomniała się publicznie o los więźniów i o warunki życia na tym społecznym wysypisku, jakim dla władz jest więziennictwo. I trzeba samemu nie mieć charakteru, sądząc, że przelatujący metr od mojej głowy strumień moczu może mnie poniżyć, skoro nie czułem się pozbawiony godności, czytając wynurzenia gen. Pożogi czy anonimowego felietonisty organu KC PZPR zastanawiających się nad stopniem mojej niezależności jako człowieka polityki, architekta czy publicysty. Jeśli coś mnie w tej sytuacji krępowało, to poczucie, że po raz pierwszy zostałem uprzywilejowany oglądaniem bezprawia, które dla mnie było testem, a dla więźniów kryminalnych — codzienną rzeczywistością. Nazajutrz po przeniesieniu mnie do oddziału szpitalnego strażnicy pobili w dźwiękochłonnej celi więźniów, z którymi siedziałem „na sianku” i którzy nie inaczej niż ja stawali bierni opór wobec przymusowego karmienia. Nazwiska? Proszę bardzo: Ryszard Ślepowroński i Tomasz Wydra. W ten sposób dowiedziałem się, że nawet głodujący dzielą się jeszcze na równych i równiejszych. Ze mną jeszcze się bawiono. Funkcjonariusze SW z poświęceniem zdejmowali mnie więc za ręce i nogi z łóżka, z oddaniem ciągnęli mnie

na plecach po korytarzu, aby w pięciu przygnieść mnie do betonowej posadzki i założyć do przetyku sondę albo rzucić jak worek kości na taboret uprzednio podnosząc za skute z tyłu kajdankami ręce. Po popisie liberalizmu trwającym przeszło miesiąc uszkodzono mi rozwieraczem staw szczęki tak, że nie mogłem już i z własnej woli jej rozchylić; nazajutrz, widząc to, dokonano siłowej poprawki. I gdy przy rentgenie czaszki uprzedzono mnie, że uszkodzą mi przecież prędzej czy później nerwy twarzone, a dyrektor szpitala nie mniej życzliwie zasugerował, że i zęby mogą połamać — po niemal dwóch miesiącach stawiania biernego oporu pozwoliłem zakładać sobie sondę dobrowolnie. Było to z mojej strony karygodną słabością, lecz mam nadzieję, że za okoliczność łagodzącą uzna Pan Minister fakt, iż sam się do niej przyznaję.

Zanim do tego momentu doszło, mogłem zorientować się w szczerości intencji resocjalizacyjnych naczelnika aresztu, który przed moim pojawieniem się „na sianku” uprzedził głodujących aresztantów-recydywistów, że „on osobiście jest za takimi głodówkami, jakie były u Margaret Thatcher”. Wiele bym dał, aby po przyjęciu przez *Iron Lady* zasady przymusowego karmienia głodujących nasze władze przejęły od okrutnej angielskiej policji zwyczaj dopuszczania obrońcy do klienta już w trakcie śledztwa. Co Pan sądzi, Panie Ministrze, o takiej wymianie idei i takim duchu współpracy w Europie? Zanim Pan odpowie, wyjaśnię codzienny sens słów naczelnika. Gdy przerwał już głodówkę mój kolejny współtowarzysz, Zbigniew Gadomski — recydywista, i to z osiemnastoletnim stażem więziennym, chciałem przekazać mu niepotrzebne jedzenie i papierosy przechowywane na czas mojej głodówki w depozycie. Naczelnik aresztu nie wyrzcił na to zgody. Człowiek, któremu chciałem pomóc, oczekiwał operacji kręgosłupa, był zupełnie samotny i na nikogo nie mógł liczyć: brata zabito mu nożem w bójce, a pozostała rodzina wyrzekła się go. W areszcie jak i na wolności istnieje kasa zapomogowo-pożyczkowa i głośnik zwany „betoniara” informuje wszystkie cele, że dla jednego z setek więźniów to społeczne ciało wyasygnowało miesiąc temu 400 zł. Ale dla zwykłego ludzkiego odruchu pomocy czy współczucia nie ma miejsca, gdy jest on (co za uparte słowo!) niezależny.

Myszę, że po tych wyjaśnieniach może Pan być zupełnie pewny, że choćby ogromna była moja wdzięczność wobec Sprawiedliwości, którą Pan Minister reprezentuje, choćbym mdlał i padał na twarz, będę wstawał i kontynuował głodówkę. Triada bezprawia: sprawy — śledztwa — aresztowania pozwoliła mi nabrać wystarczającego dystansu do życia, jak napisałem to Sądowi Najwyższemu, abym nie klęknął pod murem więziennym, z którym władza utożsamiała linię dialogu i porozumienia.

Zanim — wolny czy uwięziony — przeczytam wykute rzymską majuskułą na warszawskich sądach zdanie: Sprawiedliwość jest

ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej, spróbuję jeszcze wyjaśnić, dlaczego ta, za którą Pan optuje, jest źródłem słabości III Rzeczypospolitej. Postulaty głodujących, walczących o uwolnienie wszystkich więźniów sumienia, gwarantujące bezpieczeństwa dla TKK i podziemia, poszanowanie konstytucyjnych praw opozycji pozaparlamentarnej i przyznanie statusu więźnia politycznego — nie są fantazmatami, lecz wyrastają z realiów życia po obu stronach więziennego muru. Delegalizując „Solidarność” władza delegalizowała znów społeczeństwo, jak po każdym z kryzysów w PRL — na szczęście nie była to nam pierwsza. Po 13 grudnia zrealizowano jak dotychczas najpełniej, gdyż związek stał się najpełniejszym uosobieniem aspiracji narodowych, ironiczną uwagą Brechta wypowiedzianą po Powstaniu Berlińskim w 1953 roku: skoro społeczeństwo nie może zmienić władzy, która mu nie odpowiada, może władza powinna rozwiązać społeczeństwo i wybrać sobie nowe? Muszę tu przypomnieć, Panie Ministrze, że już dziesięć lat działają w Polsce instytucje zapewniające niezależny od oficjalnego obieg wartości, to są fakty dokonane przez społeczeństwo. Każde porozumienie bez gwarancji bezpieczeństwa dla jawnych czy ukrywających się ich mandatariuszy, bez rezygnacji władz z nielegalnej wykładni prawa okazywało się złudzeniem rządzących. Wymiar sprawiedliwości musi zabezpieczać suwerenność obywateli i instytucji, niezależnie od tego, czy reprezentują oni większość czy mniejszość — to nie utopijny postulat opozycji, lecz gwarancja zawarta w Konstytucji. „Wyraz 'suwerenność' — pisał Cat-Mackiewicz już w III Rzeczypospolitej — oznacza tyle samo co kompetencja kompetencji, że jest jakąś osoba lub ciało zbiorowe, które samo sobie stanowi, jakie ma kompetencje, jakie prawa”. Bezpieczeństwo obywatela opiera się na uznaniu jego wewnętrznej autonomii i jego ekspresji, bezpieczeństwo instytucji społecznych na uznaniu ich suwerenności — atakując je władza sama szerzy anarchię i sama delegalizuje się. Sejm powinien być warsztatem pracy dla ambicji i aspiracji Polaków. Jeśli nim nie jest, to dlatego, że partia wciąż zapomina, jakim krajem i narodem rządzi. Zamiast usankcjonować choćby ten trudny dialog, który w podziemiu, na powierzchni i poprzez kraty się toczy, i otwierać pola konstruktywnej współpracy, liczy wciąż — jak śledczy — że społeczeństwo „pójdzie na współpracę”. Poszanowanie konstytucyjnych praw opozycji pozaparlamentarnej to postulat realistyczny, jeśli się rozumie, że konspiracja „Solidarności” jest tylko techniczno-organizacyjnym minimum samoobrony społeczeństwa. Pozwala mu *hic et nunc* przygotować się do normalnego życia politycznego i tworzyć załączki tego życia. Z całą powagą gotów jestem przystać na formułę oficjalną: opozycja przegrała wybory do Sejmu. Ale czy Pan, Panie Ministrze, jako prawnik z równą powagą mógłby powiedzieć, że miała szansę je wygrać przy tej ordynacji i procedurze wyborczej? Czy nie jest, jak napisałem 13 października ubiegłego roku rozpoczynając głodówkę, wielkim bezprawiem, przy którym bezprawie o sygnaturze akt Pn. Śl. 17/85 wydaje mi się wciąż miałym, że obywatel PRL ma do wyboru tylko bojkot lub

udział w farsie? Że biała większość może wybrać tylko czerwoną mniejszość? Łatwo jest pouczać Afrykanów z RPA, że nie dopuszczają do głosu i do władzy czarnej większości. Sołżenicyn miał jednak po stokroć rację, gdy politykę dyskryminowania białej większości w krajach komunistycznych nazwał rasizmem socjalnym. Skąd ta pewność co do białej większości — zapyta Pan. Wystarczy, że przypomni Pan sobie, Panie Ministrze, pierwszą pielgrzymkę Papieża do Polski w 1979 roku. Nie było jeszcze wtedy „Solidarności” przez duże S, ale była ta pisana przez małe, której również nie można podzielić ani zniszczyć, skoro trwamy jako naród. I już wtedy mogliśmy się policzyć.

Zgoda, na świecie jest wiele bezprawia. Gdy przed Sierpniem pisałem o kryzysie ja, nie Pan, zaznaczałem, że PRL nie wygra międzynarodowego przetargu na represje. Jest wiele krajów, gdzie z nieznaną u nas brutalnością gwałci się reguły gry politycznej, gdy jest to wygodne dla jakiejś grupy rządzących lub rządzonych. Ale sama gra ma reguły. Łatwo mówić na wszystko: *A u was negrow bijut!*, a świat idzie do przodu na przekór naszym propagandyście uwieszonym na „kole historii”. Fakt, że w Stanach rządził także McCarthy, nie przeszkadza dziś działaczą Komunistycznej Partii USA. Natomiast fakt, że w Polsce rządził kiedyś Bierut z Gomułką, którzy wprowadzili zakonspirowaną powielaczową interpretację Konstytucji, delegalizuje i Konfederację Polski Niepodległej, i Komitet Helsiński w Polsce, i każdą polityczną, ekonomiczną, społeczną czy kulturalną inicjatywę białej większości, jeśli tylko nomenklatura uzna ją za niebezpieczną dla siebie. Więziony w RPA Mandele mógł oficjalnie udzielić wywiadu czołowym dziennikom amerykańskim. Uwięziony w PRL Michnik mógł udzielić wywiadu *Tygodnikowi Mazowsze*, gdy mnie — jeszcze *incognito* — przeniesiono do jego celi. Czarny biskup Desmond Tutu jeździł po całym świecie i upomina się o prawa przśladowanych rodaków. Nasz przywódca zakazanego biało-czerwonego związku może spotkać się w prywatnym mieszkaniu tylko z kandydatami na więźniów, a jeśli przyjąłby zaproszenie któregoś z szacownych instytucji na świecie, zagwarantowano mu już odcięcie powrotu do Polski. Czy tu też ma Pan wątpliwości, Panie Ministrze? Służę. *Casus Blumsztajn*.

Władze PRL uciekają od takich jednostkowych weryfikacji przestrzegania praw człowieka i obywatela, gdyż ukazują one rzecz najgroźniejszą: brak reguł; chętnie natomiast interpretują precedensy ich łamania gdzie indziej. Wśród pół miliona więźniów amerykańskich nie znajdzie Pan Minister jednego nawet przypadku działacza zdelegalizowanej 10-milionowej organizacji, ściganego, sądanego i skazanego za to, że kontynuował pracę dla niej. W USA izoluje się jednostki, których żadne pozaparlamentarne ani parlamentarne struktury opozycyjne nie zdołały wchłonąć i społeczeństwo czuje się ich działalnością zagrożone — wszak sądzi ich ława przysięgłych. Państwa zachodnie chcą i nauczyły się, choć nie bez ofiar, wchłaniać ekstremizmy polityczne, niejednokrotnie były one drożdżami mieszczańskiej demokracji. Państwa komunistyczne przeciwnie — chcą wchłonąć

własne społeczeństwa obywatelskie. Za najmniej kosztowny politycznie uznają selektywny terror spraw wewnętrznych i sprawiedliwości zmierzający do izolowania „ekstremy”, to jest tych, którzy nawet w więzieniach czują się obywatelami, a nie własnością państwa. I jeśli prawo amerykańskie opiera się na poszerzeniu osądów precedensowych, naszym wymiarem sprawiedliwości rządzą paradoksy. W imperialnej republice, jaką są Stany, każdy akt bezprawia jest publicznie podnoszony, aby służył obronie prawa i praworządności. Najpełniejszym świadectwem tego była afera Watergate i *impeachment* Nixona. W satelickiej republice PRL władza dopiero wtedy decyduje się — jak w sprawie morderstwa ks. Popiełuszki — otwarcie karać winnych z niższych szczebli, gdy nastąpił gruby błąd w codziennej sztuce łamania praworządności.

Naszym Innym Światem na co dzień rządzi podział my — oni. Prawo i „lewo” znaczy co innego dla każdej ze stron. Jeśli czuje się zaniepokojony, gdy w areszcie zaliczają mnie do „równiejszych”, to dlatego, że zbyt dobrze znam zasady sprawiedliwości stosowane „na wolności”. Toeplitz może przyznać się w swoim felietonie, że nie zdążyłby go napisać, gdyby nie kupił na lewo benzyny po 150 zł litr — za to siedzą „aferzyści” z CPN-u, którzy ją nalewają; Markiewicz dostaje zgodę na specjalny przydział dewiz od Pana kolegi — ministra finansów, aby udowodnić importację naszego handlu zagranicznego z Turcją — ci, którzy ją próbowali ograniczyć, trudno, żeby tracąc jeszcze własne pieniądze, siedzą za „spekulację”. Koźniewski czyta regularnie bibułę i daje jej ideologiczny odpór; pewnie kupuje ją w jakimś sklepiku, a nie chodzi po nią wprost do SB — kolporter, od którego nabył, siedzi za „konspirę”. Harcerzem miał prawo być tylko stary druh. Próbując wydać sąd o naszym państwie na podstawie jego sądownictwa, dochodzimy prędko do przyczyn słabości. Sprawy polityczne są tylko wąskim marginesem szerokiego marginesu drugiego życia. Korzystają z niego wszyscy. Nieliczni dostają nawet wierszówkę. Wielomilionowa większość może spodziewać się tylko wyroków. Mniejszości.

Ludzie, którzy gdzie indziej są solą ziemi, których inicjatywa służy społeczeństwu i buduje jego dobrobyt, u nas spychani są na margines nielegalności. Tę samą białą większość, którą pozabawiono warsztatu pracy politycznej, pozbawiono też warsztatu codziennej, normalnej pracy. Na podstawie specjalnych regulacji prawnych — jest Pan Minister ich gorącym zwolennikiem, sądząc z rewizji, o których czytam — można skazać dziś człowieka za to, że zorganizował przewóz orzechów laskowych z Bieszczad do Warszawy i śmiał je tam sprzedawać, że prowadził handel śledziami z polskiego Bałtyku na polskim Śląsku, że dostarczał świeże pieczywo tam, gdzie było tylko czerstwe, książki takie i tym, którzy ich potrzebowali. I nie państwo podlega osądowi obywateli za to, że nie umiało w legalnych, opartych o zapisy Konstytucji formach skanalizować tych potężnych strumieni aktywności społecznej. Przeciwnie, państwo sądzi obywateli za podziemną erozję jego struktur. Jakich struktur, Panie Ministrze?

Gdyby istniały te struktury, byłyby także orzechy laskowe, śledzie, świeże pieczywo i książki. Sprawiedliwość koncesjonując swobodę inicjatywy według podziału my-oni zakłamuje rzeczywistość i aparat pada ofiarą własnej propagandy — nie odróżnia realiów od realnego socjalizmu, rzeczywistości od nadrzeczywistości. Spójrzmy na to przez pryzmat pojedynczego przypadku Zbigniewa Bujaka, tropionego przez policję od czterech lat szefa TKK „Solidarność”. Jego macierzyste zakłady „Ursus” wyprodukują w 1986 roku — zgodnie z planem — mniej niż 4 (słownie: cztery) ciągniki na jednego pracownika, gdy bez odrodzonych klasowych związków zawodowych i bez odnowionej podstawowej organizacji partyjnej kowal na Podhalu montuje w ciągu roku (nadal kując też konie) kilkanaście traktorów. Zdany jest na siebie i klientów-kooperantów; chcąc mieć traktor rolnik musi dostarczyć silnik Diesla i skrzynię biegów, choćby używane. Jak możliwa jest taka wydajność pracy? Proste. Kowal pozostał suwerenną jednostką. I dlatego oburza mnie, że ludzie aparatu dającego nadal dowody indolencji polują na człowieka takiego jak Bujak. Pozostał on — także dla swojego „Ursusa” — symbolem robotniczej niezłomności, inteligencji i umiejętności organizacyjnych.

Już w czasach Sejmu Czteroletniego Pawlikowski, późniejszy sekretarz Kościuszki, pisał, że „do przemysłu potrzeba wolności”, a w słynnej broszurze „Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość” precyzował: „Człowiek nie może być pewnym użytków przemysłu, tej mocy twórczej bogactw, jeżeli wolności nie jest pewnym”. I już wówczas pewnym jej mógł być tylko „pod mądrych praw opieką”. Tak, Panie Ministrze, z przedziału pociągu niezmiennie stojącego na stacji Warszawa-Mokotów widać niezłe przesuwające się przed nami obrazy świata, kraju, ludzi i ich historię. Widać, że sprawiedliwość może być ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej, gdy chroni suwerenność jednostek i instytucji — bez niej zamiera społeczna aktywność. Między kryteriami oceny aresztantów przez naczelnika a sadami ministra Kiszczaka o ludziach wolnych, dostrzegam niebezpieczne *continuum*. Pierwszy pozbawia mnie każdego kolejnego zeszytu zapisków ponieważ „nie są to notatki *sensu stricto* — jak powiedział mi komendant ochrony pawilonu MSW — a na pracę twórczą trzeba mieć specjalną zgodę naczelnika”. Minister spraw wewnętrznych stwierdza zaś, że już najwyższa pora zająć się niską efektywnością instytutów naukowo-badawczych, władze są nią zaniepokojone. Tylko jak policja ma zająć się nauką? Obie opinie są tylko subtelniejszą próbą wyrażenia tego, co robi funkcjonariusz ZOMO na komendę (podkreślam autentyczną): „Na obywatela!”. Długa pałka unosi się w górę.

Trzeba mieć mało wiary we własny naród, żeby proponować mu w tych warunkach „wybicie się na normalność”. Normalność, którą ujrzałem w wydaniu najdoskonalszym — dlatego też na koniec zachowałem ostatnie złożone na Pana ręce podziękowanie za to — gdy w 1983 roku z powodu odszczurzenia Pałacu Mostowskich bawiłem w komendzie na Żytniej. Nikt nie miał tam prawa nawet do własnej miski i kubka, każdy natomiast miał

obowiązek myć je po sobie. Zaznawszy przyjemności konsumpcji w takich warunkach chciałem doczyścić proszkiem czarny, lepki ślad dziesiątków ust i odstawić naczynie czyste, ale klawisz przeszkodził mi: „Po co? Przecież i tak dostaniecie potem inny kubek!”. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, a potem i z podziwem. W paru słowach ujął zasadę sowieckiej normalności, tego wyzucia człowieka ze wszystkiego w imię harmonii celów jednostkowych i ogólnospołecznych. A oto pointa: ten sam strażnik przy porannym apelu całuje się na dzień dobry w drzwiach celi z zatrzymaną na noc prostytutką.

Pamięta Pan to, Panie Ministrze? „Są w ojczyźnie rachunki krzywd, których obca dłoń nie przekreśli”. Łatwiej było wyne-gocjować kasację długów u obcych rządów i banków niż przekładać z roku na rok dług niesprawiedliwości, małoduszności i zemsty politycznej, zaciągany przez władzę u społeczeństwa dosłownie każdego dnia. Pora zacząć go spłacać, Panie Ministrze. Tak jak bieda nie tłumaczy nieuczciwości obywatela, tak bezprawia nie można tłumaczyć kryzysem, szczególnie że wynikł on z duchowego, a nie materialnego ubóstwa aparatu władzy. Staram się w tym liście wykazać, że prawo niewolące rządzonych wika samych rządzących w politykę: ani tak — ani tak. Piszę w przekonaniu, że *homo duplex* obecny w każdym z nas nie zmienił się jeszcze w ideał z Żytniej: więźnia-strażnika. Odwołuję się do tej części naszej natury, w której ponad urazami trwa pamięć pojęć nie skarłałych. Choćby tego, że minister powinien służyć interesom narodu, a nie władzy, aby z kolei architekt mógł legalnie i normalnie budować z ludźmi domy i miasta, a nie — walczyć o samo prawo do tego albo milczeć, żeby nie kłamać. Na tym kończy się moja rola w trudnym dialogu, w jakim uczestniczył Pan w mojej celi. Byłem tylko medium: przedstawiłem fakty i myśli, które być może woli Pan ignorować. Ich publiczne przedstawienie uważałem za swój obowiązek obywatela-aresztanta. Rozmawiać dalej mogę tylko jako człowiek wolny.

Wymiar niesprawiedliwości po obu stronach krat zmusił mnie do prowadzenia głódówki. Kontynuując ją nie przerywam naszego dialogu, walcząc o uwolnienie więźniów sumienia w Polsce — głosuję przeciw gwałceniu swobód obywatelskich. Żądając — gwarancji bezpieczeństwa dla TKK „Solidarność” i podziemia — protestuję przeciw delegalizowaniu wszystkiego, co najwartościowsze. Apelując o poszanowanie konstytucyjnych praw opozycyjnej pozaparlamentarnej — służę usunięciu przyczyn wyjątkowego podziału my-oni. Żądając przyznania statusu więźnia politycznego — chcę niepowinność przywileju nielicznych zastąpić gwarancją praw elementarnych.

Nie wiem oczywiście, z jakich artykułów kodeksu karnego będę odpowiadać za napisanie tego listu. Ale myślę, że w dziedzinie etyki dwustronnej mogę zdać się całkowicie na Pana Ministra.

Czesław BIELECKI

OŚWIADCZENIE

Czesław Bielecki s. Franciszka
Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów
Oddział IV, pawilon I, cela 3

Mokotów, 1986. 04. 02.

Do Ob. Naczelnika
Aresztu Śledczego
Warszawa-Mokotów

OŚWIADCZENIE

Oświadczam, że wobec notorycznego lekceważenia moich skarg dotyczących trybu przymusowego karmienia, poczynając od dnia dzisiejszego zaczynam ponownie stawiać bierny opór wobec praktyk będących połączeniem niechlujstwa służby więziennej z pseudomedycznymi eksperymentami, grożącymi mojemu zdrowiu bardziej niż głodówka prowadzona od 13 października.

Wielokrotnie ustnie i na piśmie zgłaszałem skargi na to, co i jak jest we mnie przymusowo wlewane. Wystarczy, że podaje się w dowolnych porach zimną karmę, że zawiera ona skwaszone mleko lub nieświeży tłuszcz, aby po niemal półrocznej głodówce powodować poważne dolegliwości żołądka i całego przewodu pokarmowego. Właśnie 1 kwietnia zaaplikowano mi barwioną wodę; próbkę tego wynalazku dietetycznego zachowałem. Stało się to jakby na potwierdzenie, że wypowiedziane w tym dniu słowa kpt. Żaka z Nacz. Prok. Wojsk. o specjalnym wywarze z jarzyn, mięsa i otrąb są tylko kolejnym — wcale nie primaaprilisowym — chwytem propagandowym. Eksperymentu dokonał lekarz, który przed parunastu dniami na moją prośbę i w mojej obecności wpisał do książki raportów uwagi i zastrzeżenia dotyczące ekscesów z karmieniem, z prośbą o rozmowę w tej sprawie w dyrektorem szpitala lub naczelnikiem, abym uzyskał wiarygodne gwarancje, że nie będą się one powtarzać. Podobnie jak i poprzednie skargi niezależnie od przyznania mi racji, tak i ten raport został przez tutejsze władze zlekceważony. Nic dziwnego. Jestem wszak w szpitalu, w którym przez całą zimę nie wstawiono powyrywanych zamków w drzwiach, wyłączano nieraz na tydzień kaloryfery, a przez miesiąc nie było łożni i zaraziłem się grzybicą.

Od 24 marca rozpoczęto natomiast eksperyment tuczenia głodujących. Przymusowo karmi się nas już dwa razy dziennie, nie umożliwiając jednocześnie wypróżnienia częściej niż raz na tydzień — po półrocznej głodówce jest to możliwe tylko w sposób prowokowany. Nie odzyskałem jeszcze wprawdzie dzięki temu doświadczeniu wagi, którą miałem przed przybyciem do oddziału szpitalnego, niemniej pozwolił on ordynatorowi dr. Firmanty ocenić mój stan jako zadowolający: „pacjent przybrał na wadze 1,5 kg w ciągu tygodnia. Terminy, którymi dr Firmanty określa moje zdrowie są z zasady obosieczne. Gdy pytam go, co oznacza

„stan dobry”, odpowiada: „Nie ma pan obrzęków głodowych i nie grozi panu zejście”. Gdy czytam to samo sformułowanie w opinii wystawionej przez niego dla urzędu prokuratorskiego, zaopatrzone jest w adnotację: „Pacjent może zapoznawać się z aktami”. W ten sposób z dwóch przeciwstawnych opinii kardiologów dr Firmanty — świadom zgłaszanych mu moich dolegliwości serca — wybiera zgodnie z zasadą lekarza więziennego: przede wszystkim nie szkodzić... prokuraturze.

Francuscy smakosze, chcąc uzyskać *foie gras* — tłustą wątróbkę z drobiu na pasztety, tuczają ptaki wtykając im w dziób specjalny lejek z młynkiem. Nie jest im jednak obojętne — w odróżnieniu od władz więziennych — co wprowadza się w ten lejek. Otrzymuję z domu zestaw witamin i mikroelementów ograniczający częściowo skutki długotrwałej głodówki; nie stanowi on jednak antidotum na opisaną mieszankę niechlujstwa i pseudomedycznego eksperymentatorstwa. Mikser świeżo nabyty do więziennej kuchni — specjalnie z myślą o nas — jest tylko wyznacznikiem tej luki humanistycznej. Być może moje „ja” a raczej jakaś część mnie jest dla władz smacznym kąsem, w odróżnieniu od ptactwa domowego muszę jednak po to żyć. Nie pozwolę by traktowano mnie jak zwierzę doświadczalne i pozbawiano tej części człowieczeństwa, która może zbyt cenna jest dla dobra śledztwa i czynności procesowych, niemniej jest mi niezbędna do normalnej egzystencji i ona właśnie każe mi stawiać opór. A to, że nasi prześladowcy określają takie postępowanie jako autoagresję jest nieistotne wobec faktu, że to, czemu nas poddają nazywają akcją humanitarną.

Czesław BIELECKI

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic; Do Tomasa Venclouy; Noty o wygnaniu; List półprywatny o poezji; Dialog o poezji (z Witoldem Gombrowiczem); Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe (Stanisław Vincenz), Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy; Swedenborg i Dostojewski; Dostojewski i Sartre; Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski.*

Str. 366.

Cena F. 120,00.

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA

„PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została zaaresztowana wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Str. 272.

Cena F. 95,00.

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Str. 336.

Cena F. 100,00.

TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypane śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU
„ZEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

- E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL F. 200,00
 Danuta i Tomasz Gołąb, Indianapolis, IN (USA) — zamiast kwiatów na trumnę Przyjaciela, płk. mgr. Kazimierza Solskiego-Rolewicza, b. szefa Sztabu Komendy Okręgu AK Kraków, wiceprezesa II Gł. Zarządu WiN-u w Kraju i z-cy szefa Delegatury WiN-u za granicą, zmarłego w Paryżu w lutym br. — na pomoc prześladowanym rodzinom więźniów politycznych w PRL — \$ 100,00 F. 700,00
 Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA) — na pomoc dla walczących w Kraju (nadesłał skarbnik Bronisław Nowak) — \$ 300,00 F. 2.100,00
 Aleksandra Kozłowska, Paryż z podziękowaniem Annie Sosnowskiej — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce .. F. 1.500,00
 Na Apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston, na rzecz Polski Walczącej złożyli: W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 20,00; W. Ostrowski — \$ 15,00; P. Janik, W.C. z Cambridge, Z. Wallek, S. Borucki, M. Butkiewicz, W. Wierzbowski i T. Wojdakowski po \$ 10,00; I. Bielak, T. Daniszewski, A. Butkiewicz, A. Kruczyński, C. Rybak, Z. Łabejsza i C. Pokorski po \$ 5,00 — razem: \$ 160,00 F. 1.120,00
 Na niezależną kulturę w Polsce od Stowarzyszenia „Loire-Vistule” w Orleanie (Francja) F. 600,00
 W Redakcji *Listów do Polaków* złożyli:
 — na ruch oporu w Polsce: M. Stankiewicz i M. Orłowski po \$ 20,00; S. Koreyl i Turysta z Polski po \$ 10,00; J. Harasiuk i A. Nowicki po \$ 5,00; L. Zimny — \$ 3,00 — razem: \$ 73,00 F. 511,00
 — na rzecz rodzin więzionych: G. Kliszewska i różne osoby w Los Angeles — \$ 200,00 F. 1.400,00
 C. i St. Szulczewscy, Merano (Włochy) — dla uczczenia pamięci śp. Stanisława Kudlickiego — na fundusz pomocy uwięzionym i ich rodzinom w Polsce — \$ 20,00 F. 140,00
 C. i St. Szulczewscy, Merano (Włochy) — zamiast kwiatów na grób śp. Mamerta Miż-Miszyna — na leki dla pozbawionych wolności i ich rodzin — DM 100,00 F. 301,80
 Zamiast kwiatów na grób moich Rodziców, w rocznicę Ich śmierci — na fundusz pomocy więźniom politycznym w Polsce i ich rodzinom — M. Grudziński (Paryż) F. 200,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI
IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

- Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr. szwajc. 30,00 F. 114,00
 Bogdan Umiński (RFN) — zamiast kwiatów na grób Janiny Świerczewskiej, zmarłej w Warszawie F. 52,44

Emigranci polityczni z Bazylei, delegacja „Solidarności” w Zurychu i Kiermasz Książki Polskiej zorganizowali spotkanie po mszy św. w Bazylei w dniu 13 kwietnia 1986 ku czci pomordowanych i zamęczonych na „niebezpiecznej ziemi” Polaków, w tym oficerów rozstrzelanych przez NKWD w Katiuni. Dochód z tego zebrania przekazują:
— na pomoc rodzinom uwieczonych członków KPN — Fr. szwajc. 60,00 F. 228,00
— na fundusz „Solidarności” — Fr. szwajc. 60,0 0 F. 228,00 (nadesłał p. Stanisław Komorski z Binningen).

Tadeusz A. Walendowski, Bethesda, MD (USA) — na rzecz Fundacji POLCUL — \$ 100,00 F. 700,00

Krystyna i Lech Nawroczyńscy, Los Angeles, CA (USA) — za miast kwiatów na grób śp. Marii Zaorskiej-Nawroczyńskiej, zmarłej w Warszawie 1 stycznia 1986 roku, na Zakład Ociemniałych w Laskach — \$ 25,00 F. 175,00

CZESŁAW MIŁOSZ WE FRANCJI

W paryskim wydawnictwie FAYARD ukazały się w kwietniu trzy książki Czesława Miłosza:

MIŁOSZ par MIŁOSZ (Entretiens de Czesław Miłosz avec Ewa Czarnecka et Aleksander Fiut). Przekład Daniela Beauvois. Str. 340. Cena F. 98.

VISION DE LA BAIE DE SAN FRANCISCO. Przekład Marie Bouvard. Str. 234. Cena F. 89.

HISTOIRE DE LA LITTERATURE POLONAISE. Przekład André Kozimora. Str. 794. Cena F. 350.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7757.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 413 — PIOTR WANDYCZ

POLSKA A ZAGRANICA

Opracowania, dokumenty, polemiki, eseje pisane na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat, dotyczące najnowszej historii Polski.
Str. 296. Cena F. 100,00.



TOM 414 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: K. Pomian: *Przestrzeń i czas historii*; A. Sulima Kamiński: *Ludzie „zniewolonego umysłu” a emigracja*; M. Budny: *Jak to było z Zaolziem*; M. Heller: *Wczoraj i dziś w „Czerwonym kole” Sołżenicyna*; Zb. Brzeziński: *Cztery lata w Białym Domu*; B. Krzyżanowski „Bałtruk”: *Wileński Matecznik*, cz. II; A. M. Cienciąła: *Polska w polityce brytyjskiej i francuskiej w 1939 roku: wola walki czy próba uniknięcia wojny?* oraz obszernie działy: DOKUMENTY, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, KRONIKA.
Str. 240. Cena F. 70,00.



TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.
Str. 432. Cena F. 180,00.

